

SIECI



**KULISY AFERY
SŁAWOMIRA NOWAKA**
MILIONY Z ŁĄPÓWEK, METODY
JAK Z FILMÓW NAFIJNYCH

**CZY EKSHUMACJA
W JEDWABNEM
JEST POTRZEBNA?**

**TRÓJMORZE
CZY MITTELEUROPA 2.0?
W CO GRAJĄ AMERYKANIE?**



**DODATEK
GIGANCI
NAUKI PL
ODCINEK 5**

SIECI

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

Nr 28 (450) 2021
12-18 lipca 2021

CENA: 6,90 zł (w tym 8% VAT)



ADAM BIEŁAN

**STRATEG
ZJEDNOCZONEJ
PRAWICY
MÓWI NAM, JAK CHCĄ**

ZATRZYMAĆ TUSKA

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694



**19
lipca**

w tygodniku **SIECI**

dodatek o polskich podróżnikach

Polacy *poza horyzontem*



JÓZEF KONRAD KORZENIOWSKI, lepiej znany jako Joseph Conrad – jeden z najwybitniejszych pisarzy swoich czasów. Dokładnie zwiedził i opisał Kongo, którego wybitny obraz literacki mamy w „Jądrze ciemności” (na podstawie książki powstał film „Czas Apokalipsy” F.F. Coppoli)

FRYDERYK SCHWATKA – dotarł na dzisiejsze Terytoria Północno-Zachodnie Kanady, gdzie badał zwyczaje Eskimosów, a także ustanowił rekord w jeździe na saniach – przebył aż 5 tys. km. W następnej wyprawie przebadał Alaskę, w kolejnej dzikie obszary Meksyku



KRZYSZTOF ARCISZEWSKI – skazany na banicję za zabójstwo, w początkach XVII w. wyruszył do Holandii, a potem do Brazylii, gdzie spędził dziesięć lat. Kreślił mapy dzikiego wówczas kraju i badał miejscowe plemiona

PARTNER
DODATKU



Czy TVN24 dostanie przedłużenie koncesji?

Na pewno są czytelnicy, którzy oczekują, że stacja telewizyjna TVN24 nie otrzyma przedłużenia koncesji. Zagraniczny kapitał pracujący na rzecz obalenia rządu suwerennego państwa budzi wątpliwości bardziej świadomych wyborców. Sprawa jednak nie jest tak oczywista i ma drugie dno.

Z trzech prostych pytań i prostych odpowiedzi układa się szalenie skomplikowany kontekst. Czy w Polsce powinny istnieć media o zagranicznym kapitale, działające na rzecz obalenia rządu? NIE. Czy w Polsce powinny istnieć prywatne media krytykujące władzę? TAK. Czy władze RP mają tak silną pozycję, by odmówić przedłużenia koncesji stacji TVN24? NIE.

Bo faktycznie bezpieczeństwo państwa wymaga, by w kraju, zwłaszcza takim, który leży na skrzyżowaniu potężnych obcych interesów, nie było wpływowego, silnego ośrodka medialnego, który potrafi wzywać do puczu, spreparować „urodziny Hitlera”, by pokazać, że oto w Polsce niby odradza się nazizm, czy lając posłów za to, że poparli rząd – a tak np. zrobiono wobec lewicy. Stacje telewizyjne dostają koncesje także po to, by budować i chronić wspólnotę. Ustawa mówi jasno, że koncesję można cofnąć, jeśli „rozpowszechnianie programu powoduje zagrożenie interesów kultury narodowej, bezpieczeństwa i obronności państwa lub narusza normy dobrego obyczaju”.

Z drugiej strony w świecie relatywizmu granica „zagrożenia interesów” czy „dobrego obyczaju” jest trudna do uchwycenia. Promowanie kłamców fałszujących historię na temat Holokaustu, zachęcanie (a nie tylko informowanie) do buntu przeciwko rządowi, obniżanie autorytetu państwa poprzez nadawanie własnych nazw instytucjom, wpływanie na przełożenie terminu wyborów w czasie kryzysu pandemii i tysiące innych przykładów, są przez jednych oceniane jako zagrożenie, ale mają też swoich obrońców.

Tymczasem władza w demokracji potrzebuje krytyki – potrzebuje tropienia jej nadużyć, afer, łamania prawa, potrzebuje mediów ujawniających ukryte intencje rządu i prowadzących debatę o politycznej rzeczy-

wistości. Przydaje się to nie tylko opozycji, ale i rządzącym, którzy mogą korygować swoje błędy albo też lepiej pilnować się w realizowaniu swoich zadań. Demokracja zakłada, że bezpieczniej jest w przestrzeni publicznej dopuszczać kłamstwo, niż ograniczać wolność słowa. Kłamstwo ma swoje negatywne konsekwencje, ale brak wolności słowa – jeszcze większe.

Pomińmy jednak na chwilę kwestie moralnej czy prawnej słuszności w podejmowaniu decyzji w tej sprawie. Koncesja dla TVN24 jest także polityczna. Nieprzypadkowo amerykańska ambasada w osobie Bixa Aliu chciała się spotkać z przedstawicielami Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, ale nie zgadzając się na rejestrowanie rozmowy. USA, dbając o swoje przedsiębiorstwa, używają politycznych narzędzi w ich obronie – to naturalne. Nieprzedłużenie koncesji stacji oznaczałoby większe naciski ze strony Waszyngtonu i nieprawdopodobną histerię polityczno-medialną w Polsce, zapewne większą niż Strajk Kobiet. Nie milczałaby Unia Europejska, a połączony chór tych wszystkich sił byłby silniejszy niż rządowe wyjaśnienia i argumenty podawane przez TVP oraz prawicowe media.

Jednak władza zdaje się prowadzić tę grę – nad Wiertniczą unosi się wizja utrudnień koncesyjnych. Przy tym pokerowym stoliku napięcie wokół stacji może spaść, jeśli druga strona coś zaproponuje albo na coś się zgodzi. A może karty przetargowe leżą dalej niż przy Wiertniczej – może Ameryka powstrzyma się od ideologicznych komentarzy czy wspierania którejkolwiek politycznych kampanii przeciwko Polsce? Trwa brukselska nagonka na Polskę za brak akceptacji genderowych rozwiązań, trwa presja USA i Izraela w sprawie nowelizacji Kodeksu postępowania administracyjnego, cały czas trwa także polityka – nieustanne splatanie z pozoru niezwiązanych z sobą czynników.

Jakub Augustyn Maciejewski


33
PiS odrodzenie
Stanisław Janecki

50
O gwiazdach czasów ZSRR i nie tylko
Marek Budzisz

**59-
-66**
Dodatek specjalny
Giganci nauki PL

NA POCZĄTEK

- 6 SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 SPALENI SŁOŃCEM (PERU)**
Krzysztof Feusette
- 9 MYŚCIE, TO NIE BOLI**
Dorota Łosiewicz
- 10 ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski
- 12 FURIAT TUSK I 500 MINUS**
Jan Pietrzak
- 12 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 13 PAN D. I PANI P., CZYLI CZY WSZYSTKO BĘDZIE, JAK BYŁO?**
Bronisław Wildstein
- 14 WALIZKA DOROTY GOLDFPOINT**
Michał Korsun
- 16 OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 17 W NIECHŁUBNEJ CZOŁÓWCE**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 18 POWRÓT „KRÓLA”**
Tomasz Łysiak

TEMAT TYGODNIA

- 20 Z ADAMEM BIELANEM**
rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy

KRAJ

- 26 DRUGIE DNO**
Marek Pyza, Marcin Wikło
- 30 DWA PARTYJNE MITYNGI**
Jan Rokita
- 33 PIŚ ODRODZENIE**
Stanisław Janecki
- 36 BÓJ WOKÓŁ JEDWABNEGO**
Konrad Kołodziejski
- 40 TĘCZOWA MISJA**
Goran Andrijanić
- 42 O JEDNO KŁAMSTWO ZA DALEKO**
Jakub Augustyn Maciejewski

ŚWIAT

- 46 TRÓJMORZE CZY MITTELEUROPA 2.0?**
Grzegorz Górny
- 50 O GWIAZDACH CZASÓW ZSRR I NIE TYLKO**
Marek Budzisz

OPINIE

- 54 Z DR. PAWŁEM GRZESIOWSKIM**
rozmawia Dorota Łosiewicz

SIECI KULTURY

- 67 WYSTRZELONY SPOD TAŚMY**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 69 ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba
- 70 KIM WY W OGÓLE JESTEŚCIE?**
Robert Tekieli
- 71 WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli
- 72 CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

GOSPODARKA

- 74 TEORETYCZNIE NEUTRALNOŚĆ KLIMATYCZNA TO ŁATWY TEMAT**
Debata III Forum wGospodarce.pl

PODRÓŻE

- 80 MOJE SZLAKI: ANDREAS VIESTAD**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

- 81 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 82 DONALD TUSK I REWOLUCJA GŁĘBOKIEGO ATEIZMU**
Hanna Karp
- 84 ZŁO**
Alina Czerniakowska
- 86 HEKATOMBY**
Lech Makowiecki
- 86 HEIL MIR SELBST!**
Piotr Cywiński
- 88 POWRÓĆMY DO BLACHNICKIEGO**
Jan Pospieszalski
- 89 URODA ŚWIATA – ROZKOSZE LATA**
Leszek Długosz
- 90 LICZYĆ NA UCZONYCH Z USA?**
Katarzyna i Andrzej Zybortowiczowie

Lepsza codziennosc polskich rodzin



**POLSKI
ŁAD**

**Rządowy Fundusz Polski Ład
Program Inwestycji Strategicznych**

Ten Fundusz jest dla Ciebie.

Powstał, żeby dofinansować gminy, powiaty, miasta i województwa.
By mogły zmieniać codzienność milionów polskich rodzin.

www.bgk.pl

Program realizowany jest
poprzez promesy inwestycyjne **Banku Gospodarstwa Krajowego.**

eprasa.pl dd11dd63fa

Sygnalista nadaje

 Powracającego Donalda Tuska przywitały setki, jeśli nie tysiące analiz i diagnoz politycznych. Ale przemówił także lud polski. W Szczecinie jedna z pań wykrzyczała taki oto manifest pod adresem byłego premiera: „Królu Europy! Królu Europy! Królu Europy! Siedem lat jak ciebie nie było, to Polska się rozwinęła. Zniszczył stocznię, wszystko zniszczył, teraz do Szczecina przyjeżdża. Merkel ci dała zadanie, Szczecin oddać Niemcom i upominać się o reparacje [od Polski]. Po toś wrócił, żeby zamęt siać”. Naród jednak swoje wie.

 Kobieta szybko przekonała się, co to znaczy „polityka miłości”. „Obróciłem się i zobaczyłem, jak kobieta zostaje uderzona. Jeden z panów, który był na tym wiecu, starał się jej zamknąć usta. Krótko mówiąc, uderzył ją w twarz” – relacjonował Kamil Nieradka z Radia Szczecin. Poszkodowaną jest Jadwiga Kamińska, wieloletnia pracowniczka Stoczni Remontowej Gryfia. Kobieta nie ukrywała swojego rozczarowania politykami PO, którzy nie zareagowali na atak. „Tusk patrzył na to. Śmiali się. Grodzki widział, po prostu śmiali się z tego”. Mocna metafora.

 Po swoim wyborze Tusk przemówił do członków Rady Krajowej PO, odwiedził dwa powiaty i... udał się na urlop. „No i obiecałem moim wnukom, choćbyście chcieli mnie tutaj zastrzelić, tydzień wakacji. Tydzień to jest mało na urlop, ale mi musi wystarczyć. (...) Jutro, pojutrze będziemy się zastanawiać, jak natychmiast ruszyć w Polskę po tych kilku dniach z wnukami”. Były premier tytanem pracy nigdy nie

był i w tej sferze rzeczywiście się pięknie rozwija.

 Czy Tusk przyciąga młodzież? Sądząc po zdjęciach z pierwszych spotkań w terenie, przyciąga raczej emerytów, i to ze sporym już stażem. Dziennikarka „Newsweeka” Renata Kim twierdzi jednak, że młodzi mówią o Tusku per ziomal, czyli traktują go jak dobrego kumpla. Odpowiedziała posłanka Lewicy Anna Maria Żukowska: „Słowa ziomal nikt młody nie używa, lekko licząc, od 15 lat. Już jak ja byłam w liceum, to używało się go prawie wyłącznie prześmiewczo”. Brutalna prawda jest taka, że czas płynie wszędzie. Także w redakcji „Newsweeka”.

 Powrót Tuska w bliskiej perspektywie zagraża przede wszystkim Hołowni. Lider Polski 2050 zdaje się jednak nie zauważać problemu. Teraz prosi o pieniądze: „Na jesieni musimy odpalić najlepsze wrotki, jakie mamy. Mówicie, że na tacę zbieram. Tak, na tacę zbieram. Wrzucicie na tacę, bardzo was proszę, jeszcze tego wieczora. Wspieraj Polska 2050, bo cel jest naprawdę zbożny”. Obecnie to bez sensu. Jeśli lider nie chce walczyć z bezpośrednim zagrożeniem – a **Hołownia** nie chce – to żadne pieniądze nie pomogą.

 Czy obóz rządzący zadrzał ze strachu na wieść o powrocie Tuska? Rzecznik rządu Piotr Müller odpowiedział tak: „Nie zauważyłem takiego zjawiska. Dziwi nas, że Donald Tusk wrócił z Brukseli. Może będzie zmiana na stanowisku szefa Europejskiej Partii Ludowej. Cieszymy się z powrotu z zagranicy każdego obywatela. Donald Tusk,


Nauczyciel biologii w publicznej szkole średniej w Alcalá de Henares pod Madrytem został zawieszony w obowiązkach za nauczanie, że istnieją tylko dwie płcie: męska i żeńska. „To tak, jakby mnie ukarali za stwierdzenie, że Ziemia jest okrągła” – powiedział pedagog, dodając: „Chcą mnie uczyć, mnie i tysiące innych nauczycieli biologii czy innych przedmiotów, gdyż odrzucamy jednolite myślenie po totalitarnej linii ideologicznej XXI w.”.

Tak, to jest nowa tyrania. Konkretnie: zmutowany bolszewizm.

jak rozumiem, wrócił z tej emigracji właśnie w tej chwili”. Cóż, bywają powroty nieudane, które kończą się ponowną emigracją. Tym razem też tak to może się skończyć.

 **Miłosz Kłeczek** z TVP stoczył na korytarzu sejmowym prawdziwy bój na słowa z Tuskiem, którego pytał o Sławomira Nowaka. Tusk unikał odpowiedzi. „Coś się zmieniło, jeśli chodzi o wyobrażenie Polaków na temat tego, jaką funkcję pełni wasza telewizja” – atakował. Kiedy Kłeczek powtórzył pytanie, Tusk próbował dziennikarza obrazić: „Nie odpowiadam oczywiście za proces wychowawczy, któremu pan podlegał”. Kłeczek ripostował: „Bardzo słabe uwagi na niskim poziomie, myślałem, że pan wyższy poziom reprezentuje”. W tym momencie Tusk stanął, rozłożył ręce i rzucił zdumiony: „Co tu się dzieje, przepraszam?”. Cóż, to po prostu pluralizm medialny. Taki prawdziwy, nieudawany.

 **Joanna Mucha**, posłanka Polski 2050: „Myślę, że [powrót Tuska] w pewien sposób zakleszcza istniejący od lat spór między PO i PiS. Spór, który jest niszczący dla Polski i część ludzi ma dość tej wciąż wirującej sytuacji dwóch partii, które na siebie szcują i nie mogą na siebie patrzeć”. Po paru godzinach posłanka przeprosiła za swoje słowa: „Niedobrze powiedziałam, to nie jest dobry opis rzeczywistości. PiS szcuje na Platformę. Platforma jest skupiona na byciu antypisem – ale to nie jest szczucie”. Wychodzi, że Polska 2050 po powrocie Tuska już nie może nawet udawać, że jest pośrodku.

 PiS chce doprecyzować przepisy dotyczące kapitału zagranicznego w mediach. Chodzi o to, by kapitał pozaunijny – a więc także amerykański – nie mógł rejestrować spółki córki w Europie i w ten sposób udawać, że jest z Europy. W tle jest kwestia przedłużenia koncesji TVN, której właścicielem jest koncern Discovery, zarządzający stacją za pośrednictwem spółki zarejestrowanej w Holandii. Sama zapowiedź wywołała już histerię. Tomasz Lis: „TVN i TVN24 to sukcesy polskiej demokracji”. Jaka demokracja, takie sukcesy.

 Według „Rzeczpospolitej”, chargé d'affaires ambasady USA w Polsce Bix Aliu starał się o spotkanie z przewodniczącym Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji w sprawie koncesji TVN24. Termin został wstępnie ustalony, jednak amerykańscy dyplomaci nie zgodzili się na nagrywanie rozmowy oraz jej protokolowa-

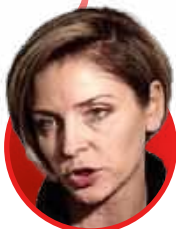
nie, czego oczekiwała KRRiT. Wniosek z tego jeden: dalej już cofać się nie chcemy. Także dlatego, że nie mamy gdzie.

 Podczas posiedzenia senackich komisji pracujących nad ustawą blokującą dziką repywatyzację głos zabrał naczelny rabin Polski Michael Schudrich. „Jako duchowny pierwsza rzecz, na którą będę patrzył, to Biblia. Będę patrzył na 10 przykazań. Tam jest napisane: »Nie kradnij«. I tutaj chcę bardzo jasno powiedzieć, czy to dotyka majątku, który był kradziony. Majątek nie ma wyznania, budynek nie ma religii. Właściciel ma religię, ma wyznanie. Wtedy ten majątek, który był kradziony w czasie okupacji niemieckiej i potem w czasie komunizmu – to jest złamanie jednego z 10 przykazań”. Co jednak zrobić go, jeśli zwrot majątku oznaczałby złamanie innych przykazań?

 **Jan Śpiewak** – człowiek, który postawił się repywatyzacyjnej mafii w Warszawie: „Do dzisiaj byłem pozwany 26 razy na drodze cywilnej i karnej. Wygrałem prawomocnie 11 spraw. (...) dzisiaj nie da się ukryć, że sądy zaczynają mnie traktować z coraz większą surowością. Prawomocnie przegrałem pięć procesów. Kolejne trzy przegrałem nieprawomocnie. Najbardziej boli wyroki z artykułu 212 Kodeksu karnego, który przewiduje nawet rok więzienia za słowa”. W Polsce za walkę o sprawiedliwość wciąż płaci się bardzo wysoką cenę.

 Śpiewak dodaje: „Na Zachodzie sędziowie rozumieją, że wolność słowa jest podstawą demokracji. Biedni i bezsilni mają do dyspozycji tylko krzyk. Dzisiaj sądy chcą zamknąć mi usta, wysyłając do wszystkich jasny sygnał – nie bawcie się w społecznikostwo, nie brońcie słabszych”. I wreszcie puenta: „W 2017 r. współorganizowałem jedną z największych demonstracji w obronie sądów. Dzisiaj wiem, że byłem młody i głupi”. Tak, wówczas to wszystko się rozstrzygnęło.

 Ośrodek Monitorowania Antypolonizmu złożył zawiadomienie do prokuratury w sprawie skandalicznej wypowiedzi syna posłanki Lewicy Wandy Nowickiej. Michał Nowicki, zatrzymany niedawno przez ABW pod zarzutem propagowania totalitaryzmu, w jednym z nagrań powielał kłamstwo katyńskie. Przekonywał, że polscy oficerowie to „kontrewolucjoniści”, ludzie, którzy „mieli na sobie krew Białorusinów, Ukraińców”, i którzy „z tych czy innych względów zasłużyli na karę śmierci”. Sprawa wyjątkowo obrzydliwa.



Spaleni Słońcem (Peru)



KRZYSZTOF FEUSETTE

R.T.: Cześć.
B.B.: Cześć.
R.T.: Jak się czujesz?
B.B.: Dobrze. A ty?
R.T.: Też dobrze.
B.B.: No i dobrze. Niepotrzebnie żeśmy się posprzecjali.
R.T.: Dokładnie. Nie było o co. W końcu partia jest najważniejsza.
B.B.: Dokładnie.
R.T.: Ja ci powiem więcej: ja nawet się cieszę.
B.B.: Z czego?
R.T.: Że to się tak potoczyło. Nie ma co teraz, wiesz...
B.B.: Jasne. Partia jest...
R.T.: Dokładnie. Chociaż powiem ci, że na początku...
B.B.: Wiem, miałem to samo. Coś mnie kłuło pod sercem. Jakoś nie potrafiłem sobie...
R.T.: Bo za szybko. To znaczy wiesz, dobrze, że szybko, bo nie mamy chwili do stracenia. Ale może za szybko...
B.B.: Wiesz, ja mam inną sytuację. Ty jednak zachowałeś to, co miałeś.
R.T.: Chyba żartujesz. Wiceprzewodniczącego? Nawet Siemoniak ma i co z tego?
B.B.: Ale ja, kurczę, wciąż nie mogę w to uwierzyć... Byłem szefem!
R.T.: No, przecież wiem! I byłem lojalny!
B.B.: Do czasu. Potem ci odbiło z tym campusem, z samorządowcami...
R.T.: Poszerzałem bazę!
B.B.: No to sobie poszerzyłeś. Ale wszedłeś w szkodę.
R.T.: Niby komu?
B.B.: A skąd ja mam wiedzieć? Ja też się cieszę, że wraca.
R.T.: Widzisz? A ja najpierw uciekłem, ale w domu pomyślałem, że pogratuluję. Zwłaszcza że ty spēkałeś, więc listy wyborcze raczej on będzie układał.
B.B.: Ja spēkałem? Niby przed kim? Nie rozśmieszaj mnie. Nie słuchałeś Leszczyny, jak mówiła, że przedłużyłem interes partii?
R.T.: Chyba agonię. To znaczy, wiesz, żeby nie było, ja się cieszę. Wszystkie flesze są na nas. A że miny smutne, to nic dziwnego, bo inaczej żeśmy sobie to wyobrażali...
B.B.: Może i tak. Z drugiej strony ja już się na kartach partii zapisałem...
R.T.: Jako Rocky 3, bo w rok i trzy miesiące...

B.B.: Przynajmniej wystartowałem w wyborach! W odróżnieniu od ciebie!
R.T.: Trzeba było w prezydenckich wystartować...
B.B.: Spokojnie. Przyjdzie dzień, kiedy to ja będę Donaldem, a on będzie Borysem. Ale żeby było jasne, ja się bardzo cieszę, że wraca. I że pokona PiS.
R.T.: Ja też. To znaczy też się cieszę. Naprawdę. Ale nie wiem, czy pokona. Tu trzeba kogoś młodszego, z energią...
B.B.: Rafałku, twoja energia nie wystarczyłaby, żeby lampkę przy rowerze rozpałić.
R.T.: Nie będę się kręcił w kółko jak chomik na karuzeli! Jest okazja, to wchodzę, a nie ma, to nie wchodzę.
B.B.: I nigdy nie będziesz szefem. Donald nie pyta, tylko bierze, co jego. A jak nie jego, to... też bierze.
R.T.: Nie maż się.
B.B.: A kto się maże? Ja jestem szczęśliwy. Ruszmy z kopyta! Rafał, my za chwilę możemy być ministrami!
R.T.: Mówiłeś, że chcesz być premierem.
B.B.: Oj tam, mówiłem, nie mówiłem. Ważne jest tu i teraz, rozumiesz?
R.T.: A co z moją prezydenturą?
B.B.: Warszawy nikt ci nie odbierze.
R.T.: A po co mi? Przecież tam nic do niczego nie pasuje! Ani rury do ścieków, ani tramwaje do przystanków...

B.B.: Coś słyszałem. Słuchaj, jakbyś potrzebował, to ja szybko biegam, więc mogę biec przed tramwajem i skuwać...
R.T.: Ty sobie żartujesz, a mnie już nawet w „Wyborczej” prześladowają. I to w dniu, kiedy nie tylko, że nie mogę zabrać głosu na najważniejszej konwencji Platformy wszech czasów, to jeszcze mam szczepienie!
B.B.: Przykra sprawa, nie lekceważ jej. Ale mogłeś klucie przełożyć.
R.T.: Żeby stać jak Chlebowski i udawać, że mam czoło mokre, bo wyszedłem z basenu?
B.B.: Ja się uśmiechałem. Zawsze to lepiej wygląda. A po tobie było troszkę widać.
R.T.: Że co?
B.B.: Że, no wiesz...
R.T.: Że się nie cieszę? Chyba żartujesz. Oczywiście, że się uśmiechałem.
B.B.: Jakoś tak refleksyjnie.
R.T.: Nie każdy musi się szczerzyć jak głupek.
B.B.: Do kogo pijesz?
R.T.: Do nikogo. Powalczyć mogłeś. Choćby dla picu.
B.B.: A myślisz, że nie walczyłem w tym Sopocie u Donalda? Jak lew, jak kondor, jak pyton...
R.T.: No i?
B.B.: W ogóle mnie nie słuchał. Mecz – mówi – oglądam, partia może poczekać.
R.T.: No i?
B.B.: No i mecz się skończył.
R.T.: No i?
B.B.: No i powiedział, żebyśmy za dużo nie fikali, bo nam materaca zabraknie.
R.T.: O mnie wspominał?
B.B.: W zasadzie to nie.
R.T.: A nie w zasadzie?
B.B.: Jak Krychowiak czerwoną dostał, to wołał, że drugi Trzaskowski się znalazł...
R.T.: Czemu?
B.B.: Wiecznie spóźniony.
R.T.: Ale ja się nie spóźniam... Aha, w tym sensie...
B.B.: Dokładnie.
R.T.: Oj tam. Człowiek musi sobie od czasu do czasu polatać.
B.B.: Pewnie, że tak. To co? Do boju?
R.T.: Jasne. Do przodu.
B.B.: Zwycię...
R.T.:...żymy! To ja tu skręcam.
B.B.: A ja spadam.

W Polsce spada liczba chętnych do szczepień przeciw COVID-19, a naukowcy prześcigają się w pomysłach, by Polaków do nich zachęcić. I tak zamiast merytorycznej debaty mamy nietrafione groźby, które mogą przynieść skutek dokładnie odwrotny.

Prof. Włodzimierz Gut w wywiadzie dla „Super Expressu” nie zgodził się z pojawiającymi się w przestrzeni publicznej sugestiami, aby osoby niezaszczepione nie miały dostępu do usług medycznych w ramach Narodowego Funduszu Zdrowia. Ma za to inny pomysł. „Uważam, że należy stworzyć taki system, w którym każdy ponosi odpowiedzialność za siebie. I to jest najprostsza metoda – jeśli wybierasz określony styl życia, to ponosisz tego pełne konsekwencje. Czy to oznacza, że niezaszczepiony ma płacić za leczenie, gdy zachoruje na COVID-19? Nie, nie! Broń Boże! Tylko niech wypłaci odszkodowania tym, których zarazi! Chory ma zagwarantowaną usługę medyczną wynikającą z ubezpieczenia. Nikt nie będzie wydzielał jakiejś choroby z pakietu bezpłatnego ubezpieczenia tylko dlatego, że jakaś tam grupa, za przeproszeniem, plecie głupoty i nie zamierza się szczepić” – orzekł profesor na łamach „SE”.

Weźmy jednak pod uwagę badania przeprowadzone przez naukowców Uniwersytetu Hebrajskiego, o których niedawno pisał portal rp.pl, a które wskazują, że zaszczepienie preparatem Pfizer jest mniej skuteczne w przypadku zakażenia wariantem delta koronawirusa. „Jak ujawniło badanie opublikowane przez izraelskie ministerstwo zdrowia, szczepionka BioNTech/Pfizer jest mniej skuteczna w powstrzymywaniu rozprzestrzeniania się wariantu delta niż poprzednich szczepów koronawirusa. Dane zebrane w ciągu ostatniego miesiąca sugerują, że szczepionka jest w 64 proc. skuteczna w powstrzymywaniu infekcji wśród osób, które są w pełni zaszczepione w porównaniu z wcześniejszymi szacunkami,

Myślcie, to nie boli

Naukowcy powinni być ostrożniejsi w zgłaszaniu swoich pomysłów, gdyż zamiast do szczepień zachęcać, tylko niepotrzebnie denerwują ludzi

które mówiły o 94 proc.” – donosi rp.pl. Badacze podkreślają jednocześnie, że mimo iż skuteczność jest niższa, niż wykazały wcześniejsze analizy, preparat BioNTech/Pfizer chroni przed ciężkim przebiegiem zakażenia i hospitalizacją – w tych przypadkach jej skuteczność oscyluje wokół 93 proc. To dobra wiadomość, mamy bowiem kolejny dowód, że szczepionka daje wysoką ochronę osobom w pełni zaszczepionym. Z drugiej strony to już kolejny dowód, po danych z Wielkiej Brytanii, świadczący o tym, że o ile szczepionka w przypadku mutacji delta chroni przed ciężkim przebiegiem i hospitalizacją, o tyle nie chroni przed zakażeniem, a co za tym idzie – osoba nawet

w pełni zaszczepiona może także wirusa roznosić (choć statystycznie rzadziej niż niezaszczepiona).

Z tego powodu pomysł prof. Guta o tyle nie ma więc racji bytu, że osoba w pełni zaszczepiona wciąż może przenosić wirusa, więc mogłaby podlegać karze wedle koncepcji pana profesora. I nie jest to teoria spiskowa, ale wiedza, której dostarczają życie, badania naukowców oraz nowe mutacje. Naukowcy powinni być ostrożniejsi w zgłaszaniu swoich pomysłów i zaleceń, gdyż zamiast do szczepień zachęcać, tylko niepotrzebnie denerwują ludzi. Może ktoś powinien pomyśleć o karach dla naukowców za głupie wypowiedzi?

Na pierwszy ogień wzięłabym tę: „Tak szczęśliwie się złożyło, że umiera tylko dwa razy więcej ludzi niż normalnie, a nie np. pięciokrotnie jak w Lombardii”. Niezła jest także ta o różnicy między protestami a wizytami na cmentarzach. Ten sam ekspert, który widział śmiertelne zagrożenie w wizycie na cmentarzu (też na świeżym powietrzu), nie widział zagrożenia w ulicznych protestach. Niczego sobie także taka: „Zamiast penalizować brak szczepienia to po momencie, kiedy udostępnimy wszystkim szczepienia, powinno się wprowadzić odpłatność za leczenie COVID-19”.

Może w obliczu kary niektórzy dwa razy by pomyśleli, zamiast pleść androny.

Dorota Losiewicz



Szkoła przeciw białym

Największy związek zawodowy nauczycieli w Wielkiej Brytanii chciałby szkoleń przeprowadzanych przez aktywistów organizacji antyrasistowskich. Ich celem miałyby być przezwyciężenie wynikającego z kolonializmu „białego uprzywilejowania w szkołach”.

O sprawie napisał „The Telegraph”. Skupiająca ponad 450 tys. związkowców National Education Union (NEU) apeluje, by natychmiast „zdekolonizować wszystkie fazy edukacji” w Wielkiej Brytanii i otwarcie poprzeć ruch Black Lives Matter. Działacze związku uważają, że nauczyciele powinni być przeszkoleni na temat antyrasizmu, tak aby potem mogli na swoich lekcjach piętnować każdy przejaw uprzywilejowania białych ludzi w historii Zjednoczonego Królestwa. Zdaniem związku cały program nauczania w brytyjskich szkołach, nawet kształt i rozmieszczenie klas, biorą się z wieloletniej tradycji kolonializmu.

Absurdalne postulaty NEU wynikają z panoszącej się w środowiskach akademickich w USA i Wielkiej Brytanii tzw. krytycznej teorii rasy, która dąży do przefiltrowania historii, ekonomii, kultury i innych dziedzin życia przez pryzmat rasizmu i „białego uprzywilejowania”. W czasie prezydentury Donalda Trumpa odmawiano wsparcia finansowego tym szkołom publicznym w USA, które zgadzały się na indoktrynację ideologiczną uczniów według krytycznej teorii rasy. Jednak nowa administracja Joeego Bidena zerwała z działaniami republikanów. Były prezydent Donald Trump napisał kilka tygodni temu na łamach portalu RealClearPolitics, że Joe Biden popiera pranie mózgow amerykańskich dzieci „za pomocą jednych z najbardziej toksycznych i antyamerykańskich teorii, jakie kiedykolwiek wymyślono”. „Zamiast pomagać młodym ludziom odkryć, że Ameryka jest najwspanialszym, najbardziej tolerancyjnym i najhojniejszym narodem w historii, naucza ich, że Ameryka jest systemowo nikczemna, a serca ludzi są wypełnione nienawiścią i złością” – napisał Trump.

Jego słowa można również przyłożyć do sytuacji w Wielkiej Brytanii. Sekretarz generalna Unii Edukacji Narodowej Mary Bousten powiedziała, że Brytyjczycy ignorowali do tej pory rolę czarnych w historii imperium. Jej zdaniem tylko poprzez „dekolonializm” można zbudować bardziej sprawiedliwe i empatyczne społeczeństwo. W odpowiedzi konserwatywny polityk sir John Hayes nazwał postulaty NEU „złowieszczy” i dodał, że dostaje gęsiej skórki na myśl, że ludzie, którzy w taki sposób myślą o przeszłości swojego kraju, mają wpływ na kształcenie dzieci.

Lukasz Adamski



Afganistan

Evakuacja Amerykanów

Asadullah Kohistani, mianowany przez rząd w Kabulu nowym dowódcą największej bazy lotniczej Bagram, wykorzystywanej przez ostatnie 20 lat przez siły zbrojne Stanów Zjednoczonych, powiedział w wywiadzie dla Associated Press, że Amerykanie opuścili lotnisko w pośpiechu, w nocy, nie informując o tym nawet przedstawicieli afgańskich sił porządkowych.

W tym samym czasie sąsiedni Tadżykistan ogłosił decyzję o mobilizacji 20 tys. rezerwistów po to, aby ochronić swoją południową granicę, którą na odcinku liczącym 70 proc. długości kontrolują od afgańskiej strony talibowie. Talibowie zajęli również 13 z 14 rejonów administracyjnych północnej prowincji Faryab, w której znajduje się Akina, jedno z dwóch przejść granicznych z Turkmenistanem. Jeśli islamistom uda się zdobyć oba przejścia, to w ich rękach znajdzie się ważny kanał zaopatrzenia kraju w żywność, ropę naftową i gaz ziemny.

Rainer Breul, rzecznik prasowy niemieckiego MSZ, zapewnił, że Berlin udzieli 2,4 tys. wiz wjazdowych dla tych Afgańczyków i ich rodzin, którzy współpracowali z niemiecką misją w Afganistanie, a ich życie obecnie w związku z ofensywą talibów może być zagrożone. Z kolei dyplomacja amerykańska szuka już w krajach sąsiadujących z Afganistanem możliwości udzielenia azylu dla 18 tys. afgańskich współpracowników amerykańskich sił zbrojnych i 54 tys. członków ich rodzin. W tej sprawie z szefami dyplomacji Tadżykistanu i Uzbekistanu rozmawiał w ostatnich dniach sekretarz stanu Antony Blinken. Jeśli żaden kraj regionu w obawie przed kryzysem uchodźczym nie zdecyduje się na ich przyjęcie, to najprawdopodobniej będą oni ściągani do Stanów Zjednoczonych.

Opuśczenie przez Amerykanów bazy lotniczej Bagram oznacza faktyczny koniec wojskowej obecności Stanów Zjednoczonych w Afganistanie. W Kabulu ma jeszcze pozostać ochraniający ambasadę mały kontyngent wojskowy. Zresztą nienaruszalność amerykańskiej placówki dyplomatycznej została już zagwarantowana przez talibów w umowie podpisanej z administracją Trumpa. Co ciekawe, w opinii rosyjskich ekspertów ofensywa talibów na północy Afganistanu może się jeszcze załamać, bo nadejście islamskich radykałów może wzmocnić opór miejscowej, głównie uzbeckiej ludności. Na razie jednak talibowie najwyraźniej wygrywają batalię o kontrolę nad Afganistanem.

Marek Budzisz

Integracja Gruzji z Zachodem jest zagrożona – uderzyły na alarm liberalne media na świecie. Przyczyną jest zablokowanie parady LGBT, która miała odbyć się 5 lipca w stolicy kraju Tbilisi.

Do parady, pierwszej na dużą skalę od 2013 r., gdy również podjęto nieudaną próbę zorganizowania przemarszu środowisk LGBT, przygotowywano się w ramach przypadającego w czerwcu tzw. miesiąca dumy. Temat mocno podjęły gruzińskie media, a wielu miejscowych dziennikarzy, artystów i celebrytów zadeklarowało swoje poparcie dla postulatów LGBT, przypinając do ubrań tęczowe wstążki lub plakietki. Jednocześnie jednak stanowili oni wyraźną mniejszość w gruzińskim społeczeństwie, które jest mocno konserwatywne. Konserwatywny jest również gruziński Kościół prawosławny, i to w znacznie większym stopniu niż jego odpowiedniki na Bałkanach czy nawet w Rosji. Nic więc dziwnego, że pomysł zorganizowania parady został oprotestowany przez Cerkiew. W świątyniach odbywały się modlitwy w intencji uchronienia kraju i społeczeństwa przed agresywną obcą ideologią. Przeciwnicy parady zorganizowali też grupy, które starały się utrudnić przygotowania do przemarszu, dopuszczając się niekiedy – jak donoszą media – aktów przemocy wobec organizatorów. Ofiarami napadów miało zostać 40 osób, głównie dziennikarzy. Wśród napadniętych znalazł się także przypadkowy polski turysta zaatakowany nożem z powodu kółczyka w uchu.

 **Gruzja**

Tęczowa kurtyna

Rząd Gruzji, na którego czele stoi Irakli Garibaszwili z ugrupowania Gruzinińskie Marzenie, uznał ostatecznie, że parada nie może się odbyć z powodu wysokiego ryzyka zamieszek. Zaproponowano inne, alternatywne trasy ewentualnego przemarszu, ale zostały one przez organizatorów odrzucone. W rezultacie do parady w ogóle nie doszło. Garibaszwili oświadczył wprawdzie, że nikt w Gruzji nie może czuć się dyskryminowany, ale musi też uznać to, że większość społeczeństwa nie akceptuje manifestacji organizowanych przez środowiska LGBT.

Premier zasugerował również, że parada jest rodzajem prowokacji zorganizowanej przez opozycyjny Zjednoczony Ruch Narodowy skupiony wokół dawnego prezydenta Micheila Saakaszwilego. „To oni organizują ten marsz i te wiece, a ich celem jest wywołanie niepokojów społecznych i chaosu w naszym kraju” – oświadczył Garibaszwili.

Taki zarzut ma obrzydzić Gruzinom prozachodnią opcję reprezentowaną przez opozycję. A z tego na pewno cieszy się Rosja. Niedawno doszło zresztą do symbolicznego ataku na ambasadę USA w Tbilisi, ktoś obrzucił budynek i wywieszoną na nim tęczową flagę jajkami.

Czy rzeczywiście, jak głoszą liberalne media, Gruzja oddaliła się od Zachodu? Odpowiedź na to pytanie dotyczy nie tylko Gruzji i nie tyle jej samej, ile całego zachodniego świata, który – z powodu swoich ideologicznych wyborów – mógł stać się ostatnio mniej atrakcyjny niż kiedyś.

Konrad Kołodziejski

 **Republika Środkowoafrykańska**

Żandarm z Moskwy

W czasie gdy wojska amerykańskie wycofują się z Afganistanu, a francuskie z Mali, Czadu i Nigru, Rosjanie zwiększają swą obecność w Libii i Republice Środkowoafrykańskiej (RŚA). Do ostatniego z tych krajów przybyła niedawno z Moskwy grupa 600 „instruktorów”, z których 200 ma szkolić miejscową armię, 200 – żandarmerię narodową, a kolejnych 200 – policję. Kreml ogłosił, że znajduje się tam obecnie 1135 obywateli Rosji, z których żaden nie bierze udziału w toczącej się wojnie domowej (według nieoficjalnych źródeł może ich być nawet 2 tys.).

Eksperci pracujący dla Rady Bezpieczeństwa ONZ twierdzą jednak, że jest

inaczej. Ostatnio przedstawili raport, z którego wynika, że rosyjscy najemnicy (tzw. wagnerowcy) aktywnie uczestniczą w operacjach bojowych, często nawet kierując nimi. Zarzuca im się także popełnianie zbrodni na ludności cywilnej, łącznie z zabójstwami, gwałtami, porwaniami i grabieżami. Moskwa kategorycznie odrzuca te oskarżenia. Rzecznik Kremla Dmitrij Pieskow nazwał je kolejnymi kłamstwami.

Rosjanie wspierają w RŚA obecnego prezydenta Faustina-Archange Touadéré w walce z rebeliantami, na których czele stoi były prezydent François Bozizé. W zamian za to mają otrzymać dostęp do tamtejszych złóż

złota. Moskwa zaczyna więc odgrywać rolę żandarma, co do tej pory było zarezerwowane w tamtym regionie świata dla Paryża.

O ile Rosja umacnia tam swoje wpływy, o tyle Francja je traci. Pałac Elizejski właśnie ogłosił, że zawiesza pomoc i współpracę wojskową z rządem RŚA (wartą 10 mln euro) z powodu niezdolności władz w Bangi do powstrzymania „masowych kampanii dezinformacyjnych” wymierzonych przeciwko Francji. Zdaniem Paryża za akcjami stoją Rosjanie. Ci ostatni – podobnie jak Chińczycy – mają coraz większe pole do penetracji gospodarczej i militarnej Czarnego Lądu. Wobec amerykańskiego désintéressement dla Afryki to właśnie oni zaczynają wypełniać lukę, jaka pojawia się tam po wycofaniu Francuzów.

Grzegorz Górny

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Furiat Tusk i 500 minus

Powrót Tuska „do tego syfu”, jak powiadał jego przyboczny druh, rozpoczął się od nienawistnego przemówienia, w którym wyznał, kiedy ogarnia go furia. Otóż wtedy, kiedy słyszy, jak ktoś atakujący PiS dodaje „ale...”. Nie ma żadnego „ale!” – pieniał się przed porzuconymi niegdyś kolegami. To oni są „syfem”, od którego uciekł na posadę niemieckiego lokaja. Prawdę mówiąc, udowodnili przez siedem lat, że są totalnie bezradziejni. Państwo polskie wręcz przeciwnie, bez Tuska rozkwitło. Nie mógł na to spokojnie patrzeć z Brukseli. Wrócił, by walczyć... o niski wyrok dla kumpla, Sławka N., szarpanego przez dwa okrutne reżimy: polski i ukraiński. Czepiąją się o drobną sumkę 8 mln zł. Zapomnieli o doktrynie, że Platforma ma bronić każdego swego niegodziwca jak niepodległości.

Pochwalę się, że mam pewien dorobek na temat Tuska. W felietonie „Złomowanie Polski” (16.12.2009) pisałem: „Dramatyczne hasło CHLEBA I PRACY kierowano do rządu HAZARDU I KASY. Po przeznaczeniu na złom przemysłu stocznioowego na zaoranie czeka przemysł zbrojeniowy. Ko-



**Jan
Pietrzak**

leje regionalne też rządu nie obchodzą. Na sprzedaży szyn i tracji można nieźle zarobić, co udowadniają złodzieje kradnący tory”. „Od lat śpiewam i mówię o plagach Tuska, i kiedy wydaje się, że cały arsenał klęsk został wyczerpany, pojawia się następny żywioł rujnujący Polskę” (2.04.2013), „Po kadencji cudów i miłości ten sam premier zaproponował społeczeństwu kadencję grózb i strachu. Zastraszanie obywateli ma ich zmusić do uległości podczas cięć finansowych” (23.11.2011), „Rząd nie jest prawdziwym polskim rządem. To jest placebo ufundowane nam przez Rosję i Niemcy. Premier Tusk to »sługa dwóch panów«. Jest taka komedia Goldoniego, której bohater, służąc dwóm panom jednocześnie, myli polecenia i komplikuje sprawy jeszcze bardziej” (7.11.2013).

Wracając do Tuska obecnego... Rozdygotany, kłótlivy, lże coraz bardziej fantazyjnie. Mówi np., że Ewa Kopacz miała już przygotowany projekt podobny do 500+. A jakże, wścibskie wiewiórki z Al. Ujazdowskich rozповідаją, że to był program 500, lecz z minusem!

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Łódki do Brytanii

Brexit był szokiem dla wszystkich. No dobrze, nie dla wszystkich. Wokół mnie było wiele osób, które uważały, że to konsekwencja polityki Unii Europejskiej. Musi nastąpić, a Brytyjczycy szybko będą zadowoleni ze swojego nowego statusu. Ja miałem mieszane uczucia. Z jednej strony chciałem, żeby eurokraci dostali po nosie za pewność siebie i zarozumiałość, a z drugiej – zdawałem sobie sprawę, że wyjście ze wspólnoty państwa będącego ostoją zdrowego eurorealizmu wzmocni ekstremistyczne tendencje integracyjne.

Rzeczywistość przyznała rację Brytyjczykom szybciej, niż się całemu światu wydawało. Nadejście pandemii covid19 pokazało, że Unia potrafi zamówić szczepionki po konkurencyjnych cenach, ale producenci chętniej i szybciej je dostarczają za większe pieniądze do państw spoza Unii: Izraela czy Wielkiej Brytanii. I pani Ursula von der Leyen została ze swoim kontraktem jak Himilbach z językiem angielskim.

Obecnie mamy kolejny sygnał. Otóż w ostatnich miesiącach bardzo mocno zwiększył się przemyt imigrantów przez kanał La Manche. Tysiące ludzi nawet zwykłymi pontonami przepływa przez przesmyk w poszukiwaniu spokoju i dobrobytu. Teraz kwestia zasadnicza. W którą stronę płyną owe pontony? Czy to uciekinierzy z obskuranciej, osła-

bionej, oderwanej od unijnego rajy Wielkiej Brytanii?

Jak się łatwo domyślić, szlak prowadzi w stronę przeciwną. Otóż uciekinierzy chcą wszelkimi sposobami opuścić oazę politycznej poprawności oraz praw człowieka, jaką jest Unia Europejska. Wyspy po drugiej stronie kanału zawsze dla imigrantów spoza Europy były atrakcyjniejszym celem podróży niż Francja i Niemcy, o Polsce czy Rumunii nie wspominając. Teraz jednak, po brexicie, stały się miejscem wręcz wymarzone – co widać, gdy liczba łódek, kutrów i pontonów płynących z Francji na północ narasta z miesiąca na miesiąc.

Nie chcę wymieniać tu wszystkich przyczyn, dla których imigranci do Europy nie chcą żyć w Unii Europejskiej. Coś jednak czuję, że tym razem nie o wygodne życie i jego poziom chodzi – wszak wiele państw unijnych szasta zasiłkami i pomocą dla kolorowych przybyszów zza Morza Śródziemnego i z innych kierunków. Chodzi o coś więcej, każdy rozsądny mieszkaniec UE zdaje sobie z tego sprawę.

Koniec Unii nadchodzi. Sygnałem jego początku będą płynące do Brytanii łódki z Francuzami i Włochami na pokładzie.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl



**Dominik
Zdort**

BRONISŁAW WILDSTEIN

Pan D. i pani P., czyli czy wszystko będzie, jak było?



Wreszcie jest! Wytęskniony, choć i znienawidzony, bo porzucił, ale wrócił, upokorzył, ale przygarnął znowu, upragniony, bo jedyny, który przywrócić może młodość – tak w każdym razie podstarzałej, ale ciągle wierzącej w swoje wdzięki pani P. się wydaje. Od razu dawny pan i adorator obudzić chce byłe namiętności, których młodszym amantom wzniecić się nie udało. Już w pierwszym wystąpieniu przytępione zmysły dawnej partnerki lechce, a ona czuje rozkoszne dreszcze i marzeniami wraca do dawnych uniesień. Miłość to była szczególna, bo wprawdzie nikt jak dawny pan o uczuciach prawić nie umiał, ale miały one mocny odcień sado. Również w stosunku do pani P. Ale wybaczała mu, bo polityka miłości nastawiona była na wrogów, a więc złych. W tej kwestii nie było żadnych oporów. Dopiero kiedy drwiny, szyderstwa, upokorzenia wobec nich wspomagane przez gromady medialnych i opiniotwórczych błaznów osiągały zenit, wtedy pani P. i jej pan szczytowali naprawdę. Marzenie o tamtych orgazmach daje złudzenie młodości.

Zresztą uczucia uczuciami – jak mawiała ofiara reżimu PiS Beata S. – najpierw trzeba policzyć kasę. A jest co liczyć. Pani P. jako doświadczona kobieta wie, że uczucia są ulotne, a interesy trwale. Dlatego wierzy w demokrację. Liberalną. Czyli taką, w której ona jest wybierana. Przecież to jasne, że kiedy wybierani są nienawistnicy, populiści i generalnie faszyści, zaczyna się autorytaryzm, a nawet totalitaryzm. Niby wybory się odbywają, sędziowie są tak niezależni, że wiadomo, iż pani P. procesu przegrać nie może w przeciwieństwie do nienawistnika z PiS, który z kolei wygrać go nie jest w stanie; większość mediów i środowisk opiniotwórczych demonstracyjnie sekunduje happy endowi P. i D., a przecież totalitaryzm pełźnie. Wolność gospodarcza została stłumiona i interesów w VAT robić już nie sposób, coraz trudniej miasta prywatyzować, chociaż ich włodarze z poręki P. przy wsparciu sędziów robią co mogą, przyzwolonych ustaw czy to hazardowych, czy wszelkich innych pisać już nie można... spójrzmy prawdzie w oczy: toż to faszyzm po prostu.

Salony wielkiego świata, gdzie pani P. zapraszana bywała, a pan D. został nawet europejskim majordomusem – chociaż złośliwi twierdzili, że raczej kamerdynerem – odwracają

się od naszego kraju i coraz niższe punktacje w demokratycznych rankingach mu przyznają. Nic dziwnego, że pana D. furia trzęsie. Tyle poklepywań po plecach, karku i ramionach, uśmiechów i dobrych słów, tyle znajomości czy wręcz przyjaźni, jak pan D. mówi o swoich relacjach z Joem Bidenem, który przytaknie, choć nie za bardzo tego gościa z Polski kojarzy, tyle dobrej energii... na nic.

Prawdę mówiąc, to właśnie przyjaciele z Zachodu wysłali pana D. do Polski: „Jedź i zrób porządek, bo totalitaryzm tam gorszy niż za Stalina zapanuje”. Zdecydowali. Cóż miał robić? Przecież zawsze tłumaczył, że mądrzy są w Brukseli (czytaj w Berlinie) i trzeba im zaufać. Również teraz trudno im nie przyznać racji. Przecież wspólnie z Polską chcieli budować gospodarkę Europy. Stocznie pracują w Niemczech, a polscy podwykonawcy dostarczają części zamiennych. Nasi sąsiedzi załatwiliby nawet autobusy, które za niewielką opłatę dowiozłyby polskich robotników na lotnisko w Berlinie, jeśli koniecznie już chcieliby gdzieś dalej polecieć. Niestety Polacy okazali się „nabzdyczonymi, roszczeniowymi gówniarzami” i nawet zadośćuczynienia za II wojnę światową zaczęli się domagać. Tego już nie zdzierzył Mr Sik., który zawsze ogłaszał to, czego ostrożny pan D. nie dopowiadał, i do rozumu swoim (niestety) rodakom przemówił. Bo jak domagać się od Niemców, którzy byli pierwszymi ofiarami nazistów, odszkodowania za to, co naziści zrobili w Polsce?

Przyznajmy: niewdzięczność krajowców jest straszna. Sami swój przemysł postanowili zbudować, jakby nie rozumieli, co to jest wspólna Europa i jakie miejsce jest w niej dla nich przeznaczone. Ta obrzydliwa zaściankowość powoduje, że nie chcą już zbierać szparagów w Niemczech ani pielęgnować tulipanów w Holandii, nic więc dziwnego, że nasi partnerzy obrazili się na nas i czują się upokorzeni. Pan D. udowodnił, że żadnym szowinizmem się nie kieruje, kiedy najważniejszą funkcję w kraju zostawił od razu, gdy tylko zaproponowano mu rolę europejskiego kamerdynera... przepraszam: majordomusa. Ale teraz saksy się skończyły, a patroni domagają się zrobienia porządku w kraju.

Chcąc nie chcąc, musi pan D. do pani P. wrócić. Jego złość w pierwszym wystąpieniu była autentyczna. Ileż przed nim pracy, żeby wszystko było, jak było.

Fot. Andrzej Wiktor



Walizka Doroty Goldpoint

Projektantki mody

Swoją przygodę z podróżami rozpoczęłam jako studentka. W wieku 21 lat poleciałam do Londynu, który na stałe zagrościł w moim sercu. Gdy na świat przyszli nasi synowie, podróżowaliśmy głównie po Europie – do Francji, Monako, Hiszpanii, Portugalii i Grecji. Gdy chłopcy podrosli, zaczęliśmy podróżować do dalszych destynacji, m.in. na Malediwy czy Dominikanę. Z każdej podróży przywożę nietypowe rzeczy, których w Polsce nie znamy, a są charakterystyczne dla danego regionu. Co roku od 25 lat wierna jestem Juracie, która leży na samym środku Półwyspu Helskiego, gdzie czuję się, jakbym była na statku.

ZAPACH

Z każdej wizyty w fabrykach perfum przywożłam mnóstwo flakoników z olejkami. Komponowałam z nich swoje zapachy, mieszałam z kremami i balsamami. Jeden z nich tak się spodobał mojemu synowi, że postanowiłam stworzyć autorskie perfumy.



MASECZKI

Bawełniane, oddychające, eleganckie. Pierwszą falę pandemii przetrwałam właśnie dzięki ich produkcji. Produkowałam je w bardzo dużej liczbie dla różnych firm. W Dubaju zaprezentowałam też złotą odmianę do złotych sukni, co zrobiło furorę.



NAGRODY

Podczas Fashion Weeku w Dubaju dwukrotnie nagrodzono moje kolekcje. Nagrody pozwoliły mi nawiązać biznesowe kontakty

z arabskimi klientkami. Te sukcesy to zasługa moich wspaniałych pań krawcowych, które wkładają mnóstwo serca w urzeczywistnianie moich pomysłów.



KREACJE DLA KLIENTEK

Kobiety w Dubaju są bardzo wymagające. Cenią oryginalność, nietuzinkowe rozwiązania, bardzo spersonalizowane projekty i... dyskrecję. One muszą mieć coś, co w sklepach jest nieosiągalne. Dlatego projektowanie dla księżniczek jest kreatywnym wyzwaniem.





KREACJA

O ile na co dzień moja garderoba jest skromna i minimalistyczna, o tyle na wakacjach zawsze lubię poszaleć z kolorami i fasonami. Lubię się w ten sposób poczuć bardzo elegancko i kobieco. Złote sandały doskonale domykają całość.

DRES

Wykonany z bardzo dobrej bawełny. Na początku zaprojektowany i szyty tylko do butiku w Juracie. Co roku kolekcja sportowa się poszerza, tak aby panie mogły dokupić dodatkowe szorty, inny model spodni, pasujący nawet do szpilek.



PODRECZNIK DO RYSOWANIA

Zakupiony w moim kochanym Londynie. Lubię rysować i stale doskonalę swój warsztat. Prace innych artystów są wspaniałą inspiracją i motywacją do pracy z ołówkiem.



KAWIARNIA

Owoce moich podróży do Juraty jest założona wraz z moją współpracowniczką kawiarnia Goldpoint Zone. Mam teraz moralny powód, żeby spędzać tam część moich wakacji.

„SERCE NIE MA ZMARSZCZEK”

Ta książka to mój hołd dla kobiet – nie tylko tych dojrzałych.

Jest ona zaproszeniem do autoanalizy, do naszego świata wewnętrznego, do naszych przeżyć, trudności oraz naszych codziennych zmagania.



SZKICOWNIK

Przedmiot, z którym się nie rozstaję. Ponieważ lot samolotem uważam za stratę czasu, staram się wykorzystać te kilka godzin na szkicowanie koncepcji. Zazwyczaj udaje mi się wtedy stworzyć część kolekcji.



TOREBKA WIECZOROWA

Mała, wakacyjna, pasująca do każdej stylizacji. Może się w niej zmieścić tylko błyszczący do ust i klucz do pokoju hotelowego. Telefonu nie włożymy, ale do kolacji jest zbędny.



SALMA

Ponieważ mam dwóch synów, ona jest moją dziewczynką. Gdy wracam do domu, zawsze jest stęskniona. Obowiązkowa dawka przytulania i wspólne oglądanie filmów.

Towarzyska, miła dla moich gości. Ale gdy wychodzimy na zewnątrz, jej serce zamienia się w serce wilka, staje się odważna i waleczna.

KLAPECZKI

Kiedyś mi się wydawało, że się urodziłam na szpilkach i zawsze będę w nich chodziła. Natomiast z biegiem lat czas, który mogę wytrzymać na wysokich obcasach, skrócił się z dziesięciu godzin do dwóch maksymalnie.



Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

OGNIEM NA WPROST

Myślbrodnia

To nie PiS jest największą ofiarą powrotu Donalda Tuska „do macierzy”, tylko wiceprzewodniczący PO i prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski. Tezę tę potwierdzają wypowiedzi jego partyjnej koleżanki, również byłej kandydatki na prezydenta RP Małgorzaty Kidawy-Błońskiej. Swoimi stwierdzeniami w mediach przełała czarę goryczy zmarginalizowanego nagle polityka. Jej słowa brzmią jak zemsta za to, że zastąpił jej dwuprocentowe poparcie w wyborach prezydenckich swoimi 48,97 proc. w drugiej turze. Ale Kidawa już pospieszyła z wyjaśnieniem, że z tych 10 mln, które zagłosowały na niego, połowa była przeciwko Dudzie, a tych, co realnie stali za prezydentem Warszawy, było tylko 5 mln, czyli tyłu, ilu członków PO. Jej zdaniem Trzaskowski stracił swoją szansę na przywództwo w partii (tu ma świętą rację), a miejsce dla założyciela Wspólnej Polski znajduje się w warszawskim ratuszu. W ten sposób powtórzyła zdanie przedstawicieli Zjednoczonej Prawicy, którzy od początku mówili to samo, krytykując jego niezdrowe zainteresowanie wielką polityką ze szkodą dla interesów m.st. Warszawy. Widać, nawet Kidawa czasem potrafi coś powiedzieć z sensem.

Jesús Luis Barrón López, nauczyciel biologii i geologii w publicznym liceum ogólnokształcącym w Alcalá de Henares, położonym na obrzeżach Madrytu, został zawieszony na sześć miesięcy przez inspektora rady ds. edukacji wspólnoty Madrytu. Do tego obniżono mu za karę pensję. Cóż się takiego stało, że dotknęły go owe sankcje? Otóż López popełnił myślo-

zbrodnię i wyraził ją słowami. Głośno. Stwierdził mianowicie w obecności uczniów, że na świecie istnieją tylko dwie płcie. Wypowiedź ta została uznana w raporcie rady ds. edukacji za „homofobiczną, rasistowską i patriarchalną, wykazującą pogardę dla innych grup”. Na lekcjach biologii w tematyce seksualności, na którą wyraziła zgodę dyrekcja, nauczyciel przekazywał swoim uczniom, „że mężczyźni rodzą się z chromosomami XY, a kobiety z chromosomami XX i chociaż mogą poddać się operacji zmiany płci, genetycznie zawsze będą mieli chromosomy XY lub XX”. Zdaniem dyrekcji rzekomo w tej sprawie interweniowali rodzice uczniów, którzy byli niezadowoleni z prezentacji tych naukowych faktów. I to jest dopiero ciemnogród. Bo wszak wiadomo, że Ziemia jest płaska.

Tymczasem kilkaset kilometrów na północny wschód od Madrytu w hiszpańskiej jeszcze Katalonii doszło do scen mrozących krew w żyłach, a które zostały przemilczane bądź przekłamane w medialnych relacjach. Imigranci z krajów Maghrebu rzucili się na aktywistów LGTB i doszło do tłuczki. Na filmiku umieszczonym w portalu magnapolonia.org widać scenę bójki w takt muzyki towarzyszącej imprezie homoseksualistów, w dodatku na tle tęczęwej flagi. Napastnicy mieli być uzbrojeni. Ponieważ obydwie grupy znajdują się pod specjalną ochroną medialną, a ujawnianie takich bójek nie służy sprawie „postępu”, tam gdzie informację podawano, nie tylko nie pojawiała się narodowość sprawców, lecz wręcz sugerowano, że to efekt „mowy nienawiści” i homofobii „skrajnej prawicy” z partii Vox. I tak



Afrykanie na Zachodzie dołączają do grona zwolenników „skrajnej prawicy”. Na razie tylko w mediach.

Aw Chorwacji poseł Nikola Grmoja, który niedawno ogłosił, że zaproponuje ustawę mającą na celu ochronę dzieci przed pedofilią i propagandą LGBT, otrzymał anonimowe groźby śmierci, także wobec rodziny. Na Grmoji dokonano medialnego linczu według utartego przez aktywistów LGBT i sprzyjających im dziennikarzy schematu. Najpierw chorwacki deputowany został fałszywie oskarżony o zrównywanie pedofilii z homoseksualizmem. Potem pod jego adresem pojawiły się anonimowe groźby. Niektóre z nich opublikował: „Czy jesteś gotowy umrzeć za swoje przekonania” i „Czy jesteś gotowy patrzeć, jak Twój bliscy leżą w trumnie?”. Tej ostatniej towarzyszyło zdjęcie dziewczyny w trumnie. Dodajmy, że Grmoja ma młodą córkę. Prezes jego partii Most Božo Petrov złożył na policji skargę również z powodu otrzymanych groźb. Petrov zareagował także wpisem na Facebooku, w którym stwierdził m.in.: „Czy naprawdę największym grzechem jest to, że chcę żyć moim życiem po swojemu i że chcę tak wychowywać dzieci? Dlatego otrzymuję groźby śmierci”. Ale Most nie pęka i politycy tej partii zapowiedzieli, że nie zrezygnują ze swoich propozycji i wyjdą z projektem jesienią. Tak w rzeczywistości wyglądają szczytne hasła „miłości”, „tolerancji” i „równości” w wykonaniu zwolenników LGBT i gender. Nie jest to nawet „kolorowe”, bo czarny kolorem nie jest.

Andrzej Rafał Potocki

W niechlubnej czołówce

W ostatnich tygodniach rząd Nowej Zelandii zaprezentował inicjatywy, których celem jest wyeliminowanie nałogu palenia papierosów w następnym pokoleniu. W planach administracji jest stopniowe podwyższanie wieku, w którym palenie tytoniu jest legalne, co z czasem spowodowałoby ustanowienie zakazu nabywania papierosów przez osoby urodzone po 2004 r. W 2011 r. zdecydowano, że Nowa Zelandia ma się całkowicie uwolnić od problemu palenia papierosów do 2025 r.



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

USA planują nakazanie obniżenia poziomu nikotyny we wszystkich papierosach sprzedawanych na terenie Stanów Zjednoczonych. Podobnie jak jest to na terenie Unii Europejskiej (od maja 2020 r.), rozważano także całkowity zakaz używania papierosów mentolowych, które są popularne zwłaszcza wśród młodych ludzi. W lutym br. Komisja Europejska przedstawiła projekt europejskiego planu walki z rakiem, który zakłada ograniczanie spożywania tytoniu i w ten sposób doprowadzenie do ograniczenia śmiertelności z powodu nowotworów. Obecne statystyki wskazują, że w UE 25 proc. mieszkańców to osoby palące. Komisja Europejska postuluje, aby do 2040 r. odsetek osób sięgających po wyroby tytoniowe spadł do 5 proc. Zmniejszeniu liczby palaczy sprzyjać ma dodatkowe opodatkowanie wyrobów tytoniowych oraz rozszerzenie obowiązywania przepisów dotyczących miejsc objętych zakazem palenia także na e-papierosy.

W Polsce od 2010 r. obowiązuje zakaz palenia w miejscach publicznych. Według badań przeprowadzonych dwa lata temu nałogowo paliło 21 proc. Polaków. Co oznacza, że od 2011 r. liczba palaczy obniżyła się o 10 pkt proc. W tym samym badaniu wykazano, że wśród osób sięgających po e-papierosy aż 28 proc. tłumaczy to panującą modą. W Polsce pali co drugi nastolatek. Pod względem liczby palących wśród młodzieży znajdujemy się w niechlubnej czołówce europejskich państw. Ok. 60 proc. osób w wieku 15–18 lat przynajmniej raz w życiu sięgnęło po papierosa, a średnia wieku tych, którzy próbują wyrobów tytoniowych po raz pierwszy, to 12–14, a nawet osiem lat.

Z powodu chorób spowodowanych paleniem umiera rocznie ponad 81 tys. osób, a 90 proc. zachorowań na nowotwór płuca można byłoby uniknąć, gdyby nie papierosy.

Zniechęceniu do sięgania po papierosy służyć ma proponowana zmiana opodatkowania skutkująca wzrostem cen wszystkich wyrobów tytoniowych. Według statystyk od pięciu lat cena paczki papierosów wzrosła o zaledwie 1,50 zł.

Dodatkowo o tym, jak skutecznie zaradzić problemowi powszechności palenia wśród młodzieży, świadczyć może przykład Islandii. To niewielkie państwo w ciągu dwóch dekad zdołało obniżyć odsetek młodych ludzi w wieku 14–16 lat sięgających po używki z 23 proc. ankietowanych do 3 proc. Kluczem do osiągnięcia sukcesu okazało się dostrzeżenie przez

specjalistów korelacji pomiędzy czasem spędzonym z rodzicami, uczęszczaniem na zajęcia pozalekcyjne a skłonnością do palenia papierosów, picia alkoholu i zażywania narkotyków. Z badań wynikało jednoznacznie, że problemy z używkami dotyczyły w znacznie mniejszym stopniu tych dzieci, które kilka razy w tygodniu uprawiały sport, spędzały czas z rodzicami, nie wychodziły z domu wieczorami i miały poczucie bezpieczeństwa w szkole. Wobec postawionej diagnozy postanowiono dofinansować zajęcia sportowe i artystyczne oraz wesprzeć organizację innych inicjatyw pozaszkolnych. Rodziców mobilizowano zaś do większej troski o swoje pociechy. Dzięki zastosowanym metodom liczba dzieci i młodzieży, które trenują minimum cztery razy w tygodniu, wzrosła do ponad 40 proc. Niemal wszystkie dzieci w wieku sześciu lat w Islandii potrafią pływać. Kondycja młodzieży znajduje późniejsze odzwierciedlenie także w sporcie zawodowym, w którym wymienione państwo, liczące 348 tys. ludności, ma swoje sukcesy – 41. miejsce w rankingu FIFA i 19. pozycja w światowej klasyfikacji piłki ręcznej.

REKLAMA

"Czas to miłość"
ks. Michał Dziędzic
i Weronika Ostrowska
poniedziałek-piątek, godz. 6.20,
12.45 i 18.45
sobota, godz. 8.15 i 12.45

"Moja misja na ziemi"
Ewa Pietrzak
sobota, godz. 10.30

Radio Warszawa 106,2 FM i www.radiowarszawa.com.pl

65/0821/F

RZECZY POSPOLITE

Powrót „króla”

Swego czasu mówiono na Donalda Tuska, ironicznie, „król Europy”. Teraz zgotowano mu powrót na „białym koniu”. Król jednak dużo stracił ze swej dawnej świetności, gronostajowe obszycia szkarłatnego płaszcza już dopadły mole, a i werwa wydaje się słabsza niż lata temu.

Dwie przyszły mi do głowy refleksje po owym hucznym powrocie. Pierwsza, oczywista – środowisko Platformy musiało już dojść do ściany (czytaj: sięgnąć dna) i zorientowało się, że nie jest dobrze. O tym zresztą wiedzą wszyscy od dawna. W opozycji lejce przejmują inne, młodsze „wilki”. W tak kryzysowej sytuacji z lochów PO wytacza się na mury stare, zakurzone działo wielkiego kalibru – platformerską grubą bertę. Ta jak lupnie, to pół hufca może jednym pociśkiem wyrzucić w powietrze. Problem ze starymi działami jest jednak taki, że nadgryzione zębem czasu nie są już tak celne jak kiedyś i – powiedzmy – zamiast w piechotę przeciwnika potrafią przyładować we własne tabory.

Jednak jest i druga sprawa – to opinia większości prawicowych komentatorów, czy to zawodowych, czy to amatorów



**Tomasz
Łysiak**

udzielających się w mediach społecznościowych, mówiąca o tym, że Tusk jest słaby, nijaki, iż nie stanowi zagrożenia dla obozu Zjednoczonej Prawicy. Mam inne zdanie w tej materii. Uważam, że Tusk, przy wszystkich swoich mrocznych zaszcłościach, przy całej swojej przeszłości, kłamstwach, błędach, grzechach, zaniechaniach, cynicznych grach, jest jednocześnie jednym z najniebezpieczniejszych politycznych graczy po stronie opozycji. To, używając terminologii bokserskiej, zawodnik wagi ciężkiej, przy którym Budka jest zaledwie kogucikiem. Tusk posiada warsztat polityczny. Potrafi grać bardzo ostro, bezwzględnie, brać pod but dziennikarzy, jednych zaatakować, a innych omamić uśmiechem. Jest też bardzo skuteczny w debatach, zwarcich przed kamerami. I – co ważne – przybywa do Polski z „wojskiem zaciężnym”, czyli pełnym wsparciem swoich przyjaciół i sojuszników w Unii Europejskiej, z Angelą Merkel na czele. Tuska nie wolno ani nie można lekceważyć, a jego powrót oznacza zaostrzenie gry i wymaga od prawicy już teraz rozpoczęcia „kampanii wyborczej”, która będzie trwała zapewne przez najbliższe dwa lata.



Forma rośnie

Z aktorem Karolem Strasburgerem rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Na początek gratulacje. Jak pokazują badania, mimo rosnącej konkurencji popularność „Familiady” nie słabnie. Czym pan by to tłumaczył?

Karol Strasburger: Po pierwsze, formatem, który zakłada dostępność dla wszystkich. Mamy uśrednionego widza, do którego opinii się odwołujemy, a każdemu się wydaje, że jest powyżej średniej, więc się zgłasza i – już przed kamerami – nie jest tak prosto, jak się wydawało. Po drugie, tu nieskrom-

nie powiem, co od początku realizuję. Założyłem sobie, że prowadzący jest omylny, że ma naturalny kontakt z uczestnikami i śmieje się razem z nimi, a nie ich wyśmiewa. Nie podąża też za modą, w której coraz bardziej krzykliwi zapowiadacze zachowują się, jak w czasie walk KSW. I jeszcze jedno: mimo upływu lat przykładam się do każdego kolejnego odcinka.

Cieszy pana, że TVP HD i TVP Kultura będą przypominać tego lata polskie filmy i seriale po rekonstrukcji cyfrowej? Wśród nich „Noce i dnie” z niezapomnianą sceną z nemufarami?

Niewątpliwie element cyfrowej jakości ma znaczenie dla młodszych odbiorców. Mogą oglądać film na komórce lub innych tego typu urządzeniach – i cieszy, że taki dostęp mają – ale nie zmienia to artystycznych walorów samego filmu. Zresztą, tak jak dźwięk na winylowej płycie, nieodnowiony cyfrowo obraz ma swój urok.

Udało się nam porozmawiać w przerwie turnieju tenisowego gwiazd w Świnoujściu. Gra pan czy kibicuje? I jak forma?

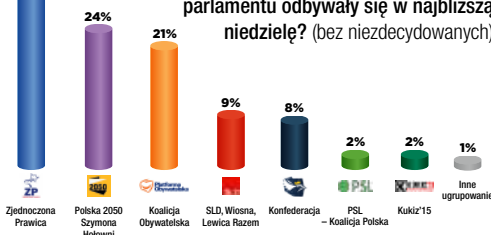
Oczywiście, że gram! A forma rośnie. Planuję, koło setki, być w najlepszej.

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



pracownia
Social Changes
dla **wPolityce.pl**

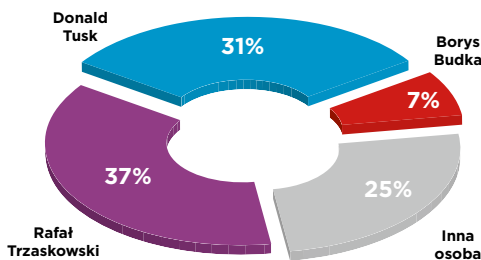
Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)



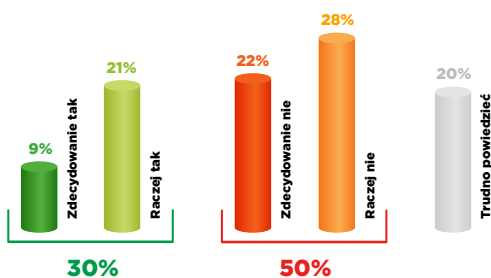
Czy polski rząd powinien sprzeciwiać się roszczeniom Izraela i środowisk żydowskich w sprawie tzw. mienia bezspadkowego, czyli majątku po Żydach będących polskimi obywatelami, którzy zostali zamordowani przez Niemców podczas II wojny światowej?



Kto według Pani/Pana powinien zostać przewodniczącym Platformy Obywatelskiej (PO)?



Czy według Pani/Pana przedstawiciele samorządów, prezydenci miast, burmistrzowie albo wójtowie powinni angażować się w ogólnopolską politykę partyjną?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięto udział N=1057.

Zakres czasowy badania 2-5 lipca 2021 r.

SIECI

ISSN 2544-2694
www.wSIECIprawdy.pl

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL.: (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIEŚLICKI, PIOTR CYWILSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, Cezary KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, TOMASZ ŁYSIAK,

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCOWSKA,
MARIOLA.BARCOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOŁIŃSKA, KATARZYNA ŁASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTODYDZIAŁ: ANNA ŁĄBECKA, ANIA ŁĄBECKA@FRATRIA.PL,
OBROBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE
WWW.WSIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSŁYKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA
E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE
WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI
ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ,
TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT,
MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN
POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH
RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA,
PRZEMYSŁAW SKRZYDLECKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR
ŚWIELIK, BRONISŁAW WILDESTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK
ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL:
PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ
Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI:
22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE
W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰.

KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KAKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.



FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR, ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, JACEK DOMIŃSKI/REPORTER,
JAN BIELDOWSKI/NEWS, SHUTTERSTOCK



Zardzewiały, ale groźny



Fot. Andrzej Wiktor

Konfrontacja jest nieunikniona – możemy tylko próbować wybierać tematy i czas. Uważam, że bez względu na naszą postawę Tusk odbuduje poparcie dla PO i to ta formacja będzie naszym głównym politycznym przeciwnikiem

Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają z Adamem Bielanem, liderem Partii Republikańskiej wchodzącej w skład Zjednoczonej Prawicy, posłem do Parlamentu Europejskiego, współtwórcą wielu kampanii wyborczych tego obozu w ostatnich dekadach

Minął tydzień od powrotu Tuska. To jest sukces?

Adam Bielan: Jestem zaskoczony. Sądziłem, że te siedem lat w Brukseli bardziej przepracowałem. Przypomina się angielskie powiedzenie o tym, że starego psa nowych sztuczek się już nie nauczy. Ono dobrze oddaje to, co prezentuje dzisiaj Tusk. Plus ten urlop od razu po powrocie.

O czym on świadczy?

Że się nie zmienił. Był i jest leniwy. Wszyscy w PO wiedzą, że on jeżdżenia po Polsce po prostu nie lubi. Zrobił to na dużą skalę tylko raz: w kampanii 2011 r. I to jest symboliczne, że teraz też pojechał do jednego miasta, bardzo przychylnego Platformie Szczecina, i od razu zapowiedział urlop. To jest tempo emeryta politycznego, a nie lidera, który za wszelką cenę chce odbudować swoją partię.

Może ten urlop jest znakiem, że coś poszło nie tak? Mamy internetowe żarty, że wyglądał jak sprzedawca niemieckich garnków w gronie pań emerytek. Ale czy oddają one prawdę?

Jeżeli chce pozostać szefem PO, będzie musiał do tego objazdu wrócić, to nie ulega wątpliwości. Ale jest też jasne, że będzie to dla niego droga przez mękę. Jako premier rządu robił sobie trzy-, czterodniowe weekendy, wyruszał do Sopotu w piątek rano, wracał niekiedy w poniedziałki wieczorem. Wiem z rozmów z ministrami w jego rządzie, że rzadko też wchodził w materię pracy resortów, bo nie chciało mu się przygotowywać merytorycznie. A tutaj, jeśli chce osiągnąć sukces, będzie musiał tyrać. Moja teza jest następująca: można się zmusić do objazdu kilkutgodniowego, nawet jeżeli to kogoś męczy. To przypadek Rafała Trzaskowskiego. Ale by stale mieć kontakt z ludźmi, być regularnie w terenie, trzeba to lubić i trzeba lubić ludzi. A czeka nas bardzo długa, dwuletnia kampania parlamentarna.

Dlaczego po siedmiu latach nieobecności zdecydował się wrócić?

Muszę sprostować: to kolejna próba powrotu. Już w 2019 r. zmontował Koalicję Europejską i jej faktycznie przewodził. Sam nie startował, ale to pod jego skrzydłami doszło do zjednoczenia całej opozycji. Wygłaszał wykłady, był główną gwiazdą nieudanego wiecu na placu Konstytucji w Warszawie. Sądzę, że był pewien sukcesu. Wybory europejskie były dla nas zawsze najtrudniejsze, mieliśmy przeciwko sobie niemal wszystkich w jednym wspólnym bloku. A jednak

przegrał. Nasza lista osiągnęła najlepszy wynik w historii polskiej demokracji – ponad 45 proc. głosów. Sądzę, że pod wpływem tego testu zdecydował, iż nie wystartuje w wyborach prezydenckich w 2020 r.

Ale jest znowu. Dlaczego?

Widzę trzy elementy. Po pierwsze, groził mu los politycznego emeryta, jego pozycja w Brukseli drastycznie osłabła. Po drugie, panika, że poparcie dla Platformy spadło do poziomu jednocyfrowego. Tusk bez wątplenia jest w stanie podciągnać PO na drugie miejsce w sondażach, przemówić do twardego kręgu wyborców.

Ale przynosi i ograniczenia.

Tak, z Tuskiem mają nad sobą sufit, ale tym się będą martwić później. Trzecim czynnikiem, być może rozstrzygającym impulsem, były działania Rafała Trzaskowskiego, w tym zaplanowany na koniec sierpnia Campus Polska. Gdyby to wyszło, to nawet przejmując Platformę, miałby na pokładzie konkurencyjny, rozłamowy projekt. Wszedł w ostatnim momencie, ale zdążył: środowisko Trzaskowskiego jest w szoku, nie wysyła na razie żadnych sygnałów, że może Platformę opuścić. Zarzuciło nawet temat startu prezydenta Warszawy w wyborach na szefa partii, już się ich szybko nie domaga.

Płaci cenę za brak zdecydowania? Przez dwa lata Platforma leżała, można było brać przywództwo.

Czekał, aż jabłko samo spadnie mu do fartuszka. W polityce tak nie ma, wszystko trzeba sobie wywalczyć. Nie da się być przywódcą wciąż największej partii opozycyjnej bez podjęcia walki o to. Tak długo zwlekając, Trzaskowski pokazał, że nie ma charakteru wojownika.

Z jakim planem dziś wraca Tusk? Siła ataku na Zjednoczoną Prawicę wskazuje, że liczy na powtórkę z lat 2005–2007. Jeśli ktoś pamięta tamten okres, może mieć wrażenie cofnięcia w czasie. Jakby ktoś puścił te same nagrania. Ten sam język, próba wywołania paniki moralnej, przyzwolenia na przekraczanie granic, zachęta do pogardy, skrajny populizm przy jednoczesnym oskarżaniu innych o populizm, agresja przy oskarżaniu innych o agresję.

Wtedy nie zawsze potrafiliśmy skutecznie na to zareagować. To Tusk przed wyborami 2005 r. bardzo brutalnie zerwał współpracę w parlamencie między PiS a PO, zaatakował nas radykalnie na konwencji na Torwarze, a po wyborach podjął na zimno decyzję, iż nie wchodzi do wspólnego rządu, skazując nas na współpracę z LPR

i Samoobroną. Sam, na zimno, podzielił scenę polityczną, a następnie oskarżał nas o tworzenie podziałów. Uruchomił język pogardy, stygmatyzował całe grupy społeczne, choćby przez określenie „moherowe berety”, a następnie narzekał w wywiadach z liberalnymi mediami, że Polska jest podzielona.

Wtedy przyniosło mu to sukces. Teraz też może?

W polityce trudno o takie powtórki. Co najważniejsze,

Polska jest dziś inna, nasz obóz jest inny. Dysponujemy stabilną większością w Sejmie, wtedy klub Prawa i Sprawiedliwości miał 154 mandaty i bardzo niestabilnych koalicjantów. Jeden z nich, Roman Giertych, przyznał później, że w rzeczywistości grał na Tuska, był koniem trojańskim w naszym obozie. Był to na tyle krótki czas, że mimo iż wiele udało się zrobić, wielu Polaków nie zdążyło odczuć poprawy. Ale przede wszystkim nikt nie odczuł jeszcze skutków rządów Tuska. Te dwa elementy czynią różnicę.

I był skuteczny.

Tak, musimy pamiętać o tamtym doświadczeniu, nie lekceważyć Tuska. To polityk doświadczony,

sprawny w grach wewnętrznych, brutalny do granic wyobraźni. Przerasta pod tym względem innych liderów opozycji, co pokazał w ostatnich dniach, rozgrywając ich wszystkich jak dzieci.

To posprzątane?

Oceniam, że partię sobie szybko podporządkuje. Oczywiście pozostaje pytanie, co się stanie z pokoleniem 40-latków, które trochę zasmakowało władzy w partii, a dziś Tusk pokazuje im miejsce w dalszych szeregach. Muszą zdecydować, czy to akceptują, czy biją się jednak o swoją pozycję. Wiem, że jako historyk Tusk uważa, iż triumwiraty się nie sprawdzają. Prędzej czy później ktoś musi wykończyć pozostałych. To przestroga dla Budki i Trzaskowskiego. Tusk musi dać Platformie perspektywę odzyskania władzy, bo na tym ta partia stoi. Idei tam żadnej nie ma. Jeśli sondaże utkną na średnim poziomie, jego przywództwo zacznie być podważane. Z naszej, Zjednoczonej Prawicy, perspektywy musimy zakładać, że szybko zrobi porządek w PO, ułoży ją po swojemu. Zapewne wypchnie tych, którzy mają silną osobowość, jak kiedyś wypchnął Rokitę, Olechowskiego, Płażyńskiego, Gilowską.

Ipójdzie dalej? Po Hołownię? PSL? SLD? Konfederację?

Będzie próbował. Ale tu sytuacja jest inna niż za czasów jego rządów, gdy PO była hegemonem w obozie III RP. Lewica była całkowicie rozbita, poza parlamentem. Jedyny

Tusk zaczął od stwierdzenia, że będzie codziennie organizował konferencje. Teraz szybko się irtuje, denerwuje, traci kontrolę nad sobą, nawet próbuje zastraszać. W warunkach realnego pluralizmu czuje się niekomfortowo



koalicjant Platformy, czyli PSL, był całkowicie zwasalizowany, a jego lider Władysław Kosiniak-Kamysz chodził i mówił, że myśli o połączeniu obu partii.

Zgodził się nawet firmować podniesienie wieku emerytalnego.

Jak mówił Paweł Graś nagrany u Sowy & Przyjaciół, „przeprowadził dwie najgorsze historie w wolnej Polsce po Buzku – reformę 67 i OFE”. Widać, że traktowali go jako człowieka do trudnej roboty. Ale dziś sytuacja jest inna. Lewica jest w Sejmie i choć podzielona wewnętrznie, ma duże ambicje, a na pewno samodzielność, której łatwo nie odda. PSL zasmakowało w wizji zbudowania nowego chadeckiego centrum i nawet gdyby Kosiniak-Kamysz przypomniał sobie dawne uczucia do Tuska, jego otoczenie będzie niechętnie podporządkowaniu się Platformie.

Czy nie uważa pan, że Tusk będzie próbował prowokować Jarosława Kaczyńskiego?

To dla nas ewidentne, oni – mówię o samym Tusku, ale i jego doradcach takich jak Igor Ostachowicz – są przywiązani do koncepcji, że należy prawicę sprowadzić do roli dzikich zwierząt w klatce, w którą co jakiś czas uderza się kijem i wywołanym tym hałasem straszy publiczność. Będzie mu teraz o tyle trudniej, że nie ma go w Sejmie, gdzie toczy się większość bezpośrednich polemik między liderami politycznymi. Ale też na razie obraz jawi się odmienny: to Tusk prezentuje się jako polityk nie do końca

Trzaskowski czekał, aż jabłko samo spadnie mu do fartuszka. W polityce tak nie ma. Pokazał, że nie ma charakteru wojownika

panujący nad własnymi emocjami. Zwróćcie, panowie, uwagę na rzucone w przemówieniu nieprawdziwe słowa o Zbigniewie Ziobrze, z których już następnego dnia musiał się wycofywać. Wcześniej takie numery mu się nie zdarzały. Chyba przecenił swoje umiejętności. Także interakcje z dziennikarzami, szybkość reakcji wskazują, iż jest, że tak powiem, zardzewiały.

Może się naoliwić?

Niewykluczone. Podkreślam: nie należy go lekceważyć. Ma dużą inteligencję medialną, umie się dostosować do oczekiwań. Na razie jednak nie potrafi się odnaleźć w warunkach pluralizmu medialnego, zaskoczyło go to.

Myślał, że to nadal świat, w którym wszystkich dokładnie to samo śmieszy i niepokoi? Gdzie wszystkie wieczorne dzienniki nadają to samo?

To jest świat, w którym funkcjonował przed wyjazdem. Przed rokiem 2014 mieliśmy monopol, główne media prywatne i rządowe kibicowały Platformie, Tuskowi osobiście. Powtarzały, jak tygodnik „Polityka”: „Tusku, musisz”. Pamiętamy wielomiesięczne starania, o czym wiemy z taśm u Sowy, o usunięcie redaktora naczelnego „Faktu”, podejrzanego o to, że jest ukrytym „pisiorem”. Wielomiesięczna, skomplikowana operacja, wymagająca starań u wdowy po Axelu Springerze, użycia rozmaitych wpływów – i to się udało. Grzegorz Jankowski przestał być naczelnym tego tabloidu. Został usunięty, choć nie był

jakoś specjalnie opozycyjny wobec rządu. Nie był jednak na telefon, nie był gotów spotykać się przy śmietniku, by pokazywać rzecznikowi rządu, co następnego dnia opublikuje jego pismo. System był domknięty. Dziś jest inaczej. O czym Tusk już się zresztą przekonał.

W którym momencie?

Zwróćcie, panowie, uwagę: Tusk zaczął od stwierdzenia, że będzie codziennie organizował konferencje prasowe, będzie odpowiadał chętnie na wszystkie pytania. Sądził zapewne, że to będą takie same przyjazne pogawędki jak w czasach jego rządów, gdy jego partia miała medialny monopol. Teraz szybko się irytuje, denerwuje, traci kontrolę nad sobą, nawet próbuje zastraszać. W warunkach realnego pluralizmu czuje się niekomfortowo, co polityków prawicy oczywiście bawi: wciąż nie jest traktowany choćby w połowie tak twardo, jak każdy z nas.

Charakterystyczne jest zdanie, które rzucił w momencie, gdy redaktor Miłosz Kleczek z TVP pytał go, kiedy dowiedział się o skali procederu korupcyjnego w aferze Sławomira Nowaka: „Co się tu dzieje?”. Ale Platforma i związane z nią media już suflują tezę, że te pytania to nagonka, która doprowadzi do tragedii. Nie ma takiego ryzyka?

Tusk ewidentnie próbuje tym grać, co jest podłością. Przypomnę, że to za jego rządów doszło do politycznego zabójstwa w Łodzi, zginął działacz Prawa i Sprawiedliwości śp. Marek Rosiak, drugi, Janusz Tomaszewski, został ciężko ranny. Napastnik krzyczał, że chce zabić Jarosława Kaczyńskiego. Może nakręcił go język, który wprowadził do polityki, za zgodą Tuska, Janusz Palikot? Przypomnę też, że to liberalne media najmocniej krytkowały też śp. Pawła Adamowicza. Niekiedy wręcz mu groziły, że nie doczeka do końca kadencji, bo wyłamał się z PO. Ale oczywiście Tusk będzie starał się zrobić z siebie ofiarę. Tylko kogo? Widzieliśmy, jak to wyglądało w Szczecinie. Oto jakaś pani sama przychodzi na wiec, chce powiedzieć o tym, co zrobiono za jego rządów ze stoczniami. I to ona jest brutalnie, fizycznie atakowana. Tusk jest mistrzem w odwracaniu kota ogonem: atakuje media i dziennikarzy za zadawanie oczywistych pytań, a krzyczy, że jest ofiarą nagonki.

Małgorzata Kidawa-Błońska wyraziła opinię, że część Polaków nie pamięta, jak on rządził, że jest dla nich tylko człowiekiem, który zrobił karierę na Zachodzie. Może to jest ten plan? Liczą na amnezję?

Musimy brać pod uwagę, że część Polaków nie pamięta okresu rządów PO, niektórzy może zapomnieli. Musimy liczyć się z cynicznie wrzucanymi kłamstwami, jak to o przygotowywaniu przez Ewę Kopacz programu podobnego do 500+.

Wysmiał to nawet polityk PSL Marek Sawicki, a w mediach przypomniano szyderstwa z 500+ samej Kopacz. Ale część publiczności pewnie uwierzy.

To wszystko z jednej strony niebezpieczne manipulacje, z drugiej dla nas pozytywne, bo kończy okres prób przemałowania Platformy, obsadzenia w roli jej liderów polityków mniej kojarzących się z okresem Tuska, choć jak Trzaskowski czy Budka będących u niego ministrami. Dlaczego to robiono? Bo sama PO czuła, że tamte rządy są źle pamiętane, są obciążeniem. Dziś nie ma wątpliwości, że to jest oferta powrotu do tego, co było.

Sprawa Sławomira Nowaka, potężna afera korupcyjna, o której piszemy w tym numerze „Sieci”, to dla Tuska poważne obciążenie?

Bardzo. To jego najbliższy współpracownik przez wiele lat, osoba z najbliższego kręgu, polityk typowany na jego następcę. Wyjazd Nowaka na Ukrainę był żyrowany przez Tuska, który podobno za-

chwalał jego zalety, reklamował umiejętności w bezpośredniej rozmowie z ówczesnym prezydentem Ukrainy Petro Poroszenką.

Jak obóz rządzący powinien pana zdaniem zareagować na powrót Tuska? Czy wiecie, jak go zatrzymać?

Stało się coś, o czym się mówiło, ale w co wielu nie wierzyło. Także w naszym obozie. Trzeba wypracować odpowiedzi na każdym szczeblu. Bez wątpienia będzie to polityk poważniej traktowany, niż był Borys Budka. Spodziewam się, że – może w innym może stylu – jednak będzie rozwijał doktrynę Grzegorza Schetyny: ulica i zagranica. Nie wykluczam dużych demonstracji ulicznych, które już robił w latach 2005–2007, choćby Błękitny Marsz. Z całą pewnością może być skuteczniejszy od Schetyny w formułowaniu nacisków z zewnątrz, z Brukseli i teraz jeszcze z Waszyngtonu. Jednym z architektów jego powrotu jest Radosław Sikorski, który zapewne użyje swoich wpływów amerykańskich. Na to wszystko nie ma innego sposobu niż żmudna praca w terenie, uparte prostowanie kłamstw, manipulacji. Nie możemy odpuścić, musimy twardo walczyć z jego propagandą. Broni nas jakość naszych rządów, wymierne

efekty, odczuwalne przez miliony Polaków i widoczne w statystykach.

To będzie znowu totalna opozycja?

Przypuszczam, że jeszcze ostrzejsza, brutalniejsza niż to, co widzieliśmy za rządów w PO Grzegorza Schetyny. Tusk będzie chciał doprowadzić do skrajnych podziałów, do emocji, które już sprowokowały do mordu politycznego w Łodzi w roku 2010, bo on się takimi podziałami żywi.

Niektórzy podpowiadają, by Tuskiem w ogóle się nie zajmować. Nie nagłaśniać. Przemilczeć.

To kuszące, ale obawiam się, że niemożliwe i nie byłoby skuteczne. I tak byłoby o nim głośno, a brak reakcji na rzucane kłamstwa, na tezy, iż programy społeczne rządów PiS to jego pomysły, że to on wynegocjował pieniądze w Brukseli, mógłby stworzyć wrażenie, iż się z tym zgadzamy. Straty mogłyby być potem nie do odrobienia. Konfrontacja jest nieunikniona – możemy tylko próbować wybierać tematy i czas. Uważam, że bez względu na naszą postawę Tusk odbuduje poparcie dla PO i to ta formacja będzie naszym głównym politycznym przeciwnikiem. Nie widzę na razie ani u Trzaskowskiego, ani u Hołowni chęci walki.

Bierność tego ostatniego szokuje. Gdyby był prawdziwym liderem, walczyłby, bronił swojego dorobku od pierwszego dnia.

Ale – jak widać – nie jest. Na Wschodzie takie formacje określa się mianem „partii technicznych”, wystawianych przez jakiś mecenasów, którzy traktują je jako własne zasoby, w razie konieczności zwiżane, sprzedawane. Można się spodziewać, że ludzie stojący za Hołownią postawili krzyżyk na Platformie Budki, ale Platforma

Tuska jest już dla nich atrakcyjną ofertą. Bo w ich mniemaniu daje większą szansę na osiągnięcie ich podstawowego celu: odsunięcia Prawa i Sprawiedliwości od władzy.

Co dla Zjednoczonej Prawicy zmieniło się po poprzedniej sobocie?

Nasz oboz potrzebuje takich bodźców. Musimy pamiętać, że jako partia ciepłej wody w kranie nie mamy szans. Polacy na nas głosują, bo chcą dobrych zmian. Nowy przewodniczący PO na pewno nas wewnętrznie spaja, wcześniej poziom wewnętrznych konfliktów przekroczył granicę rozsądku. Niektórzy z nas byli chyba blisko stwierdzenia, że nie mamy z kim przegrać. On nas mobilizuje, uświadamia, co się może wydarzyć, jeżeli będziemy popełniać błędy: może nastąpić restauracja systemu Tuska, rządów nieefektywnych i dusznych, z ograniczeniami wielu wolności, uległych wobec potęg.

Może właśnie w tych potęgach jest klucz do jego powrotu? Będzie skorelowany z jakimś szantażem z Brukseli? Wszak czytamy w prasie niemieckiej, że kanclerz Merkel „straciła cierpliwość do Polski”.

Z całą pewnością Tusk ma świetne relacje z Merkel, ale ta po jesiennych wyborach nie będzie już kanclerzem. Tusk ma oczywiście siatkę kontaktów w Europie i Brukseli, ale musimy też pamiętać, że od dwóch lat jest na całkowicie bocznym torze. Tamten świat też nie stoi w miejscu. W hierarchii wpływów politycznych funkcja szefa partii europejskiej znaczy dużo mniej niż choćby szefa frakcji w Parlamencie Europejskim. Nie mówiąc już o premierach rządów. Sądzę, że tę jednak degradację odebrał jako marginalizację, upokorzenie. Takie sygnały do nas docierały. Mówiono też w jego otoczeniu, jak boli go, że kolejne wypowiedzi, wpisy, odbijają się coraz mniejszym echem w Polsce.

To jeden z powodów, o których już pan wspomniał: miał poczucie, że jeszcze trochę i zostanie emerytem?

Na polityczną emeryturę już go przecież publicznie wysłał Rafał Trzaskowski w ubiegłorocznej kampanii prezydenckiej. Na pewno to wrażenie, że jego wpływy znacznie słabną, było ważnym czynnikiem skłaniającym do powrotu. Chce sobie udowodnić, że jeszcze coś może znaczyć. Musimy pamiętać, że doskonale wie, iż premier Mateusz Morawiecki wyrabia sobie coraz mocniejszą pozycję w Europie, że rząd wynegocjował dla Polski ogromne pieniądze, 770 mld zł, jesteśmy trzecim największym beneficjentem funduszu odbudowy, po Włoszech i Hiszpanii, a największym beneficjentem w obszarze funduszy strukturalnych. To wszystko obala jego mit człowieka wyjątkowego wpływowego i skutecznego w Unii Europejskiej.

Na koniec: nie macie traumy, że nigdy z nim nie wygraliście?

Powtórzę to, od czego zaczęliśmy tę rozmowę. Wygraliśmy z nim w starciu bezpośrednim, w wyborach europejskich 2019 r. Zgromadził wtedy pod swoimi skrzydłami i PSL, i postkomunistów, i celebrytów. Dał swoją twarz, dał z siebie wszystko. A jednak wygraliśmy. Nie boimy się go. Cztery lata temu mówiono to samo: nie mamy szans na reelekcję, nie ma szans na kolejne zwycięstwo Andrzeja Dudy. Sondaże były wtedy znacznie gorsze, na ulice wyprowadzono dziesiątki tysięcy ludzi. A jednak wygraliśmy. Kolejne zwycięstwa są całkowicie możliwe. Wszystko zależy od naszego obozu, jego jedności, uznawania przywództwa w Zjednoczonej Prawicy Jarosława Kaczyńskiego, pokory, pracowitości. A nie znam innego człowieka, który by nas tak mocno mobilizował, jak Donald Tusk.

Spodziewam się, że Tusk – w innym może stylu – jednak będzie rozwijał doktrynę Schetyny: ulica i zagranica

Drugie dno

To największy w III RP korupcyjny skandal na szczytach władzy. W jego centrum jest były konstytucyjny minister, szef gabinetu politycznego premiera, prezydencki minister. Jak wszystko na to wskazuje, mówimy o łapówkarzu ukrywającym w specjalnie przygotowanych skrytkach miliony złotych. Niezwykle pazernym na pieniądze, wyrachowanym, stosującym metody znane z filmów o mafii. Już po zatrzymaniu Sławomira Nowaka trudno było mieć większe wątpliwości co do jego win. W trwającym od początku 2019 r. śledztwie, od pewnego momentu prowadzonym wspólnie z ukraińską prokuraturą, zebrano potężny materiał dowodowy, który przekonująco odsłania gangsterski mechanizm działania byłego najbliższego współpracownika Donalda Tuska.



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

DNO, I TO PODWÓJNE

Spore wrażenie robi notatnik, w którym – jak stwierdził biegły grafolog – Nowak prowadził przestępczą buchalterię. Zapisywał w nim np., jakie kwoty zostały ukryte w różnych „dziuplach”. Po powiązaniu z innymi dowodami – zeznaniami świadków, analizą transakcji bankowych oraz odnalezioną w skrytkach gotówką

– śledczy ustalili, że w dwóch mieszkaniach grupa przestępcza poupychała równowartość kilku milionów złotych.

Skrytki te zobaczyliśmy – na ujawnionych filmach z przeszukań przeprowadzonych przez CBA. Podwójne dno w szafkach, specjalnie skonstruowane szuflady. Tylko w dwóch lokalach formalnie należących do współnika Nowaka Jacka P. (w rzeczywistości miały stanowić majątek samego eksministra) znaleziono ponad 506 200 dol., 530 200 euro i 30 tys. zł.

Na gumkach, którymi owinięte były pliki banknotów (a także „innych przedmiotach służących do przechowania gotówki”), znaleziono materiał genetyczny „należący do co najmniej czterech osób”. Jedną z nich jest Nowak. Nie ma więc wątpliwości, że pochodzące

Prokuratura wyłożyła niektóre karty na stół. Poznaliśmy część dowodów w sprawie ogromnej korupcji Sławomira Nowaka. Teraz już nikt nie będzie próbował robić z niego „więźnia politycznego”. Powracają za to pytania o protekcję, jaką zapewniał mu były premier. I o wiedzę Donalda Tuska na temat przekrętów swojego podopiecznego w czasach ich wspólnej pracy w rządzie

z przestępstw pieniądze przechodziły przez jego ręce. Osobiście wciskał je do szuflad czy może „tylko” przeliczał? Tego jeszcze nie wiemy.

Ale system działania jego siatki został dość szczegółowo wyjaśniony. Dzięki temu łatwo zrozumieć, dlaczego człowiek odpowiedzialny za budowę dróg przed Euro 2012 usłyszał aż 17 prokuratorskich zarzutów. Chodzi o założenie zorganizowanej grupy przestępczej i kierowanie nią, przyjęcie korzyści majątkowych w kwocie 6,5 mln zł, żądanie łapówek w wysokości 4,5 mln zł, płatną protekcję w związku z pełnieniem funkcji szefa Ukrawtodoru (ukraiński odpowiednik GDDKiA), pranie brudnych pieniędzy w kwocie ok. 5 mln zł. Ale też grzechy z czasów, gdy zajmował wysokie stanowiska w Polsce: żądanie i przyjmowanie

łapówek w latach 2012–2013 w zamian za stanowiska w spółkach skarbu państwa (chodzi m.in. o Orlen i Energe) oraz płatną protekcję w związku z pełnieniem funkcji ministra transportu oraz szefa gabinetu politycznego premiera.

WSPÓLNICY PĘKLI

W 135 tomach akt śledztwa znajdują się zeznania kilkudziesięciu świadków, sporo dokumentacji przetargowej i bankowej, ale przede wszystkim wyjaśnienia złożone przez innych podejrzanych. To oni wskazali mieszkania, w których ukryto gotówkę. Opowiedzieli też o detalach procederu.

Jacek P. zeznał, że Nowak zwierzył mu się, iż dostaje łapówki „w formie ryczału rocznego” od Oleksandra Tyslenki w zamian za wspieranie przedsiębiorcy w przetargach prowadzonych w Ukraw-todorze. Wyjaśnił, że na prośbę Nowaka kupił mieszkania w Trójmieście i Warszawie oraz luksusowe auto. „W styczniu 2019 r. Sławek wpadł na pomysł, że kupi sobie samochód. Przyszedł do mnie do mieszkania i zapytał mnie, czy nie kupię na siebie samochodu Range Rover ze środków, które mu przechowywałem”. Ujawnił również, że w 2017 r. Nowak przekazał mu w gotówce kilkanaście tysięcy złotych, by kupił dzieła sztuki. „Sławek mówił, że jak przywiozę te obrazy do Gdańska, to mam je trzymać u siebie i jakby co, to mam mówić, że te obrazy kupiłem do mojego biura w Warszawie”. Jacek P. ujął je w swoim testamencie jako darowiznę dla syna Nowaka.

Widać, że były baron Platformy na Pomorzu działał z rozmachem, dywersyfikował środki pochodzące z przestępstwa. Jednocześnie starał się dbać o bezpieczeństwo swoich szwindli.

Raz jeszcze Jacek P.: „W 2019 r. Sławomir N. przewiózł z Ukrainy telefon marki Samsung, który miał zabezpieczać nasze rozmowy przed podsłuchem. Telefon ten posiadał ukraińską kartę SIM typu pre-paid. Ta karta nie była zarejestrowana na żadną osobę. Porozumiewanie odbywało się tylko za pomocą komunikatorów internetowych. Ten telefon nigdy w Polsce nie miał uruchomionej transmisji danych, aby nie logował się w sieci BTS. Korzystałem tylko z wi-fi. Instrukcje co do takiego korzystania z telefonu przeka-

zał mi Sławek. [...] Tym telefonem Sławomir przekazywał mi instrukcje dotyczące odbioru pieniędzy lub też prowadziliśmy rozmowy na temat planowanych działań operacyjnych”.

Na nieszczęście Nowaka pełnej ostrożności nie zachował. Jak przekazał prokurator generalny Zbigniew Ziobro, w śledztwie zabezpieczono rozmowy na komunikatorach WhatsApp i Signal, które wielu osobom wydają się bezpieczne, bo połączenia przez nie są szyfrowane. Polskie służby dysponują jednak narzędziami do łamania tych zabezpieczeń.

Według naszych informacji kontrola operacyjna została Nowakowi założona po tym, jak w 2017 r. analityk CBA natrafił przy innej sprawie na lewe interesy byłego ministra. Dalsze działania polskich i ukraińskich śledczych były więc ściśle ukierunkowane. Już wtedy płonne były więc nadzieje Nowaka na przeniesienie gangsterskich działań na polski rynek. Jak wiemy, instruując Jacka P. przed negocjacjami z jednym z kontrahentów w przekrętach, opowiadał mu, „że co prawda teraz przy władzy jest ta partia, ale jak to się zmieni, to będzie można wiele spraw załatwić, bo będzie partia, z której on się wywodzi”.

WIELKA KASA

Skąd się wzięły te gigantyczne pieniądze, o których mowa w przypadku „złotego chłopca PO”? Nowak miał przyjąć blisko pół miliona złotych od Oleksandra Tyslenki, przedstawiciela Altkomu, jednej z największych ukraińskich firm budowlanych. Pieniądze (w dwóch ratach i płacone w euro oraz dolarach) trafiły na konto Jacka P. Trzecią transzę Nowak otrzymał w gotówce (49 500 dol.), również poprzez P. Taka była cena wsparcia Altkomu przez szefa Ukrawtodoru przy przetargach m.in. na budowę i remonty drogi M-05 Kijów–Odessa. Inwestycje te realizowane były z funduszy Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju.

Drugi dobrze udokumentowany przypadek korupcji dotyczy przetargów związanych z autostradą M-05 Kijów–Charków–Dołżański, wiodącą od stolicy do granicy z Rosją (wartość kontraktów podpisanych w maju 2018 r. wyniosła

ponad 175 mln dol., tu zaangażowane były środki EBOiR oraz Europejskiego Banku Inwestycyjnego). W obu przypadkach Nowak działał przy wydatnym udziale swojej asystentki – także już zatrzymanej – Wiry B. (wcześniej pracującej na Ukrainie dla Kulczyk Foundation). To ona w imieniu swego pryncypała zażądała łapówki od tureckiego biznesmena Emrego Karaahmetoğlu, a do transakcji wykorzystano spółkę założoną na Cyprze na polecenie Nowaka przez byłego dowódcę GROM Dariusza Z. Turecka spółka podpisała z cypryjskim podmiotem umowę na fikcyjne usługi doradcze, w której ramach na konto tego ostatniego miało przez dwa lata wpływać po 45 tys. euro miesięcznie, co razem dałoby równowartość 4,6 mln zł.

Cypryjska spółka miała też być wykorzystana do wyprania pieniędzy z łapówki od polskiej spółki ECM Group za przetargi dotyczące opracowania kosztorysu remontu kolejnych dróg. Prowizja dla grupy Nowaka miała wynieść 10 proc. od kontraktu o wartości 1,6 mln euro. Według doniesień ukraińskiego dziennikarza Jurija Butusowa 19 sierpnia 2019 r. Nowak miał powiedzieć Dariuszowi Z., że nie zamierza pomagać Grupie ECM w nowych projektach, dopóki się z nim „nie porozumieją”.

Szajka dowodzona przez Nowaka wpadła na jeszcze jeden pomysł legalizowania łapówek. Eksminister polecił Jackowi P. założyć spółkę Onur Polska. Zarejestrowano ją w listopadzie 2018 r. Obejmując w niej 30 proc. udziałów, P. wpłacił 182 tys. zł, które wcześniej otrzymał w gotówce (w euro) od Turków. Pozostałe 70 proc. udziałów (o wartości 700 tys. zł) objął turecki Onur. Na papierze prezesem podmiotu został Karaahmetoğlu, P. zaś członkiem zarządu. W sumie zalegalizowano w ten sposób blisko 900 tys. zł łapówek.

DLACZEGO ON, DLACZEGO TAM?

Dzisiaj brzmi to wyjątkowo zabawnie, ale o miękką promocję skompromitowanego w Polsce polityka zadbał nawet kulinarny ekspert Robert Makłowicz. Przechadzając się między dziurami w asfalcie, zachwalał potrawy i psioczył na drogi, mówił jednak, że to się niebawem zmieni: „Trwa właśnie gigantyczna drogowa ofensywa,



za chwilę będzie tutaj równiutki asfalt. Nie wiem jak państwu, ale mnie miło jest pomyśleć, że odpowiada za to pan Sławomir Nowak, który dowodzi drogownictwem na całej Ukrainie”.

Sławomir Nowak objął funkcję prezesa Ukrawtodoru i stał się ukraińskim urzędnikiem państwowym w październiku 2016 r. Wtedy też przyjął ukraińskie obywatelstwo. Jak doszło do tego, że były minister polskiego rządu wylądował za wschodnią granicą i stał się osobą odpowiedzialną za tak newralgiczny odcinek jak budowy i remonty dróg? Ktokolwiek był choć raz za naszą wschodnią granicą, wie, o co chodzi. Nielatane latami dziury i tysiące urwanych zawieszonych na ukraińska codzienność. Nowak miał być powiewem świeżości, szansą na zmianę skostniałego układu, a jego rekomendacją miały być „osiągnięcia” z polskich budów przed Euro 2012. Osobiście odpowiadała za nie jako minister transportu i pełnomocnik rządu Donalda Tuska.

Efekty w postaci kilometrów wybudowanych dróg może nie były porażające, ale – jak wówczas zauważali komentatorzy – nie chodziło o to, by zbudować, ale by budować. Jak w 2013 r. pisał „Forbes”, „na polskich drogach działał kartel za granicznych spółek, który zdominował rynek i przez kilka kolejnych lat windował ceny usług budowlanych”. Efekt był

taki, że koszty budowy dróg mogły być zawyżone nawet o 5 mld euro.

„Polskich” wątków działalności Sławomira Nowaka na odcinku budowlanym jest więcej. W maju „Gazeta Polska Codziennie” pisała, że prokuratura bada, „czy były minister transportu powoływał się na wpływy w gdańskim urzędzie miasta, załatwiając tam pozytywne decyzje m.in. dla niektórych deweloperów”. Gdański ratusz nie chciał wówczas komentować tych doniesień, zaslaniając się faktem, że „czynności śledcze/procesowe” są wciąż w toku. Pełnomocnik Nowaka mecenas Joanna Broniszewska zapewniała, iż „nie jest prawdą, że prokuratura i CBA badają jakiegokolwiek nowy wątek w przedmiotowej sprawie”. W gdańskim urzędzie miejskim wiceprezydentem odpowiedzialnym za budownictwo był wówczas Wiesław Bielawski, znany także pod pseudonimem Walizeczka. Dziś zatrudniony jest w miejskiej spółce Gdańska Infrastruktura Wodociągowo-Kanalizacyjna (GIWK). Na pytanie portalu wPolityce.pl odpowiedział: „Brałem udział w jednym spotkaniu z udziałem Sławomira Nowaka, Jarosława Szanajcy oraz śp. Pawła Adamowicza. Spotkanie miało charakter ogólny. Była to prezentacja strategii firmy Dom Development, wchodzącej na rynek trójmiejski”. Szanajca to prezes zarządu Dom Development SA.

PRACA DLA SWOICH

W kwietniu 2021 r. Jacek Krawiec, były prezes PKN Orlen, udzielił wywiadu „Newsweekowi”. Poza rytualnym narzekaniem na obecne kierownictwo i politykę kadrową paliwowego giganta można w nim znaleźć przepelnione żalem wyznania człowieka, który czuje się prześladowany przez „pisowską prokuraturę” i „policję polityczną, jaką niewątpliwie jest CBA”, „którą stać absolutnie na różne świństwa”. Krawiec mówi: „W drugim postępowaniu, prowadzonym przez Prokuraturę Okręgową w Warszawie usłyszałem, że za pośrednictwem osoby trzeciej wręczyłem jakieś łapówki Sławomirowi Nowakowi, który rzekomo wynegocjował mi kontrakt w Orlenie. [...] Na szczęście mamy jeszcze niezależne sądy, które cztery razy nie dostrzegły wystarczających powodów, by mnie pozbawić wolności. To również świadczy o jakości tych zarzutów i dowodów, które mają je rzekomo uprawdopodobniać”.

Kilka miesięcy wcześniej, 30 września 2021 r., przeczytaliśmy w komunikacie: „Wśród trzech osób zatrzymanych przez CBA w śledztwie związanym z byłym ministrem transportu Sławomirem Nowakiem są były prezes PKN Orlen Dariusz Jacek K. oraz były członek zarządu spółek energetycznych Wojciech T., związany w przeszłości m.in. z PGE”. Trzecią zatrzymaną osobą był mężczyzna, który w imieniu K. miał przekazywać Nowakowi łapówki. To były pieniądze (łącznie ok. 200 tys. zł) za posadę w paliwowym koncernie.

Fragment protokołu przesłuchania Jacka P.: „Wiem o tym, że Sławomir N. pomógł Jackowi K. zostać prezesem zarządu Orlen SA oraz negocjował warunki jego zatrudnienia. W zamian za to K. finansował wspólne wakacje ich rodzin. Ale tego było N. mało i zażądał gotówki, więc K. na spotkaniu z N. i ze mną powiedział, że podwyższy wysokość mojego miesięcznego wynagrodzenia wynikającą z kontraktu (bo miałem wówczas umowę doradczą z [...] o taką kwotę, abym mógł przekazywać z tego 5000 zł netto Sławomirowi N. Tak się stało, podwyższono moje wynagrodzenie i otrzymywałem o 5000 zł netto więcej,

którą to kwotę w całości oddawałem N. w gotówce”.

Nowak był wówczas szefem gabinetu premiera Donalda Tuska, a następnie ministrem transportu w jego rządzie. Zatrzymano także Wojciecha T., byłego członka zarządów spółek PGE i Energa. Ponownie Jacek P.: „Wiem również o tym, że Sławomir N., jak był ministrem w rządzie Donalda Tuska, to przyjmował korzyści majątkowe w zamian za zatrudnienie konkretnej osoby w zarządzie spółki skarbu państwa. Wiem, że taką korzyść N. przyjął od Wojciecha T. dwukrotnie. Wiem to od samego T”. T. zapłacił dwukrotnie, ale za posady w dwóch spółkach. Logiczne.

Politycy Platformy nie
szczędzili pieniędzy na
poręczenie majątkowe, które
ma uchronić Nowaka od
ponownego aresztu. Hanna
Gronkiewicz-Waltz wpłaciła
na tę „zbiórkę” 110 tys. zł,
prof. Andrzej Rzońca, główny
ekonomista PO, 70 tys. zł

JAK OJCIEC I SYN

W innym przypadku 17-letnia różnica wieku, która jest między Donaldem Tuskiem a Sławomirem Nowakiem, sprawiałaby, że można by mówić o różnicy pokolenia. Tutaj nie. Owszem politycznie Tusk Nowaka w zasadzie usynowił, był mu przewodnikiem i mentorem, ale szybko zaczął traktować go po partnersku, wręcz z przyjaźnią. Wspierał go nawet wtedy, gdy po aferze zegarkowej i pierwszych poważnych oskarżeniach o łapówki musiał odejść z rządu. „Trzymaj się w tych ciężkich dla ciebie chwilach. Jesteśmy z tobą” – mówił Tusk, co odebrano jako ostantacyjną deklarację, że będzie go bronił do końca.

Dzisiaj, gdy na jaw wychodzą coraz bardziej ordynarne przekręty, a do-

wody wydają się mocne i jednoznaczne, „zbawca” Platformy jest ostrożniejszy. „To jest sprawa między prokuraturą, sądem i Sławomirem Nowakiem” – mówił były premier i reagował agresją, gdy dziennikarze TVP próbowali drążyć temat.

W partii jednak wszyscy pamiętają wysłany wcześniej sygnał: Nowak jest osobą z najwyższego kręgu zaufania, trzeba okazywać mu każde możliwe wsparcie. I tak się dzieje.

Portal wPolityce.pl ustalił, że politycy Platformy Obywatelskiej nie szczędzili pieniędzy na poręczenie majątkowe, które ma uchronić Sławomira Nowaka od ponownego aresztu. Hanna Gronkiewicz-Waltz wpłaciła na tę „zbiórkę”

110 tys. zł. Najbardziej zaufanego polityka Donalda Tuska wesprzeć miał też prof. Andrzej Rzońca, główny ekonomista Platformy Obywatelskiej, który przekazał na ten cel 70 tys. zł. Małgorzata Kidawa-Błońska wsparła Nowaka przelewem w wysokości 500 zł.

Prokuratura poręczenia jednak nie przyjęła, powołując się na przepis zabraniający organizowania zbiórek na taki cel. W chwili zamykania tego numeru tygodnika „Sieci” Nowak przebywał jeszcze na wolności. Ostateczną decyzję podejmie sąd. Ale niewykluczone, że szybko – ponownie – zamkną się za nim drzwi aresztu. Zwłaszcza że już wcześniej sądy doceniały pracę prokuratorów, orzekając tymczasowe aresztowanie byłego ministra.

Nic dziwnego, że powracającemu do polskiej polityki byłemu premierowi puszczają nerwy. Żadna z wcześniejszych afer z okresu rządów PO – hazardowa, stoczniowa czy Amber Gold – nie dotyczyła bowiem tak bezpośrednio najbliższego człowieka Donalda Tuska, w dodatku nie pozostawiając złudzeń co do jego ciężkich przestępstw korupcyjnych.

Naturalne jest więc, że wracają pytania: czy w czasie budowy dróg na Euro również dochodziło do przekrętów? Jaką wiedzę o działalności Nowaka ma Tusk? I kto załatwił byłemu modelowi i szefowi platformerskiej młodzieżówki robotę na Ukrainie, która była dla niego wyłącznie okazją, która czyni złodzieja?

Dwa partyjne mityngi

Podczas gdy niema Platforma staje się po powrocie Tuska teatrem jednego aktora, Kaczyński wydaje się dążyć do etatyzacji i biurokratyzacji swego aparatu partyjnego



JAN ROKITA

Na czoło wielkich mityngów partyjnych, które odbyły się w pierwszych dniach lipca, wysunęły się personalia. Odkąd świat istnieje, kwestie przywództwa, sukcesji oraz intryg, spisków i wojen na tym tle stanowią napęd polityki, a kto wie, czy nie główną oś całej politycznej historii. Tym razem akurat sporo się wokół tej osi działo w obu głównych partiach – i w PiS, i przede wszystkim w Platformie. Co ważniejsze – scenariusz, w jakim sprawy personalne poszły naprzód w obu partiach, był przez wielu jeszcze nie tak dawno traktowany jako co najmniej niezbyt prawdopodobny.

Mateusz Morawiecki ostatnio był uważany raczej za polityka podupadającego w swym partyjnym zapleczu. A to z racji coraz liczniejszych kłopotów z buntującymi się w związku z zarazą przedsiębiorcami, protestującą nieustannie służbą zdrowia, poważnymi oskarżeniami NIK i coraz bardziej kruchą większością sejmową, a teraz jeszcze – niepewnością przejścia sztabowego projektu podwyżek podatków i składek dla części biznesu.

Z kolei w przypadku Donalda Tuska, choć wobec coraz gorszej dlań koniunk-

tury w Europie można się było spodziewać z jego strony prób politycznej repatriacji, do niedawna mało kto (z niżej podpisanym włącznie) wierzył, że ot tak, jakimś mało eleganckim statutowym fortem zechce on znów sięść na krzesło szefa Platformy.

MORAWIECKI I „UCHWAŁA SANACYJNA”

Kongres PiS był, jak się zdaje, potrzebny głównie do formalnego odnowienia niekwestionowanego panowania w partii Jarosława Kaczyńskiego oraz zaplanowanych przezeń modyfikacji w zarządzeniu partią. W tym sensie nie mógł być widowiskiem spektakularnym. Politycznego znaczenia nabrały zatem na nim dwa fakty dość odmiennej natury. Po pierwsze – wybór Morawieckiego na wiceprezesa, a może nawet nie tyle sam ów fakt, ile ogromne poparcie i największa liczba głosów, jakie zebrał premier. Co prawda sam Kaczyński nie tak dawno (w wywiadzie dla Interii) z góry bagatelizował ów wybór, mówiąc: „U nas w partii wiceprezesów jest wielu i nie ma to wielkiego znaczenia”. I zapewne tak jest w istocie, jednak to, że Morawiecki wygrywa głosowanie zarówno z zausznikiem prezesa Brudzińskim, jak i potężnym szefem MSW Kamińskim, jest wyraźnym świadectwem „oswojenia” niedysyjszego bankiera i liberała przez partię. Co nie tylko potwierdza perspektywę jego dalszego premierostwa (dołączny w takich szczegółach Kaczyński mówi, że może być na urzędzie tak długo jak Jaroszewicz, czyli „dziewięć lat i kilka

miesięcy”). Ale przede wszystkim urealnia pytanie, czy przyszłość polityczna Morawieckiego to jednak następstwo w partii po Kaczyńskim, czy też rola bitnego partyjnego żołnierza, przeznaczonego do boju o prezydenturę w 2025 r. O takiej możliwości Kaczyński także wspominał publicznie, w swoim stylu dodając, iż „nie ma w tej sprawie cienia decyzji”. Do jednej i drugiej roli premier jest obecnie kandydatem numer jeden, choć obie one są raczej niepołączalne. Można dziś więc zakładać, że jedna z nich przypadnie mu niemal z pewnością.

Drugim politycznym wydarzeniem zjazdu stała się wrzucona w ostatniej chwili „uchwała sanacyjna” (jak ją nazwał prezes partii), dotycząca praktyk nepotycznych w państwowych firmach. Jeszcze w końcówce maja Kaczyński skarżył się na takie praktyki w swojej partii, przewidując jednak, że ukroćć je może dopiero nowa ustawa antykorupcyjna, którą PiS obiecało Kukizowi w zamian za kilka jego głosów sejmowych. Najwyraźniej się okazało, że owa ustawa to przyszłość nie całkiem pewna, a w każdym razie odległa, więc postanowiono rzecz załatwić szybko, w trybie uchwały partyjnej. Patrząc z perspektywy interesu publicznego, trudno nie zauważyć, że PiS (podobnie zresztą jak nikomu wcześniej) nie udało się stworzyć systemu selekcji profesjonalnych kadr do zarządzania państwowym biznesem, ale też szefostwo partii chyba nigdy nie miało takich ambicji. W okresie pomiędzy likwidacją resortu skarbu przez premier Szydło a odtwo-



Fot. pils.org.pl

rzeniem go pod nową nazwą przez Morawieckiego o państwowe firmy toczyły się gorszące i widowiskowe walki frakcyjne w partii. Odkąd nastał kontrolowany przez Kaczyńskiego Sasin standardy w tej dziedzinie trochę się poprawiły. Jednak rozgłos, jaki sam Kaczyński nadal planowanym „wyjątkom” od zakazu uprawiania nepotyzmu w państwowych spółkach, pozbawił „sanacyjną” uchwałę potrzebnej powagi, narażając ją na wyjątkowo cięte kpiny ze strony Tuska. Kiepski efekt pogłębiła jeszcze protestacyjna dymisja szefa klubu senackiego PiS otwarcie sugerująca hipokryzję partii w kwestii antynepotycznych standardów.

POLITYCZNY ARMAGEDON TUSKA

Z kolei mityng Platformy został zaplanowany jako teatr jednego aktora. Partia, która przez moment wyglądała na twór demokratyzujący się, zaczynający dyskutować o polityce i kierowany przez zbiorowe przywództwo, z dnia na dzień wróciła do skrajnego modelu wodzowskiego. Teraz znów nikt z własnej woli nijak się nie odezwie, ze strachu przed grożącą mu z rąk lidera śmiercią polityczną. Tusk jest bez wątpienia najbardziej autorytarną osobowością polityczną, jaka pojawiła się w wolnej Polsce, w PO zaś wiara w jego polityczny talent, a zarazem strach przed jakimkolwiek narażeniem mu się, jest chyba nadal rzeczą powszechną. Dowodzi tego

zachowanie obezwładnionego w ciągu jednego dnia Trzaskowskiego, który jak tylko otrząsnął się z ponurej lekcji realnej polityki, jaką otrzymał w ubiegłą sobotę, uznał za konieczne cieszyć się z ciosu w plecy, jaki został mu zadany.

Jeśli tak jest, to znaczy to, że do wyborów 2023 r. Tusk ma całkowicie wolną rękę po temu, aby zrobić z Platformą to wszystko, co przyjdzie mu do głowy. A to wcale nie musi oznaczać (jak sądzą dziś posłowie i działacze), że to PO ma się stać na powrót „królową opozycji”, jej baronowie zaś jak niegdyś będą rozdawać antypisowskie karty w swoich regionach. Tusk wziął proceduralnym fortem Platformę po to, aby samemu rozdawać owe karty, a partia – aby była mu powolna, bez względu na los, jaki w skrytości jej szykuje.

Paweł Piskorski, który jest bodaj najinteligentniejszym analitykiem „wnętrza Platformy”, uważa, że pod rządami Tuska relacje pomiędzy PO i pozostałymi stronnictwami opozycyjnymi mogą przybrać tylko jedną z dwóch postaci: „skłócenia albo marginalizacji”. Nie spodziewa się on również, aby Tusk potrafił doprowadzić do wspólnej listy wyborczej. Chodzi jednak o to, że o ile w dłuższym czasie można sobie wyobrazić marginalizację i zwasaliowanie ruchu Hołowni (w końcu powstał on wyłącznie jako skutek kryzysu Platformy), o tyle dyktat Tuska wobec mocno podmiotowej Lewicy i PSL jest niemal niemożliwością. Z kolei efekt „skłócenia” trwającego aż do wyborów oznaczałby

wielką porażkę Tuska i prawdopodobne utrzymanie władzy przez PiS po roku 2023. Możliwym rozwiązaniem tej kwadratury koła jest... poświęcenie Platformy. Po to, by stworzyć blok wyborczy, w którym partnerzy PO będą odgrywać pierwszoplanową rolę w kształtowaniu bieżącej polityki i list wyborczych, zaś platformersi usłyszą, że winni i tak odczuwać dumę, skoro ojcem i twarzą całego bloku jest przecież Tusk. Jeśli marzeniem i planem Tuska jest stać się grabarzem władzy PiS, to taki projekt najlepiej pasuje do tego marzenia i planu. A jeśli coś może przeszkodzić w jego spełnieniu, to z pewnością nie ubezwłasnowolniona na nowo Platforma, lecz tylko skrajnie autorytarna polityczna osobowość jej starego nowego szefa.

Samą powitalną, a zarazem programową mowę Tuska celnie scharakteryzował Hołownia jako „próbę zapisania nas wszystkich do metafizycznej wojny”. Hołownia zresztą odciął się ostro od tych Tuskowych trąb nawołujących do śmiertelnego boju z metapolitycznym antychrystem, który ponoć wcielił się w postać Kaczyńskiego. Nic dziwnego. Skoro widmowa i ciągle mało realna (poza sondażami) partia Hołowni ma się nie zachwiać pod presją wojenno-apokaliptycznych nawoływań Tuska, to jej jedynym możliwym wyborem jest tym bardziej usilne prezentowanie postmodernistycznej, a więc milej, życzliwej ludziom i kompletnie niemilitarnej twarzy, gdyż na wojennej licytacji musi



Fot. Andrzej Wiktor

polec, i to w całkiem nieodległym czasie. W korzystnym dla Hołowni (a fatalnym dla Tuska) scenariuszu Polska 2050 mogłaby się więc stać jakimś zadatkem umiarkowanej opozycji wobec PiS.

Jednak nie całkiem mają rację ci, którzy w mowie Tuska dostrzegli tylko rewitalizację starego konceptu przekształcenia sporu demokratycznego w nieustający polityczny armagedon. (Konceptu, który skądinąd zrewolucjonizował niegdyś polską politykę i pozostanie trwałym wkładem Tuska w polską historię). Nowość dzisiejszej wersji Tuskowego armagedonu polega na tym, że jest on nie tylko starą i dobrze znaną formą konfrontacji z PiS, lecz także sposobem na uciszenie i marginalizację tzw. młodej Platformy spod znaku Trzaskowskiego.

Warto pamiętać o tym, że prezydent Warszawy, choć zaciekle atakowany przez obóz władzy, jako wyobrażony, choć niespełniony (jak teraz widać) lider opozycji, starał się trzymać dzentelmeńskich reguł demokratycznej gry. A w jego wszystkich poważniejszych wypowiedziach i wywiadach powracało marzenie o jakiejś takiej normalizacji i stopniu polskiego sporu międzypartyjnego. To pod adresem takich właśnie nierealnych miazmatów Tusk rzucił słowa o „szale”, w jaki wpada na widok politycznych symetrystów. Jak nie bez racji mówi Piskorski, Trzaskowski ma teraz siedzieć cicho, „zając się Warszawą”, a w najlepszym razie być kimś w rodzaju „szefa partyjnej młodzieżówki”. Ta ostatnia uwaga brzmi

Tusk jest najbardziej autorytarną osobowością polityczną, jaka pojawiła się w wolnej Polsce, w PO zaś wiara w jego polityczny talent, a zarazem strach przed jakimkolwiek narażeniem mu się jest chyba nadal rzeczą powszechną

wyjątkowo szyderczo, zważywszy na to, że kierowana jest pod adresem polityka niemal 50-letniego.

ZBIOROWE NAMIENTNOŚCI I WALKA O WŁADZĘ

Podczas gdy nima Platforma staje się teatrem jednego aktora, Kaczyński wydaje się dążyć do etatyzacji i biurokratyzacji swego aparatu partyjnego. PiS odchodzi od dotychczasowej struktury menedżerskiej, opartej na tzw. Komitecie Wykonawczym – faktycznie fikcyjnym od dłuższego czasu ciele, które miało kolektywnie zarządzać terenowym aparatem partyjnym. Nieskuteczność tego zarządzania objawiła się m.in. nepotyzmem

aktywistów, wobec którego Kaczyński musiał być aż tak bezsilny, że z tego problemu postanowił uczynić główny polityczny wąż zjazdu partii. Nowa struktura sekretariatu generalnego PiS ma dysponować teraz etatowym personelem ludzi, którzy z jednej strony mają być partyjnymi menedżerami w terenie, ale z drugiej (jak ogłoszono na zjeździe) mają sami nie startować w żadnych wyborach.

Jest to oczywiście pomysł na centralizację zarządzania partią pod kontrolą Kaczyńskiego, ale uwikłany w sprzeczność biorącą się z samej natury polityki. Nawet jeśli nowy etatowy aktyw będzie (a musi być) bardzo dobrze opłacany przez bogatą partię, to wątpliwe, aby utalentowani i sprawni menedżerowie struktur partyjnych pracowali w partii etatowo, bez jakiegokolwiek wizji

własnych karier politycznych.

Sprawująca władzę i etatyzująca się partia Kaczyńskiego skazana jest na coraz większą dozę politycznego pragmatyzmu. Ilekroć próbuje bowiem podążać ścieżką forsowania swych ideowych pryncypów (np. Czarnek, Ziobro), napotyka na fanatyczny opór, kłopoty i konflikty. Prawdę mówiąc, to i tak cud, że wobec tego wszystkiego PiS nie porzuciło dotąd fundamentów swej ideowości, zwłaszcza w wielkim sporze o kształt kultury i wychowania. Jednak im bliżej będzie do wyborów 2023 r., tym z natury rzeczy wymogi technologii władzy

będą wypierać resztki ideowości.

Z kolei po drugiej stronie – Tusk jest skrajną figurą politycznego makiawelizmu, wedle którego zarówno idee, jak i ludzie odgrywają jedynie rolę narzędzi w grze prowadzonej przez przywódcę. Jeśli dodać do tego postmodernistyczną, czyli nijaką, twarz partii Hołowni oraz oportunistyczny „centryzm” PSL pod Kosiniakiem-Kamyszem, to widać wyraźnie, że cała ta rzekomo „metafizyczna wojna” może jeszcze bardziej niż dotąd dotyczyć w gruncie rzeczy niczego. Co na język polityki przekłada się tak, że po stronie ludu grać będą irracjonalne zbiorowe namientności, a po stronie politycznej elity – zacięta walka o władzę. Drugie wejście Tuska czyni taką perspektywę niemal nieuchronną. 



*PiS chce i musi się zmienić,
żeby utrzymać władzę,
zrealizować Polski Ład
i obronić Polskę przed falą
ataków z zewnątrz*



STANISŁAW JANECKI

Dwie godziny przed kongresem programowo-wyborczym Prawa i Sprawiedliwości (3 lipca br.) partią rządzącą zajęli się Platforma Obywatelska i Donald Tusk.

Rada Krajowa opozycyjnej partii była poświęcona głównie PiS, więc tego samego dnia odbyły się właściwie jej kongres i wersja alternatywna. Oznacza to, że Platforma kierowana przez Donalda Tuska nie potrafi funkcjonować inaczej niż jako krzywe zwierciadło swego politycznego przeciwnika. Ale z powodu dwóch wydarzeń dotyczących w istocie jednej partii powstało wrażenie, jakby

na obu odbywał się sąd nad tym samym podsądnym. Rada PO była sądem specjalnym nad PiS (stąd zapewne tyle nienawiści), kongres PiS był w dużej mierze sądem nad samym sobą, choć prowadzonym wedle wszelkich zasad kultury i dobrego wychowania.

W wypadku głównego oskarżyciela (Donalda Tuska) podczas posiedzenia Rady Krajowej PO w dobrym gatunku

PiS odrodzenie

był tylko garnitur. Połączenie dobrego stroju z polityczną brutalnością jest zresztą pewną historyczną tradycją, o czym wiele mogliby, gdyby chcieli, powiedzieć właściciele firmy Hugo Boss. Niektórzy politycy i sympatycy rządzącej partii z powodu tych dwóch sądów, choć bardzo różnych, odczuwali potem dyskomfort. Spodziewali się brutalnego ataku politycznych przeciwników, ale nie spodziewali się aż takiej autokrytyki po swojej stronie. Wrażenie byłoby zapewne inne, gdyby całe wystąpienie Donalda Tuska nie było seansem nienawiści wobec PiS. Tyle że Rada Krajowa PO nie zajmowała się niczym poza zainstalowaniem Donalda Tuska w roli pełniącego obowiązki przewodniczącego, a on z kolei niczym innym jak uzasadnieniem swego powrotu. A najłatwiejszym, niewymagającym nawet średniego zaangażowania intelektu, uzasadnieniem jest najpierw demonizowanie i dehumanizacja przeciwnika, a potem uzasadnienie wydania mu totalnej wojny. W tym sensie to nie była żadna Rada Krajowa, tylko zwyczajny Parteitag.

Ale Prawo i Sprawiedliwość musiało robić swoje niezależnie od Parteitagu, czyli także krytycznie odnieść się do samego siebie, skoro uznało, że bez zmian nie da się wygrać kolejnych wyborów. Dyskomfort członków i sympatyków PiS, walonych łomem przez przeciwników i przynajmniej niegłaskanych przez „swoich”, nie mógł wpłynąć na to, co trzeba było powiedzieć, żeby to zmienić, choć trochę skwasił atmosferę. Niektórzy pytali: „Jak to? Oni nas biją, a my się samobiczujemy?”. Powody debaty o błędach były jednak realne, a niedorzecznością w stylu opozycyjnej PO byłoby robienie kongresu „ku pokrzepieniu serc”, w czasie gdy – podążając za myślą Stefana Żeromskiego – czasem „trzeba rozdrapywać rany, by nie zabliźniły się błoną podłości”. Co zamierza zrobić PiS?

SYNDROM TŁUSTYCH KOTÓW

W wystąpieniu podczas kongresu prezes Jarosław Kaczyński otwarcie mówił o „nieustannych walkach toczących się wewnątrz naszej organizacji”. Mówił o „walkach o stanowiska”, „zamykaniu się partii”, „syndromie tłustych kotów”, „wy-

pychaniu ludzi dobrze przygotowanych” tylko dlatego, że są konkurencją. Wreszcie mówił o nepotyzmie jako zjawisku, które niezależnie od małej skali napędza przeciwników i właściwie stanowi jedyny przedmiot ich zainteresowania oraz temat publicznych wystąpień, także w Sejmie. To zjawiska dotyczące każdej władzy (nie tylko w Polsce), tym bardziej wtedy, gdy rządzi dłużej niż jedną kadencję. Wówczas terenowe struktury partii (ale także ci, którzy są w centrum) więcej czasu poświęcają na utrzymanie dominacji swych działaczy niż działalność na rzecz własnego ugrupowania. Jarosław Kaczyński przekonał się o tym przede wszystkim w czasie kampanii wyborczych w 2019 i 2020 r. Zaangażowanie w kampanię parlamentarną, zwłaszcza tę do Senatu, zostało ocenione bardzo krytycznie, podobnie jak zaangażowanie w kampanię prezydencką w następnym roku. Liczni działacze terenowi, a nawet szefowie okręgów uznali, że promocja kandydatów to nie ich sprawa, tym bardziej gdy sami ci kandydaci uznali, że niczego nie muszą uzgadniać, a wszystko im się należy. To miał być zasadniczy powód ostatecznej przegranej w walce o Senat, mimo że formalnie PiS te wybory wygrało (48 mandatów). Z tego głównie powodu powstał pomysł, by obecne 41 okręgów partyjnych, pokrywających się z okręgami w wyborach do Sejmu, zastąpić 100 okręgami, czyli takimi jak w wyborach do Senatu. Nie oznaczałoby to zmiany okręgów w wyborach do Sejmu. Ta zmiana ma być najpierw przetestowana w kilku obecnie istniejących okręgach i dopiero ten „pilotaż” zadecyduje o jej kontynuowaniu, zmianie bądź zaniechaniu.

Mimo planów, żeby na czele nowych 100 okręgów stanęły osoby niebędące parlamentarzystami, urzędnikami czy samorządowcami i niemające zamiaru kandydować, lecz ludzie bezpośrednio zależni od centrali, ten pomysł nie został poddany debacie ani zaakceptowany. Pojawili się argumenty, np. ze strony senatora Marii Koc, że parlamentarzyści na czele okręgów mają bliższe związki ze swoim terenem, większą wiedzę o potrzebach i są bardziej odpowiedzialni wobec lokalnych wyborców, z którymi często się spotykają, niż ktoś wyznaczony przez centralę. Doświadczeni działacze

PiS przestrzegają też przed karierowiczami, którzy zgłoszą się do zarządzania różnymi strukturami partii, gdyby zdecydowano o menedżerskim sposobie jej funkcjonowania, natomiast w żadnym razie nie można by liczyć na ich lojalność czy poświęcenie w imię idei. Przestrzegają więc przez oddaniem partii w ręce obcych jej ludzi zainteresowanych tylko karierą, i to w ograniczonym czasie. W razie kłopotów ci ludzie byłiby pierwszymi, którzy sprzymierzą się z przeciwnikami, niezależnie od tego, jak ważni politycy PiS na początku by ich rekomendowali. Po prostu nikt w partii, łącznie z jej nowym wiceprezesem Mateuszem Morawieckim, nie ma dość sprawdzonych ludzi, którym można by zaufać i oddać władzę w strukturach terenowych.

Wbrew opinii opozycji i sprzyjających jej mediów struktury terenowe PiS mają bardzo dużo samodzielności, co często skutkuje niesterownością, a nawet przejawami anarchii, gdy np. trzeba się zmobilizować w kampanii wyborczej. Wstawienie w te struktury w jakimś sensie bezideowych menedżerów mogłoby tylko wszystko pogorszyć, choć zapewne na krótko pozytywny efekt byłby odczuwalny. Sprawa fundamentalnej reformy partyjnych struktur została więc na razie zawieszona i będzie sprawdzana w wersji pilotażowej.

UCHWAŁA SANACYJNA I USTAWA ANTYSITWOWA

Na kongresie przyjęto uchwałę sanacyjną zakazującą – poza bardzo nielicznymi i publicznie wykazywanymi wyjątkami, wynikającymi głównie z kwestii losowych – piastowania przez członków rodzin polityków stanowisk i funkcji w spółkach z udziałem skarbu państwa i ich radach nadzorczych, w spółkach samorządowych, w państwowych funduszach etc. W ślad za uchwałą ma pójść ustawa, którą Paweł Kukiz nazwał antysitwową (przygotował projekt mający być podstawą prac w Sejmie). Uchwała zaczęła działać jeszcze przed jej przyjęciem, skoro Sylwia Sobolewska, żona obecnego sekretarza generalnego PiS Krzysztofa Sobolewskiego, a wcześniej szefa Komitetu Wykonawczego, zrezygnowała z zasiadania w kilku radach nadzorczych, o czym poinformował sam polityk PiS,

odpowiadając na pytanie dziennikarza „Rzeczpospolitej”.

Odpowiedzialny za wdrożenie uchwały sanacyjnej ma być wicepremier, minister aktywów państwowych Jacek Sasin. On też akceptowałby liczne wyjątki, przedstawiane i uzasadniane publicznie. „Uchwała zostanie wykonana natychmiast” – zapewniał Sasin. Stwierdził też, że w wypadku spółek niepodlegających MAP to jego resort określi „wytyczne co do działań, które powinny podjąć”. Zapewnił też, że „wszystko będzie transparentne, jawne dla opinii publicznej”.

Toczy się wewnętrzna dyskusja, czy uchwała sanacyjna powinna obowiązywać także koalicjantów PiS w ramach Zjednoczonej Prawicy. Oczekiwanie polityków PiS jest takie, że koalicjanci sami się przyłączą i zastosują do rozwiązań przyjętych wobec członków partii Jarosława Kaczyńskiego. Opozycja z kolei traktuje uchwałę sanacyjną jako przyznanie się PiS do funkcjonowania patologii i maksymalnie wykorzystuje w atakach na partię rządzącą. Dlatego w ogóle nie zareagowała na wezwanie prezesa PiS (powtórzone za rzeczniką Anitą Czerwińską), by przyjęła podobne uchwały w odniesieniu do samorządów, w których rządzi.

Prezes PiS uznał, że warto przyjąć uchwałę sanacyjną i procedować w sprawie ustawy antysitowej, nawet jeśli na początku będzie to amunicja dla opozycji. Od dawna jest to zresztą jedyny konkret, jakim opozycja się posługuje i jaki trafia do przeciwnych wyborców wyczulonych na przywileje władzy. Wszystkie inne argumenty przy tym błędne, dlatego tak ważne jest odklejenie od partii rządzącej etykiety tych, którzy „idą do władzy dla pieniędzy”. To sprawa tym łatwiejsza dla opozycji do dyskutowania, że sam Jarosław Kaczyński mówił, iż „do władzy nie idzie się dla pieniędzy”.

Jeśli sprawa zostanie rozwiązana, byłby to pierwszy taki przypadek w historii III RP i opozycja znalazłaby się w trudniejszej sytuacji niż rządzący. A wtedy Donald Tusk nie mógłby już bagatelizować pracy swego syna Michała w jednej z gdańskich spółek komunalnych. O tym, że problem jest poważniej-

szy na poziomie samorządów niż centralnym, przekonuje Paweł Kukiz: „Ustawę należałoby oczywiście, a może i przede wszystkim, rozciągnąć na samorządy, by nie powstawały układy. Przecież bardzo często rodziny radnych zasiadają w spółkach komunalnych, w spółkach samorządowych”. Kukiz uważa, że za nieopublikowanie informacji o pracy w spółkach przez członków rodzin polityków, za udzielenie protekcji przy zatrudnieniu krewnego bądź powinowatego powinna być kara do trzech lat więzienia.

Rozwiązanie kwestii „władzy dla pieniędzy” pozwoliłoby partii rządzącej zejść z linii strzału w sprawie, która jej najbardziej szkodzi w opinii pub-

Rozwiązanie kwestii „władzy dla pieniędzy” pozwoliłoby partii rządzącej zejść z linii strzału w sprawie, która najbardziej szkodzi jej najbardziej w opinii publicznej

licznej. Pozwoliłoby też uwiarygodnić wielki program Polskiego Ładu – jako bezprecedensowej inwestycji w rozwój i przyszłość. Nieprzypadkowo Jarosław Kaczyński mówił podczas kongresu (3–4 lipca br.), że „walczymy o sukces na miarę tysiąclecia”. Powodzenie Polskiego Ładu byłoby bowiem wywindowaniem Polski do grona państw wysoko rozwiniętych i bogatych, a przez to mających znacznie silniejszy głos na arenie międzynarodowej i w UE. A to szczególnie ważne, w tym samym mniej więcej czasie decydować się będzie bowiem przyszłość Unii Europejskiej: czy stanie się ona federacją, czy wróci do korzeni.

ROLA MATEUSZA MORAWIECKIEGO

Jarosław Kaczyński podkreślał na kongresie, że to jego ostatnia kadencja w roli prezesa PiS. Jednocześnie wiceprezsem partii został premier Mateusz Mo-

rawiecki. Splot tych okoliczności oraz plany przebudowy struktur partii wskazują na to, że ostatnia kadencja Jarosława Kaczyńskiego będzie też wprowadzaniem Mateusza Morawieckiego w arkana przynajmniej współrządzenia PiS. Bardziej doświadczeni politycy PiS uznali zresztą plany reorganizacji partii za krok mający ułatwić właśnie Morawieckiemu zarządzanie PiS, a w konsekwencji przygotowanie się do roli następcy. Spodziewano się, że to głównie jego ludzie będą tymi menedżerami w nowych partyjnych strukturach. Na kongresie wskazywanie Morawieckiego jako następcy nie było już takie oczywiste, tym bardziej że reforma partyjnych struktur została

właściwie zawieszona. I mimo że jest on nadal najbardziej prawdopodobnym delfinem, sprawa nie wydaje przesądzona.

Wiele zależy od tego, na jakie problemy zewnętrzne natrafi obecna władza, a zanoszą się na ich spiętrzenie przede wszystkim ze strony unijnych instytucji, Stanów Zjednoczonych, Niemiec, Izraela, z powodu dążenia do normalizacji relacji UE i USA z Rosją, a wreszcie z powodu misji wyznaczonej Donaldowi Tuskowi. Misji polegającej przede wszystkim na umożliwianiu oraz intensyfikacji ataków na Pol-

skę z zewnątrz, łącznie z nakładaniem na nasz kraj wysokich kar. Jeśli Mateusz Morawiecki poradzi sobie z najważniejszymi zagrożeniami, jego pozycja i funkcjonowanie w roli następcy nie będą zagrożone. Jeśli sobie nie poradzi, sprawa stanie się otwarta. Rządzącym będzie wtedy trudniej funkcjonować, więc może się zmienić także koncepcja reformowania struktur partii i sprawa priorytetów. Na razie najważniejszy jest Polski Ład i spełnienie przez PiS misji dziejowej, jaką jest jego realizacja. W tym kontekście nie ma większego znaczenia powrót Donalda Tuska jako głównego przeciwnika, choć ma wydźwięk taktyczny. I tu też najważniejszą rolę do odegrania będzie miał Mateusz Morawiecki, bo to on, a nie Jarosław Kaczyński, konfrontowałby się z Tuskiem. W każdym razie w partii rządzącej jest pełna świadomość tego, że najbliższe dwa lata zdecydują o wszystkim, w tym o przyszłości PiS i przyszłości Polski. ▀

Wezwania do ekshumacji ofiar mordu w Jedwabnem, jakkolwiek uzasadnione naukowo, należy uznać w dzisiejszej rzeczywistości za rodzaj prowokacji. Jest ona tym bardziej szkodliwa, że Polska prowadzi właśnie znacznie ważniejszy spór ze środowiskami żydowskimi o reprivatyzację. Grzebanie w grobach ofiar z Jedwabnego może pogrzebać również tę sprawę

Bój wokół

Jedwabnego



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Właściwie każda rocznica masakry ludności żydowskiej w Jedwabnem jest potencjalną iskrą w beczce prochu, jaką są stosunki polsko-żydowskie, ale w tym roku ta iskra ma znacznie większą moc. Po pierwsze, obchodzimy 80. rocznicę pogromu, a zwykle bywa tak, że równe rocznice mają większy rozgłos. Po drugie, polsko-żydowski konflikt wokół najnowszej historii po niedawnej – i co warto tu podkreślić całkowicie uzasad-

nionej – nowelizacji ustawy o Kodeksie postępowania administracyjnego znowu wchodzi w zapalną fazę.

DWA SKRZYDŁA

Wydarzenia wokół Jedwabnego nie są zresztą kwestią sporną wyłącznie w relacjach polsko-żydowskich. Przebieg i tło masakry z 1941 r. stały się już dawno temu przedmiotem rozgrywki na naszej rodzimej scenie publicznej. Jej skrzydła wyznaczone są przez dwie skrajnie odmienne interpretacje: jedna z nich zakłada, że pogrom ludności żydowskiej w Jedwabnem jest symbolem polskiego

antysemityzmu i de facto współsprawstwa Polaków w Holokauście, a druga, że – przeciwnie – o żadnym polskim udziale w zbrodni nie ma mowy, a przypisywanie Polakom odpowiedzialności za pogrom jest manipulacją historyczną służącą upokorzeniu naszego państwa i wymuszeniu na nim finansowego haraczku w postaci odszkodowań za zbrodnie wojenne.

Przy okazji przypadającej 10 lipca rocznicy pogromu oba skrzydła zapowiedziały już kolejny bój o Jedwabne. Z jednej strony – tej, która kwestionuje polski udział w masakrze – ustawili się politycy Konfederacji z Grzegorzem Braunem na czele, a z drugiej odwołujący się do ofi-

cialnie przyjętych ustaleń historycznych naukowcy, publicyści i politycy związani bądź sympatyzujący z liberalną opozycją.

Nazwałem oba te stanowiska skrajnymi nie tylko z tego powodu, że ich stronnicy formułują definitywne oceny, podczas gdy nie wszystkie okoliczności pogromu zostały do końca wyjaśnione i – co więcej – w obecnej sytuacji być może już nigdy nie zostaną wyjaśnione, ale przede wszystkim dlatego, że obie strony wyciągają z wydarzeń w Jedwabnem zbyt daleko idące wnioski. Z pewnością bowiem nie jest tak, jak zapewne chcieliby np. zwolennicy Grzegorza Brauna, że Polacy byli kryształowo czysti podczas Holokaustu, ale też nie jest tak, jak chcą liberalni krytycy naszej historii, że Jedwabne jest jedynie wierzchołkiem góry lodowej kryjącej masowy udział Polaków w zagładzie Żydów.

CIEŃ GROSSA

Oczywiście istniejące wątpliwości co do okoliczności zbrodni w Jedwabnem mogłyby zapewne zostać rozwiane przez dalsze, pogłębione badania historyczne. Problem jednak w tym, że takich badań nie będzie, bo nie ma do nich warunków politycznych. Sprawa Jedwabnego już dawno przestała być domeną nauki, a stała się kwestią polityki, a nawet wiary.

Według ustaleń Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Białymstoku z 2003 r. oraz wyników badań historycznych opublikowanych rok wcześniej przez prof. Pawła Machcewicza oraz dr. Krzysztofa Persaka, zbrodni w Jedwabnem dopuściła się polska ludność z miasteczka i jego najbliższych okolic. Po wkroczeniu Niemców do Jedwabnego w 1941 r. (miejscowość po wrześniu 1939 r. znajdowała się pod okupacją sowiecką) miejscowi Polacy – przy całkowitej bierności Niemców – postanowili „rozprawić się” z tutejszymi Żydami oskarżonymi en bloc o kolaborację z Sowietami. Żydowskim mężczyznom nakazano najpierw wypieść trawę z bruku na rynku, potem wykopali oni dół, w którym „pochowali” obalony pomnik Lenina, a na koniec ich zamordowano. Pozostała część ludno-

ści żydowskiej, w tym kobiety i dzieci, zapędzono do stodoły, którą następnie podpalono. Według oficjalnych obliczeń podczas pogromu zginęło nie mniej niż 340 osób. Okrucieństwo tej zbrodni, zwłaszcza los spalonych żywcem kobiet i dzieci, wywołuje niedowierzanie, że czegoś tak potwornego mogli dopuścić się Polacy, zwykli chłopcy z Podlasia.

Nic więc dziwnego, że nie wszyscy w to uwierzyli, zwłaszcza, że „odkryciu” Jedwabnego (czy też może przywróceniu pamięci o tych tragicznych wydarzeniach) towarzyszyła propagandowa nagonka na Polskę, której symbolem była publicystyka Jana Tomasza Grossa i jego

Jedyna ekshumacja, jaka ma sens, to taka, której ustaleń nikt nie podważy, co oznacza, że musieliby w niej wziąć udział badacze ze strony polskiej i żydowskiej. Na to się jednak nie zanoszą

książka „Sąsiedzi”, z której zagraniczny czytelnik mógł się dowiedzieć, jak to polska thuszcza zdradziecko pomordowała przy pierwszej nadarzającej się okazji swoich żydowskich sąsiadów. Cień publicystyki Grossa oraz powielających jego tezy krajowych komentatorów (zwłaszcza z „Gazety Wyborczej”) bardzo mocno i negatywnie zaważył potem na stosunku wielu Polaków do sprawy Jedwabnego, a tym samym bardzo utrudnił uczciwą ocenę stosunków polsko-żydowskich oraz rzetelny rozrachunek z popełnionymi przez Polaków przestępstwami, jakich ofiarą padli podczas wojny Żydzi. Zamiast rzeczowej spokojnej debaty naukowej na ten delikatny temat zafundowano Polsce i Polakom prawdziwą „jazzę bez trzymanki”, której apogeum – jak dotąd – stała się wzięta z kosmosu liczba 200 tys. Żydów wymordowanych rzekomo przez Polaków, którą głosi na całym świecie Jan Grabowski.

Trudno się oprzeć wrażeniu, że w tym wszystkim rzeczywiście nie chodzi o fakty historyczne ani wzajemne pojednanie, lecz o coś zupełnie innego. Jeśli nie o pieniądze, to na pewno o jakąś formę ujęcia nagromadzonej przez lata niechęci wobec prostych Polaków. Skoro na wół dzika hołota była w stanie dopuścić się tak strasznej zbrodni w Jedwabnem, to ten gen okrucieństwa i skłonność do urządzania pogromów były podczas wojny powszechne i zapewne istnieją do dziś. Trzeba więc dmuchać na zimne, a gdy zajdzie taka potrzeba, mocno bić kijem po głowach.

ZATWIERDZONA PRAWDA

Ustalenia historyków Pawła Machcewicza oraz Krzysztofa Persaka oraz rezultaty śledztwa prowadzonego przez białostocki oddział Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu naświetliły nam przebieg i główne okoliczności wydarzeń w Jedwabnem. Mogłyby zatem stanowić punkt wyjścia do dalszych dociekań, zwłaszcza że nie mamy absolutnie pełnej wiedzy o zachowaniu i roli Niemców w tej zbrodni. Problem w tym, że wyniki badań historycznych z lat 2002–2003 zostały uznane przez zwolenni-

ków tezy o współsprawstwie Polaków w Holokauście za ostateczne i definitywne. A skoro prawda – ich zdaniem – została już ustalona, to każde inne badania w tej sprawie są fałszowaniem faktów. Nic więc dziwnego, że nikt, komu zależy na karierze naukowej, nie dotknie już tego tematu, aby go uzupełnić albo poddać krytycznej analizie.

Jest jeszcze jedna kwestia. Wyjątkowość zła wyrządzonego Żydom podczas Holokaustu zakłada niedopuszczalność kontekstualizacji. Nie istnieją żadne okoliczności, które mogłyby usprawiedliwić tę zbrodnię. Gdy w 1986 r. niemiecki historyk Ernst Nolte próbował objaśniać zło nazizmu reakcją na bolszewizm, został natychmiast zaatakowany przez Jürgena Habermasa za próbę relatywizacji odpowiedzialności Niemców. Z podobnego powodu próby wytłumaczenia pogromu w Jedwabnem podejmowane m.in. przez polonijnego



historyka z Ameryki Marka Jana Chodakiewicza były skazane na porażkę.

Najlepszym uzupełnieniem naszej wiedzy o wydarzeniach w Jedwabnem byłaby ekshumacja szczątków ofiar i dokładna analiza przyczyn ich śmierci. Dzięki niej udałoby się – być może – dowiedzieć czegoś więcej o roli Niemców w zbrodni: czy byli tylko biernymi obserwatorami i ewentualnie inspiratorami pogromu – jak się dziś oficjalnie przyjmuje – czy też wzięli w nim czynny udział, a może nim kierowali. Niestety komunistyczne władze Polski nie wykonały żadnych badań terenowych na miejscu zbrodni podczas śledztwa prowadzonego pod koniec lat 40.

Z kolei ekshumacja, którą przeprowadzono na przełomie maja i czerwca 2001 r., miała ograniczony zakres z powodu zastrzeżeń natury religijnej strony żydowskiej. Szkielety zmarłych nie zostały wówczas wydobyte z grobu i poddane badaniom, przyjrano się jedynie popiołom i drobnym, oddzielnym fragmentom kości. Na tej podstawie potwierdzono, że ciała zmarłych uległy spaleni. Wykazano także, że wśród ofiar znajdowały się kobiety i małe dzieci.

SPÓR O ŁUSKI

Na miejscu zbrodni znaleziono również liczne łuski od amunicji pochodzącej z broni palnej. I o te właśnie łuski toczy się dziś największy spór. Niewielka liczba łusek pochodzi z broni używanej podczas I wojny światowej, co oczywiście nie przesądza jeszcze o tym, kiedy zostały wystrzelone. Jednak najwięcej kontrowersji dotyczy łusek z niemieckiej broni, zarówno krótkiej oficerskiej, jak i – tych

jest zdecydowana większość – z broni maszynowej. Zdaniem niemieckich ekspertów, do których zwróciła się prokuratura w 2001 r., znalezione łuski pochodzą z okresu po 1942 r., a zatem nie mogły pochodzić od amunicji użytej do rozstrzelania Żydów z Jedwabnego. Oznacza to, że wystrzelono je podczas walk w 1944 r., a żydowską ludność miasteczka zabito w inny sposób.

Publicystyka Grossa bardzo mocno i negatywnie zaważyła na stosunku wielu Polaków do sprawy Jedwabnego, a tym samym bardzo utrudniła uczciwą ocenę stosunków polsko-żydowskich

Innego zdania jest wspomniany już Marek Jan Chodakiewicz, który przekonuje, że amunicja, od której pochodzą łuski znalezione w Jedwabnem, była już stosowana przez Niemców w 1941 r., a zatem mogli oni rozstrzelać część jedwabieńskich Żydów. Historyk zwraca również uwagę na to, że w trakcie śledztwa niewielka część łusek zaginęła, a inne – oczyszczone i utrwalone w dokumentacji fotograficznej wykonanej przez zespół archeologów pod kierownictwem prof. Andrzeja Koli – nie zostały przekazane do ekspertyzy Centralnego Laboratorium Kryminalistycznego. Bez uzupełnienia dotychczasowych badań oraz bez ekshumacji nie da się – jak podkreśla

Chodakiewicz – jednoznacznie ustalić przyczyn śmierci Żydów z Jedwabnego.

Chodakiewiczowi wtóruje Grzegorz Braun z Konfederacji, co jednak wcale nie pomaga sprawie, bo nadaje wartym uwagi zastrzeżeniom historyka polityczny wymiar. Brutalna prawda jest bowiem taka, że domaganie się w dzisiejszych warunkach ekshumacji ofiar pogromu jest zadaniem politycznie niewykonalnym, chyba że bardzo zależy nam na rozpaleniu do białości sporu polsko-żydowskiego i – co za tym idzie – na całkowitym osamotnieniu Polski na arenie międzynarodowej, a więc na sytuacji, która może ucieszyć jedynie naszych największych przeciwników.

Nawet jeżeli skutek ekshumacji – przeprowadzonej wbrew politycznemu rozsądkowi – udałoby się dotrzeć do prawdy, to nie rozwiązuje to przecież automatycznie żadnego problemu. Po pierwsze, mogłoby się okazać, że ekshumacja potwierdza znane dziś fakty,

a zatem – pomimo poniesienia ogromnych kosztów politycznych – nie dowiedzielibyśmy się niczego nowego. Po drugie – jeżeli udałoby się potwierdzić tezy o udziale Niemców w zbrodni – to nie należy naiwnie oczekiwać, że ktokolwiek na świecie przyjmie te ustalenia, choćby nawet najprawdziwsze i najlepiej udokumentowane, za dobrą monetę. To tak nie działa, o czym każdy, kto choć trochę rozumie rzeczywistość, dobrze wie. Słabego nikt nie wysłucha, nawet jeśli ma rację.

Jedyna ekshumacja, jaka ma sens, to taka, której ustalenie nikt nie podważy, co oznacza, że musieliby w niej wziąć udział badacze z obu zainteresowanych stron, a zatem polskiej i żydowskiej. Na to się jednak nie zanosz, i to nie tylko z powodu zastrzeżeń religijnych formułowanych przez Żydów, lecz przede wszystkim z przyczyn politycznych.

Oznacza to, że wezwania do ekshumacji ofiar mordu w Jedwabnem, jakkolwiek uzasadnione naukowo, należy uznać w dzisiejszej rzeczywistości za rodzaj prowokacji. Jest ona tym bardziej szkodliwa, że przecież Polska prowadzi właśnie znacznie ważniejszy spór ze środowiskami żydowskimi o reprivatyzację. Grzebanie w grobach ofiar z Jedwabnego może pogrzebać i tę sprawę.

PIŁKA

PO TWOJEJ STRONIE



TANKUJ



KUPUJ



ZDOBYWAJ

Promocja trwa od 8.06 do 9.08.2021 r. lub do odwołania.
Szczegóły, lista stacji biorących udział w promocji oraz regulamin
dostępne na stacjach LOTOS oraz na pilki.lotost.pl.
Organizator: LOTOS Paliwa Sp. z o.o., 80-718 Gdańsk, ul. Elbląska 135.



Tęczowa misja

Priorytetem polityki krajowej i zagranicznej administracji Bidena jest promowanie zarówno demokracji, jak i praw człowieka – mówi Bix Aliu, chargé d'affaires Stanów Zjednoczonych w Warszawie. A w kategorii praw człowieka najważniejsze dla amerykańskiej administracji są teraz prawa mniejszości LGBT



GORAN ANDRIJANIĆ

„Słowa mają znaczenie” to tytuł krótkiego filmu, który Ambasada Stanów Zjednoczonych w Polsce niedawno zamieściła na swoich portalach społecznościowych. Film, przygotowany z okazji Miesiąca Dumy, przedstawia kilka osób homoseksualnych i aktywistów LGBT czytających obraźliwe wiadomości, jakie pozostawiono pod postami z ambasady.

Ale zanim aktywiści przeczytali obraźliwe wiadomości, do widzów zwrócił się Bix Aliu. Ma w klapie znaczek z flagą, jak to często bywa u dyplomatów. Jednak flaga, którą nosi, nie jest flagą państwa, które reprezentuje, ani flagą państwa, w którym obecnie działa jako dyplomata. To tęczowa flaga – symbol ideologii LGBT. Dyplomata zwraca się do nas w następujący sposób: „Takie komentarze pojawiają się pod naszymi postami o równości dla osób LGBTQI+. Wyobraź sobie, że ktoś pisze takie słowa o tobie, twojej siostrze lub twoim bracie, albo o twoim dziecku” – mówi Ali do kamery naprawdę dobrą polszczyzną, po czym ustępuje miejsca aktywistom, którzy, wyraźnie wzruszeni, czytają obraźliwe wpisy w internecie. Cały film w sensie rzemieślniczym jest doskonale przygotowany i od początku gra na emocjach.

Należy tutaj wspomnieć, że obraźliwe słowo, które często pojawia się w filmie („wyp...”), jeszcze kilka miesięcy temu

było znakiem firmowym Strajku Kobiet. Skierowane było wówczas do wszystkich „wrogów” Marty Lempart oraz jej środowiska. Wtedy jednak nikt z ambasady USA nie zareagował na tę mowę nienawiści.

Pomijając nawet ten fakt, jak i to, że język obelg w internecie jest zjawiskiem globalnym, ważniejsze wydaje się inne pytanie.

Dlaczego Bix Aliu, przedstawiciel światowego mocarstwa, które od dziesięcioleci jest głównym strategicznym sojusznikiem Polski, publikuje takie filmy, w których propaguje wąski światopogląd, zamiast zajmować się całą serią ważnych geopolitycznych kwestii, które wyznaczają obecnie relacje między Waszyngtonem a Warszawą?

– Życzyłbym sobie, abyśmy we współpracy z naszymi partnerami zajmowali się sprawami strategicznymi z punktu widzenia wyzwań międzynarodowych. Chciałbym, abyśmy w relacjach z naszymi partnerami mówili przede wszystkim o szkodliwości inwestycji Nord Stream 2 i tym, jak nie dopuścić do jej uruchomienia, rozmawiali o geopolitycznym bezpieczeństwie w regionie oraz współpracy gospodarczej,

a nie ogniskowali aktywności wokół twitteriaid skupiających się na wszelkich tematach związanych z LGBT – komentował niedawno przemówienie amerykańskiego dyplomaty Szymon Szynkowski vel Sęk, wiceminister spraw zagranicznych Polski.

Tym razem okazją był post na Twitterze, w którym Aliu twierdził, że Polska traci pieniądze, ponieważ nie jest wystarczająco „inkluzywna wobec środowisk LGBTQI+”.

SYN EMIGRANTÓW

Kim jest Bix Aliu, człowiek, który został pierwszym amerykańskim dyplomatą w Polsce po tym, jak Georgette Mosbacher, której był zastępcą, opuściła w styczniu stanowisko ambasadora?

Aliu urodził się w Chicago w rodzinie albańskich emigrantów, którzy przybyli do Stanów Zjednoczonych w latach 60. XX w. Jego ojciec dzięki wyjazdowi uniknął zapewne komunistycznych represji dyktatury Tity. Rodzina Aliu wyemigrowała



z Macedonii, regionu będącego wówczas częścią Jugosławii, w którym Albańczycy stanowią najliczniejszą mniejszość narodową. Aliu w wywiadzie, jakiego udzielił mediom w Czarnogórze, gdzie przebywał na misji dyplomatycznej, tak mówił o wpływie, jaki miał na niego ojciec. „Mój ojciec chciał wykorzystać wiedzę zdobytą w nowym kraju – Ameryce, aby pomóc w rozwoju demokracji w Jugosławii. Wiedział, że coś musi się zmienić, że socjalizm nie jest czymś dobrym. I tak bardzo się starał, abyśmy, moje siostry i ja, mieli wszystko, czego on nie miał, kiedy dorastał. Obserwowałem, jak mój ojciec ciężko pracuje, aby stworzyć inny lepszy świat, o jakim marzył. Ten zapal do pracy odziedziczyłem po nim”. Dodał, że jest dumny, iż został amerykańskim dyplomatą, bo dzieciom z rodzin imigrantów taka kariera zdarza się rzadko. Jest zapewne jedynym Amerykaninem albańskiego pochodzenia, który ma tak wysoką pozycję w tamtejszej dyplomacji.

Pracowitość, którą odziedziczył po ojcu, ostatecznie się więc opłaciła. Choć Aliu ukończył szkołę medyczną, szybko zrozumiał, że bardziej interesuje go dyplomacja i polityka niż zawód lekarza. Po studiach pierwszą ważną misję dyplomatyczną odbył w kraju, z którego pochodzi jego rodzina – w Macedonii.

Z BAŁKANÓW DO POLSKI

Na początku swojej międzynarodowej kariery był także członkiem amerykańskiej delegacji, która próbowała wynegocjować pokój między Serbami a kosowskimi Albańczykami podczas rozmów w Rambouillet w 1999 r. Christopher Hill, szef amerykańskiej delegacji, wymienia go we wspomnieniach jako głównego tłumacza w rozmowach z przedstawicielami Albanii. Opisuje go jako „Amerykanina od stóp do głów”, który był niezadowolony z zachowania przedstawicieli Albanii, którzy nie rozumieli „historycznych szans dla Kosowa”.

Jego kolejną ważną misją dyplomatyczną był inny kraj na Bałkanach – Czarnogóra, gdzie pełnił funkcję zastępcy ambasadora. Powodem, dla którego Departament Stanu wysłał go

na Bałkany, było z pewnością jego pochodzenie i znajomość języków albańskiego, serbskiego i macedońskiego, co oznacza, że może się porozumiewać praktycznie ze wszystkimi narodami tej części Europy.

Jednak pierwszą naprawdę ważną funkcją dyplomatyczną, jak sam przyznał w jednym z wywiadów, była nominacja na konsula generalnego USA w Krakowie, dokąd przyjechał w sierpniu 2018 r. To nie jest jego pierwsza służba w Polsce. W 2003 r. był wicekonsulem w misji amerykańskiej w Warszawie. Oto, jak skomentował swój powrót do Polski: „Bycie tu to prawdziwy zaszczyt. Służyłem w Warszawie i zawsze chciałem pracować w Krakowie. To był trudny proces, ale w końcu przyjechałam tutaj i jestem bardzo szczęśliwy”.

Dlaczego Bix Aliu, przedstawiciel światowego mocarstwa w Polsce, które od dziesięcioleci jest naszym strategicznym sojusznikiem, publikuje w sieci filmy, w których propaguje światopogląd LGBT?

Po kilkuletniej służbie w Krakowie w czerwcu 2019 r. Aliu przeniósł się do Warszawy na stanowisko wiceambasadora, a w styczniu został chargé d'affaires.

PRANIE MÓZGÓW

„Priorytetem polityki krajowej i zagranicznej administracji Bidena jest promowanie zarówno demokracji, jak i praw człowieka. Społeczeństwa, które przestrzegają i bronią praw człowieka, podstawowych wolności, równości płci, demokratycznych instytucji oraz rządów prawa, są bardziej stabilne i bezpieczne. Są też lepiej przygotowane do podjęcia globalnych wyzwań, takich jak zmiany klimatyczne” – powiedział Aliu w mar-

cowym wywiadzie dla „Rzeczpospolitej”, tłumacząc jednocześnie, jak nowa administracja Białego Domu wyobraża sobie idealnych partnerów. W kategorii praw człowieka najważniejsze dla administracji Bidena są zapewne prawa LGBT.

– Zachodnie państwa liberalnej demokracji nie prowadzą już wyłącznie gry dyplomatycznej w jej klasycznym rozumieniu. Używają one jako narzędzia osiągania celów politycznych także broni ideologicznej. Temu właśnie służy okazywanie poparcia ruchom LGBT – komentuje to zjawisko dla „Sieci” publicysta Filip Memches.

– Chodzi o eksport określonych rozwiązań prawnych, które mają zmieniać świadomość społeczną w zakresie tego, jak definiować małżeństwo, rodzinę, miłość, seksualność. Ale istotnym aspektem tej sprawy jest również przywoływanie do porządku państw, które opierają się tęczywej rewolucji. Zabieg ten polega na piętnowaniu ich elit politycznych oraz społeczeństw poprzez oskarżanie o nietolerancję, homofobię, autorytaryzm, faszyzm. To jest pewnego rodzaju socjotechnika: ludzie mają się poczuć zawstydzeni zarzutami formułowanymi przez przedstawicieli najlepszego ustroju, jaki znał świat, czyli liberalnej demokracji, a tym samym skłonieni do zmiany swoich przekonań. Tymczasem w gruncie rzeczy pod szczytnymi hasłami podejmowana jest po prostu próba nie tylko naruszania suwerenności państw, ale i prania mózgów ich obywateli.

Mamy tu do czynienia z czymś, co papież Franciszek określił mianem „kolonizacji ideologicznej” – podkreśla Memches.

Z tych wszystkich powodów Aliu oraz jego zespół filmują i publikują nagrania aktywistów LGBT, a kluczowe kwestie, takie jak zniesienie sankcji USA wobec konsorcjum budującego Nord Stream 2 czy przedefiniowanie Inicjatywy Trójmorza i przekazanie jej niemieckiemu przywództwu (czego wyraźne sygnały płyną z Waszyngtonu), schodzą na drugi plan.

Odpowiedzi na te kwestie muszą zapewne poczekać na dyplomatę, który przejmie pełną odpowiedzialność za amerykańską misję w Warszawie. Obecnie mamy do czynienia głównie z praniem mózgów polskich obywateli.

O jedno kłamstwo za daleko

Nie milknie oburzenie na próbę fałszowania historii zamordowania przez SB Stanisława Pyjasa. Po tym jak dyrektorka krakowskiego muzeum, a za nią „Gazeta Wyborcza” oczernili Bronisława Wildsteina, broniąc współpracownika bezpieki Lesława Maleszki, na końcu bagatelizując śmierć Pyjasa, głos zabrał prokurator Krzysztof Urbaniak, który przez 17 lat prowadził tę sprawę



**JAKUB AUGUSTYN
MACIEJEWSKI**

Przypomnijmy, że sprawa wybuchła po publikacji książki „Wokół sprawy Pyjasa”. Maria Anna Potocka, z domu Socha, dyrektor krakowskiego Muzeum Sztuki Współczesnej, zebrała w niej autorów drwiących z antykomunistycznej opozycji, usprawiedliwiających Służbę Bezpieczeństwa, wreszcie ona sama, zachwycając się Lesławem Maleszką, uznała, że najczarniejszym charakterem całej historii nie są mordercy (których zdaniem Potockiej nie było), ale ten, który przez dekady domagał się prawdy o Staszku – Bronisław Wildstein.

Wojciech Czuchnowski podchwycił wątek. „Pyjas nie został zamordowany przez peerelowską bezpiekę, nikt przed



Fot. Ireneusz Radkiewicz/PAP

Juwenalia w Krakowie przerodziły się w manifestację z powodu zamordowania Stanisława Pyjasa. Na zdjęciu Bronisław Wildstein, przyjaciel Pyjasa. Maj 1977 r.

śmiercią go nie pobili. Czemu udajemy, że tego nie wiemy?” – rozpoczyna swój tekst dziennikarz „Gazety Wyborczej”. Przedstawia on dokładnie taką wersję zdarzeń, jaką sformułowała komunistyczna bezpieka. Według niej Stanisław Pyjas „chciał swobodnie żyć, pisać książki i wiersze, których by nie maszkrowała cenzura. Tylko tyle i aż tyle. Nie został też zamordowany. Ani przez SB, ani przez nikogo innego. Po prostu spadł ze schodów, stracił przytomność i uduślił się krwią”. W komunistycznych dezinformacjach to właśnie ofiara najczęściej jest winna swojej śmierci. Dziennikarz „Wyborczej” snuje narrację, w której Bronisław Wildstein, przyjaciel zamordowanego, cynicznie wykorzystał jego śmierć, by zbudować antykomunistyczną legendę.

REAKCJA NA KŁAMSTWA

– Ale przecież nikt nie mógł wówczas planować budowania jakiejkolwiek legendy – mówi tygodnikowi „Sieci” Bogusław Sonik, jeden z założycieli Studenckiego Komitetu Solidarności, który zawiązał się po śmierci Pyjasa. Sonik jest dzisiaj posłem Platformy Obywatelskiej z Krakowa i to on zwrócił się z zapytaniem do prokuratora Urbaniaka, by ustosunkował się do publikacji Potockiej. – Bo co myśmy wiedzieli w 1977 r., gdy znaleziono ciało Pyjasa? – pyta retorycznie Sonik. – Wiedzieliśmy, że jest

gmatwane śledztwo, że studenci otrzymywali anonimy z pogrózkami, że byli inwigilowani – komentuje poseł. Polityk z Krakowa twierdzi, że reakcje na śmierć Pyjasa były spontaniczne, naturalne, że studenckie środowisko się skonsolidowało. – Jedyna rzecz, jaką mogliśmy zrobić, to protestować na wszelkie sposoby i domagać się pełnego uczciwego śledztwa w tej sprawie – komentuje Sonik. I dodaje: – Zarzucanie nam po latach, że byliśmy radykalni czy że zbudowaliśmy na tym jakąś opowieść, jest nieznamościami wydarzeń z tamtego czasu.

To właśnie w odpowiedzi na tę falę kłamstw tygodnik „Sieci” w maju br. opublikował obszerną rozmowę z Bronisławem Wildsteinem, w którym wyjaśnialiśmy, na czym polega narracja bezpieki i jej późniejszych zwolenników.

Prokurator Krzysztof Urbaniak już w pierwszych zdaniach swojego listu stwierdza, że są to insynuacje, z których wynikają nieprawdziwe wnioski. Urbaniak przekonuje, że wersja Potockiej, Czuchnowskiego i niektórych autorów z książki „Wokół sprawy Pyjasa” jest „całkowicie sprzeczna z ustaleniami śledczymi”. W odpowiedzi prokuratora trudno nie wyczytać pewnego oburzenia, skoro pisze on: „można jedynie domniemywać, że Pan Jan Widacki, obrońca esbeków skazanych prawomocnym wyrokiem za mactwienie w przedmiotowym śledztwie w latach siedemdziesiątych, swoim wyznaniem daje

wyraz frustracji z przegranej sprawy”. Prawnik wylicza wiele błędów w wyżej wspomnianych publikacjach, przypomina też wyniki śledztwa, które pozwoliły stwierdzić, że Pyjas został zamordowany przez Służbę Bezpieczeństwa.

PROKURATOR ZABIERA GŁOS

Przełomem były ustalenia sformułowane po upadku PRL – w 1991 r. profesorowie Władysław Nasiłowski i Andrzej Jakliński stwierdzili, że obrażenia twarzoczaszki studenta polonistyki, jak pisze Urbaniak, „powstały w następstwie urazu lub urazów zadanych ze względnie dużą siłą albo upadku na powierzchnię jakiegoś przedmiotu posiadającego wystające detale”. Słowem: to nie płaska podłoga zmasakrowała twarz Pyjasa, a więc esbecka wersja o śmierci w wyniku upadku ze schodów jest nieprawdziwa. Prokurator wylicza wiele okoliczności, które wskazują na zacieraanie śladów morderstwa i upozorowanie wypadku. Zeznania lokatora kamienicy przy ul. Szewskiej 7 w Krakowie, Mieczysława Czubaka, wskazują na to, że już po zgonie studenta ktoś znajdował się na klatce schodowej i próbował otworzyć drzwi do mieszkania świadka. Czubak wychodził nad ranem z mieszkania i jako inwalida musiał opierać się na poręczu, dlatego znaleziono na niej odcisk jego palca, jako jedyny nadający się do identyfikacji – tak jakby miejsce

REKLAMA

Twoje WAKACJE

Pożyczka na Nowe
RRSO: 14,65%

za **99 zł**
miesięcznie



- ✓ rata tylko 99 zł miesięcznie
- ✓ dostępna gdziekolwiek jesteś
- ✓ 7000 zł na dowolny cel, nie tylko na urlop!

Wnioskuj wygodnie
w placówce, przez telefon
lub Internet!

 **KASA STEFCZYKA**

Zawsze u siebie

kasastefczyka.pl 801 600 100
(koszt wg taryfy operatora)

Przykład reprezentatywny z dnia 1.10.2020 r. dla Pożyczki na Nowe: Całkowita kwota kredytu wynosi 7007,00 zł. Zmienna roczna stopa oprocentowania dla całkowitej kwoty kredytu wraz z kredytowanymi kosztami (prowizją 693 zł) wynosi 7,2%. Łączny koszt prowadzenia rachunku IKS w (całym) okresie kredytowania wynosi 1749 zł. Rzeczywista roczna stopa oprocentowania umowy – 107 miesięcy, 106 miesięcznych rat równych: 97,74 zł oraz ostatnia, 107. rata: 97,46 zł. Całkowita kwota do zapłaty: 12 206,90 zł, w tym odsetki: 2 757,90 zł. Koszt połączenia wg taryfy operatora. Pożyczka na Nowe dostępna bez wychodzenia z domu dla Członków Kasy Stefczyka. Decyzja kredytowa zależy od indywidualnej oceny zdolności kredytowej.

zbrodni w godzinach nocnych kompletnie wyczyszczono. Przy zwłokach nie było okularów ani chlebaka – te zostały znalezione kolejno w piwnicy i przy drzwiach świadka, a więc nie przy ciele Pyjasa. Jeśli człowiek przypadkiem spadł ze schodów na parter klatki schodowej, to w jaki sposób jego okulary znalazły się w piwnicy? – Nawet jedyny biegły sądowy, który był na miejscu znalezienia zwłok, prof. Zdzisław Marek, absolutnie wykluczył upadek ze schodów – komentuje dla tygodnika „Sieci” Urbaniak. – IPN 7 czerwca 2009 r. mówi: było zabójstwo, a dokonali go funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa – przytacza fakty prokurator.

Bagatelizowanie śmierci Stanisława Pyjasa jest pomijaniem wyroku sądu z 25 stycznia 2002 r., w którym skazano dwóch funkcjonariuszy SB za utrudnianie śledztwa. Pomijając zatem wiele dziwnych zaniedbań podczas badania sprawy w 1977 r., dochodzi jeszcze intencjonalne wprowadzanie w błąd – i to przez samą bezpiekę.

List Urbaniaka liczy 11 stron, ale prokurator podkreśla, że wymienia jedynie niektóre, najbardziej wyraziste argumenty, przeczące tezie Potockiej i Czuchnowskiego. Prokurator konkluduje, że „na obecną chwilę, po 42 latach prowadzenia śledztwa, jedynie uprawniony organ do oceny zdarzenia to Instytut Pamięci Narodowej, który jednoznacznie w swej prawomocnej decyzji stwierdził, że Pyjas został zamordowany przez funkcjonariuszy SB, a także że była to zbrodnia komunistyczna i przeciwko ludzkości, nigdy nieulegająca przedawnieniu. Roma locuta, causa finita”.

Książka Potockiej jest tak kompromitująca, że oburzyła nawet Dorotę Nieznalską, autorkę wystawy o Stanisławie Pyjasie. To właśnie tej wystawy miała rzekomo dotyczyć publikacja. Artystka, znana przecież także ze skandalizujących prac, utożsamiana z salonem III RP, a nie z prawicą, skomentowała pracę Potockiej w liście do przyjaciół Pyjasa oraz innych zainteresowanych sprawą. Nieznalska stwierdziła, że publikacja „stała się pretekstem do forsowania własnych poglądów Pani Potockiej, tez niezgodnych ze stanem faktycznym dotyczących

sprawy Jego śmierci”. Autorka wystawy nie kryje emocji: „Jestem oburzona tak nonszalanckim potraktowaniem autorów tekstów, właściwie zakrzyczeniem ich (...) i zdewaluowaniem historii młodego opozycjonisty, krakowskiego środowiska, które dba o tę pamięć”.

OBSESJA NA PUNKCIE WILDSTEINA?

O prawdzie świadczą więc wyniki śledztwa, opinie biegłych, publikacje IPN, relacje świadków, a nawet konkretny wyrok sądowy skazujący esbeków za utrudnianie śledztwa. Lista faktów jest o wiele dłuższa, wszak różni eksperci badali sprawę przez 42 lata. Jakże ta precyzja kontrastuje ze swobodnymi opiniami Potockiej, która skupia się na... drwinach z Bronisława Wildsteina:

Prokurator Urbaniak przekonuje, że wersja Potockiej, Czuchnowskiego i niektórych autorów książki „Wokół sprawy Pyjasa” jest „całkowicie sprzeczna z ustaleniami śledczymi”

„Wildstein nienawidzi esbecji każdym zakamarkiem swojego porywczego umysłu. Przekonanie, że to oni zamordowali jego przyjaciela, jest ważnym uzasadnieniem tej nienawiści. Być może dlatego związał się z prawicą, że jej model myślenia jest bardziej »pobłażliwy« dla zdarzeń, których nie można udowodnić” – pisze dyrektorka Muzeum Sztuki Współczesnej w Krakowie. Wygląda na to, że Wildstein, który od początku zmagają się z kłamstwami o śmierci Pyjasa, jest głównym celem przedsięwzięcia Potockiej. „Bronisław Wildstein – próbując oczyścić Polskę z agenturalnej zarazy – mniej czy bardziej bezpośrednio skrzywdził tysiące osób, skazując je na oczekiwanie – cza-

sami tygodniami – na wyrok z IPN (...), na ataki ze strony osób bezkrytycznych wobec »donosu« Wildsteina” – pisze krytyk sztuki o tzw. liście Wildsteina.

Sprawczyńi ostatniej kampanii kłamstw na temat Pyjasa zabrała głos w „Gazecie Krakowskiej”, gdzie zasugerowała, że to ona jest ofiarą nagonki – takiej na miarę bezpieki. „Nie pojawiają się argumenty, tylko próby obrzydzenia mojej osoby. Zaskakujące, bo podobną metodę zastosowała esbecja, szkalując Pyjasa w podrzucanych anonimach” – stwierdza Potocka. Krytyk sztuki ma chyba jakąś obsesję na punkcie środowisk antykomunistycznych – niedawno wydała nawet książeczkę „Skuteczność prawicy”, w której deprecjonuje tych, których uważa za swoich politycznych przeciwników.

GRANICE KŁAMSTWA

Ta historia nie dotyczy jedynie Stanisława Pyjasa. Zamordowanie studenta 7 maja 1977 r. uruchomiło lawinę zdarzeń – zawiązanie Studenckiego Komitetu Solidarności (wtedy słowo Solidarność pada po raz pierwszy w środowiskach antykomunistycznych), protesty w Krakowie, nawiązanie kontaktów studenckiej społeczności z Komitetem Obrony Robotników. Dzieje śledztwa odsłaniają kulisy PRL i III RP, są opowieścią o zbrodniczych mechanizmach – usuwaniu niewygodnych ludzi, obronie sprawców, fali kłamstw, a wreszcie kampanii nienawiści wobec tych, którzy wal-

czą o prawdę. Mamy tu cały system elit III RP w miniaturze – przecież Lesław Maleszka był wpływową postacią w „Gazecie Wyborczej”, krytyk przez Michnika, Potocka jest pupilką prezydenta Krakowa Jacka Majchrowskiego, Widałki, współautor książki, bronił Służby Bezpieczeństwa w czasach PRL, wokół sprawy w mainstreamowych mediach panuje zaś konsekwentne milczenie. Paradoksalnie może więc dobrze się stało, że ukazała się publikacja pełna kłamstw, może zdecydowana reakcja Wildsteina, Sonika, Urbaniaka, tygodnika „Sieci”, lokalnych mediów w Krakowie pokazuje, że prawda ma swoich obrońców, a establishmentowi III RP nie wolno jednak wszystkiego.



ODWIEDŹ NASZ SKLEP I KUP PŁYTĘ

sklep.muzeum1939.pl





Donald Trump poparł jednoznacznie Inicjatywę Trójmorza podczas wizyty w Warszawie w 2017 r.

Trójmorze czy Mitteleuropa 2.0?

*Kto zorganizuje Europę Środkową na swoich zasadach?
Jaki wpływ na to będą miały małe i średnie państwa naszego regionu?
Jaki będzie głos Niemiec, a jaki Ameryki?*



GRZEGORZ GÓRNY

W zeszłym tygodniu na portalu trimarium.pl ukazał się ważny tekst trojga amerykańskich dyplomatów i analityków, przedstawiający wizję programową polityki nowej administracji USA wobec Inicjatywy Trójmorza. Autorami wspomnianej publikacji są trzej członkowie Atlantic Council – jednego z najbardziej wpływowych think tanków w Stanach Zjednoczonych: Daniel Fried – ambasador USA w Polsce od 1997 do 2000 r., Georgette Mosbacher – sprawująca ten sam urząd w latach 2018–2021 oraz Ian Brzezinski – zastępca sekretarza obrony USA ds. Europy i polityki NATO w latach 2001–2005.

KONTYNUACJA CZY ZMIANA?

W swej publikacji przedstawiają oni pokrótce zarys historii Inicjatywy Trójmorza, prezentując jej główne cele strategiczne, czyli energetyczne uniezależnienie od Rosji, odrobienie zapóźnienia cywilizacyjnego i gospodarczego wobec Europy Zachodniej (zwłaszcza w sferze energetyki, cyfryzacji i transportu) oraz rozwój infrastrukturalny, zwłaszcza na osi północ–południe. W szczególny sposób akcentują rolę Stanów Zjednoczonych jako strategicznego gwaranta całego przedsięwzięcia. Ich zdaniem Trójmorze to naturalny sojusznik Waszyngtonu, ponieważ stanowi przeciwwagę dla penetracji Starego Kontynentu przez Rosję i Chiny. W tej dziedzinie podkreślają oni ciągłość amerykańskiej polityki wobec naszego regionu, twierdząc, że administracja Joeego Bidena kontynuuje dzieło ekipy Donalda Trumpa. Jest to prawda, ale tylko częściowa. Zmiana jest

bowiem ewidentna, a jej istotą pozostaje stosunek do Berlina.

Jeszcze za prezydentury Baracka Obamy, podczas szczytu NATO w Walii w 2014 r., państwa członkowskie Sojuszu zobowiązały się przeznaczać minimum 2 proc. PKB na zbrojenia. Deklaracja została wymuszona przez Amerykanów, na których od lat spoczywa główny ciężar finansowania obrony aliansu. O ile kraje, takie jak Polska, Rumunia, Litwa, Łotwa czy Estonia, wypełniły te zobowiązania, zwiększając swój udział w kosztach wspólnego bezpieczeństwa, o tyle większość państw Europy Zachodniej na czele z Niemcami nie zamierzała zwiększać swoich wydatków na armię.

To sprawiło, że następca Obamy Donald Trump dokonał zasadniczej zmiany akcentów w swej polityce europejskiej. Jego administracja rozczarowana była szczególnie Niemcami, które z jednej strony nie chciały wydawać pieniędzy na obronę, ale z drugiej



dawały zarabiać krocie na surowcach energetycznych Rosjanom, którzy dzięki temu mogli się zbroić i zagrażać Europie, ciężar obrony kontynentu musieli zaś brać na siebie Amerykanie. Trump w większym stopniu postawił na budowę regionalnego systemu sojuszniczego, złożonego z państw gotowych przejąć od USA część odpowiedzialności za wspólną obronę. Stąd wzięło się jego poparcie dla Trójmorza. Podobnie było zresztą w innych częściach świata, np. w Azji, gdzie nowe zobowiązania militarne wzięły na siebie Japonia, Korea Południowa czy Filipiny.

TRÓJMORZE CZY MIĘDZYMORZE?

Obecna ekipa rządowa w Waszyngtonie, która we wszystkim próbuje dystansować się od Trumpa, postanowiła naprawić nadszarpnięte relacje z Berlinem. Fried, Mosbacher i Brzezinski piszą, że „sceptyczny (czy więcej niż sceptyczny) stosunek prezydenta Trumpa do UE jako takiej obudził w Niemczech i UE podejrzania, że administracja Trumpa widzi w Trójmorzu mechanizm, który podzieli Unię Europejską. Niektórzy spekulowali, że USA, wykorzystując swoją długą historię wsparcia dla Europy Środkowej, mogą postrzegać Trójmorze jako okazję do forsowania swoich interesów naro-

dowych kosztem Europy. Był to nowy wariant żywnych od wielu lat obaw o to, że Europa Środkowa stanie się »ko-ni-em trojańskim« Waszyngtonu w Europie. Podejrzenia te były w większości pozbawione podstaw, zanim ożywiła je okazjonalna wrogość Trumpa wobec UE. Jego pozorne poparcie dla niektórych eurosceptycznych rządów w Europie Środkowej sprawiło, że niektórzy w Europie Zachodniej interpretowali poparcie administracji Trumpa dla Trójmorza w ciemniejszych barwach, niż było to uzasadnione”.

„Obawy te – piszą dalej amerykańscy autorzy – pogłębiły się za sprawą eurosceptycznej retoryki płynącej z Warszawy w 2015 r. Podczas gdy język deklaracji Trójmorza był prounijny, w niektórych nieoficjalnych spekulacjach w Polsce zauważono, że Trójmorze miało swoje korzenie w przedwojennej polskiej koncepcji sojuszu narodów Europy Środkowej, Międzymorza (łac. Intermarium), idei słusznej, ale nieudanej, która miała ułatwić krajom znajdującym się »pomiedzy« radzenie sobie z wyzwaniami ze strony Rosji Sowieckiej i rewanżystowskich Niemiec. Część Europy zinterpretowała inicjatywę jako polskie dążenie do utworzenia grupy regionalnej, z udziałem USA, aby nadać jej znaczenie kosztem solidarności europejskiej. Była to błędna interpretacja zarówno idei Międzymorza, jak i polskich celów w Inicjatywie Trójmorza (która przecież miała swoją genezę za poprzedniego, liberalnego polskiego rządu). Wpłynęło to jednak negatywnie na początkowe podejście Niemiec do Trójmorza”.

Zdaniem trójki autorów ten okres nieufności mamy już jednak za sobą: „W międzyczasie Inicjatywa zyskała akceptację w regionie i zdołała pozbyć się pewnego niefortunnego bagażu oraz uśmierzyć początkowe (i zazwyczaj nieuzasadnione) obawy Niemiec i UE. Trójmorze od początku cieszyło się poparciem USA – rzadki przypadek akceptacji inicjatywy wielostronnej przez administrację Trumpa – a także zdołało przetrwać przejście z administracji Trumpa na administrację Bidena, co jest nie lada wyczynem, zważywszy na politykę zmian w ekipach do spraw amerykańskiej polityki zagranicznej”.

NIEMCY WOBEC TRÓJMORZA

Niemcy od samego początku patrzyły z nieufnością na regionalny alians bez swojego udziału jak na alternatywny wobec nich model zorganizowania Europy Środkowej. Przełomem okazał się lipiec 2017 r. i wizyta Donalda Trumpa w Warszawie, podczas której prezydent USA poparł jednoznacznie Inicjatywę Trójmorza. To właśnie wtedy – jak pisze Przemysław Żurawski vel Grajewski – „Niemcy przestały ją traktować jako »efemerydę wynikającą z polskiej megalomanii«, groźną dla niemieckiej wizji modelu uczestniczenia państw środkowoeuropejskich w procesie integracji europejskiej. W ramach tej wizji państwa owego regionu powinny ochoczo podążać za wskazaniem Berlina i włączać się we wszelkie jego inicjatywy, ale nie powinny zgłaszać własnych projektów, tym bardziej takich, w których nie ma Niemiec. Poparcie Trumpa najwyraźniej przekonało jednak rząd RFN, że projekt sam z siebie nie upadnie, a zatem, że należy się doń przyłączyć, by go przejąć, a nie otwarcie zwalczać”. Prośba o przyjęcie Berlina do Trójmorza została jednak odrzucona, ale w 2018 r. podczas szczytu w Bukareszcie Niemcy zyskały status obserwatora (podobny mają Stany Zjednoczone).

Obecnie obserwujemy kolejny etap tego procesu, w którego ramach Niemcy obsadzone są przez USA w roli kogoś w rodzaju protektora Trójmorza. Wpisuje się w to znakomicie propozycja autorów tekstu, by jak najszybciej zinstytucjonalizować funkcjonowanie inicjatywy poprzez powołanie międzynarodowego sekretariatu Trójmorza, który powinien mieć swą centralę w Brukseli, Berlinie, Amsterdamie lub Londynie. Tego typu lokalizacja byłaby czytelnym znakiem braku podmiotowości regionu. Zwłaszcza że – jak zauważa Tomasz Teluk – „Europa Środkowa i Wschodnia jest marginalizowana, jeśli chodzi o tworzenie ważnych siedzib instytucji Unii Europejskiej. Żadna z 15 najważniejszych instytucji nie jest zlokalizowana w Europie Środkowej czy Wschodniej. Nie istnieje więc żaden argument, aby delegować jakąkolwiek instytucję Trójmorza poza jego granice. Warszawa, Budapeszt czy Bukareszt są

obecnie równie ważnymi miastami Unii Europejskiej co Florencja, Karlsruhe czy Haga”.

Postawienie przez Bidena na Berlin jako protektora Trójmorza wynika z jego uprzedniej decyzji: wyboru Niemiec – kraju o największym potencjale gospodarczym i politycznym na Starym Kontynencie – jako głównego sojusznika strategicznego USA w Europie. Dlatego też Białe Dom (wbrew stanowisku Kongresu) zniósł część sankcji wobec budowniczych Nord Stream 2, co pozwoli Niemcom i Rosjanom na wspólne dokończenie bałtyckiego gazociągu.

KWADRATURA KOŁA

Z punktu widzenia interesów USA jest to działanie sprzeczne samo w sobie. Z jednej strony Waszyngton uważa bowiem Moskwę za jedno z głównych zagrożeń dla porządku światowego i dla swojego bezpieczeństwa (to właśnie z terytorium Rosji przeprowadzane są regularnie ataki hakerskie na amerykańskie instytucje, w tym na infrastrukturę krytyczną), z drugiej zaś strony pozwala Kremlowi na dokończenie gazociągu, który zwiększy możliwość presji na Europę Środkowo-Wschodnią, biorąc w energetyczne kleszcze Ukrainę, Polskę czy Słowację.

To działanie staje się zrozumiałe jedynie wówczas, gdy przyjmiemy założenie obecnej administracji Białego Domu, że w swej polityce wobec Chin i Rosji może ona polegać w Europie przede wszystkim na Berlinie, licząc na jego wsparcie i lojalność. Zdaniem wspomnianego już Przemysława Żurawskiego vel Grajewskiego amerykańscy demokraci trzymają się „wizji Niemiec jako państwa, które przejmie od nich ciężar odpowiedzialności za Europę i dogada się z Rosją, zapewniając jednocześnie solidarność UE z Waszyngtonem na kierunku chińskim i brak kłopotów ze strony Kremla, umożliwiający skoncentrowanie się USA na Dalekim Wschodzie”.

Niewiele przesłanek wskazuje jednak na to, by Berlin miał spełnić oczekiwania Waszyngtonu i w imię amerykań-

skich interesów chciał zaognić swe stosunki z Moskwą i Pekinem. Przecież Nord Stream 2 to de facto podział energetycznej strefy wpływów w Europie Środkowej pomiędzy Niemcy a Rosję. Jeśli chodzi zaś o relacje z Państwem Środka, to Niemcy były główną siłą, która, pod koniec swej ubiegłorocznej prezydentury w UE, z całą siłą parła do podpisania wspólnej unijno-chińskiej umowy inwestycyjnej, czemu ostro sprzeciwiały się Stany Zjednoczone. Co znamienne, Polska protestowała przeciw tej umowie, wchodząc w spór z Berlinem i podziеляjąc stanowisko Waszyngtonu. Efekt był taki, że administracja Bidena doceniła wysiłki obu stron i zniósła sankcje wobec Nord Stream 2, nagradzając Niemców i karząc Polaków.

Postawienie przez Bidena na Berlin jako protektora Trójmorza wynika z jego uprzedniej decyzji: wyboru Niemiec – kraju o największym potencjale gospodarczym i politycznym na Starym Kontynencie – jako głównego sojusznika strategicznego USA w Europie

Nawet trójka amerykańskich autorów miała problem z tym postanowieniem, pisząc o „kontrowersyjnej decyzji rządu Stanów Zjednoczonych” i określając gazociąg mianem „paskudnego problemu, który podzielił Europę”. W związku z tym przedstawili oni konkretne rozwiązania w ramach zadośćuczynienia dla krajów Trójmorza. Chcą mianowicie zmniejszenia presji wywieranej na nasz region w sprawach zielonej transformacji energetycznej oraz wspierania projektów opartych na gazie ziemnym. Co znamienne, powyższe oczekiwania formułują nie pod adresem Komisji Europejskiej, lecz Berlina, uznając najwi-

doczniej, że to właśnie tam leży główne centrum decyzyjne Unii.

PRZEŁOŻENIE ZWROTNICY

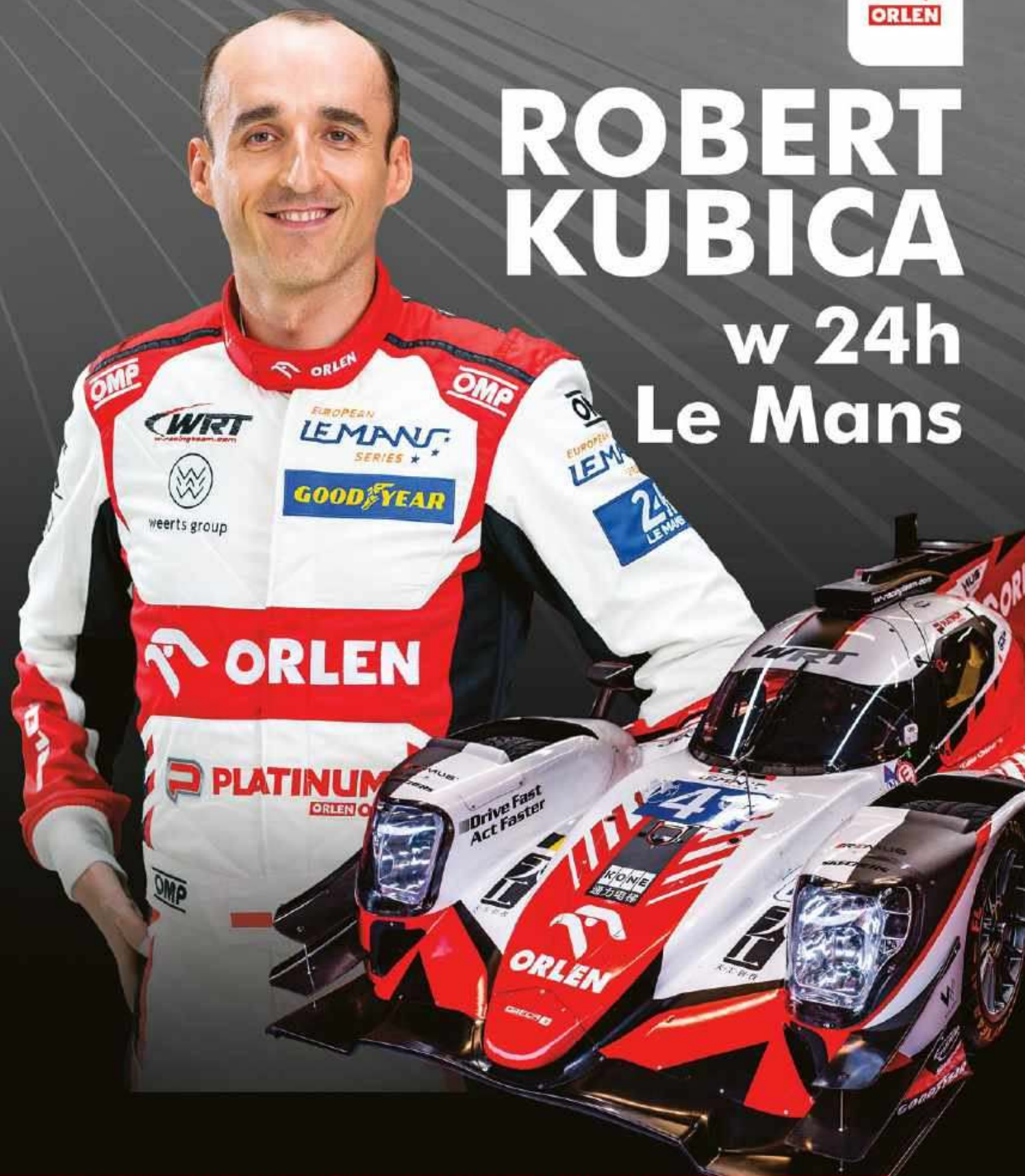
Podobne przekonanie (że USA dają Niemcom wolną rękę, jeśli chodzi o urządzenie Europy) odniosła po swej niedawnej wizycie w Waszyngtonie znana ukraińska analityczka, dyrektor kijowskiego Centrum Nowa Europa Alina Hetmańczuk. W swym tekście dla tygodnika „Dzierkało Tyżnia” napisała, że priorytetem europejskiej polityki Stanów Zjednoczonych stało dziś „zadośćuczynienie” Niemcom za lata impertynencyjnej polityki Donalda Trumpa, co prowadzi do ulegania Niemcom we wszystkich kwestiach, bez otrzymania czegokolwiek w zamian. Jak zauważa politolożka, „żaden z moich waszyngtońskich rozmówców nie był w stanie odpowiedzieć na pytanie, jakimi ustępstwami odpowiedział Berlin na gesty dobrej woli ze strony Stanów Zjednoczonych”. Zdaniem Hetmańczuk nie jest to dobra wiadomość dla Ukrainy, ponieważ Białe Dom pod wpływem Berlina przyjmuje stanowisko, że „nie należy drażnić Rosji”, co oznacza de facto politykę ustępstw wobec Kremla.

Zapewne musi minąć trochę czasu, zanim administracja Bidena się zorientuje, że Niemcy nie spełnią ich oczekiwań wobec Rosji i Chin. Wtedy zapewne przyjdzie czas na zmianę kursu – tak jak przyszedł czas na korektę w polityce migracyjnej USA i powrót do rozwiązań wprowadzonych przez Trumpa, jeszcze pół roku temu krytykowanymi, a dziś już zaakceptowanymi przez obóz demokratów. To, co się za-przepaści w tym czasie, trudno będzie jednak odbudować.

Część obserwatorów uważa też, że zielone światło Amerykanów dla Niemców może ośmielić tych ostatnich do bardziej zdecydowanych działań w Europie Środkowej. Być może z tym należy wiązać fakt, że programowy tekst trójki amerykańskich autorów zbiegł się w czasie z powrotem Donalda Tuska do polityki w Polsce. Zwrotnice zostały przedstawione. Rozpoczął się nowy rozdział.

ROBERT KUBICA

w 24h
Le Mans



21-22 SIERPNIA 2021



MAREK BUDZISZ

W Moskwie na COVID-19 umarł w ubiegłym tygodniu Władimir Mieższow, aktor i reżyser, twórca jednego z największych hitów kinematografii czasów ZSRR, jakim był nagrodzony Oscarem w 1981 r. film „Moskwa nie wierzy łzom”. Wspominał dzień po premierze: „Po raz pierwszy zobaczyłem tę kolejkę na placu Puszkina, w pierwszej chwili pomyślałem, że jestem na wiecu dysydentów, później, że do sklepu rzucili deficytowe towary. Kiedy zdałem sobie sprawę, że ludzie chcą oglądać mój film, przeżyłem 20 sekund absolutnego, pełnego szczęścia”.

Na uroczystość wręczenia Oscarów Mieższow nie pojechał, nawet o tym, że dostał nagrodę Akademii Filmowej, dowiedział się z drugiej ręki, od swoich kolegów z branży. Zamiast niego w ceremonii uczestniczył przedstawiciel konsulatu ZSRR, co skłoniło wielu komentatorów do żartów, że „po raz pierwszy nagrodą Akademii obdarzone zostało KGB”. Sama statuetka przez lata znajdowała się w biurach Mosfilmu, rosyjskiego, państwowego monopolisty odpowiadającego za produkcję filmową, a Mieższow dostał ją dopiero po upadku ZSRR.

APOLOGETA „ZWYKŁEGO CZŁOWIEKA”

„Moskwa nie wierzy łzom” była fenomenem czasów ZSRR nie dlatego, że sowiecka kinematografia była niedoceniana. Oscara dostała „Wojna i pokój” Bondarczuka, nominację zaś do tej nagrody otrzymały wcześniej obydwa słynne filmy Stanisława Rostockiego („Tak tu cicho o zmierzchu” i „Biały Bim, Czarne Ucho”). Jednak opowieść Mieższowa o trzech młodych dziewczynach, które przyjechały z prowincji szukać w Moskwie miłości i szczęścia, zrealizowana według hollywoodzkich wzorców, urzekła widzów prostotą opowieści, autentyzmem motywacji i losów. Wszyscy, którzy pamiętają typowe produkcje sowieckiej kinematografii owego czasu, pełnej

O gwiazdach czasów ZSRR i nie tylko



Bez zgody i współpracy z władzą nie można było zostać ani w ZSRR, ani w Rosji Putina znanym artystą. Droga artysty idącego przeciw rządzącym zawsze była w Rosji trudna i krótka

Alla Pugaczowa



Kadr z filmu „Moskwa nie wierzy łzom”

papierowych bohaterów i koturnowych postaci, oglądali „Moskwa nie wierzy łzom” z zachwytem, mając przekonanie, że widzą prawdziwe życie, a nie propagandowy slogan. Podobno Ronald Reagan przed spotkaniem z Gorbaczowem w 1985 r. kilkakrotnie obejrzał film Mieńszowa po to, aby „lepiej zrozumieć mentalność i kulturę Rosjan”.

Sam Mieńszow, który wyreżyserował tylko pięć filmów, uchodził za artystę niepokornego, skonfliktowanego z establishmentem filmowym czasów ZSRR, a potem, już za czasów niepodległej Rosji, z niemalą częścią swego środowiska. Nie należy tego mylić z sympatyzowaniem z opozycją, bo Mieńszow niemal „od zawsze” popierał Putina i jego politykę, był raczej przeciwnikiem zerkającej na Zachód i puszczającej oko w jego stronę rosyjskiej inteligencji artystycznej. W 2011 r., będąc przewodniczącym komisji, której zadaniem miało być wyłonienie rosyjskiego kandydata do Oscara, odmówił podpisania decyzji większości optującej za „Cytadelą” Nikity Michalkowa, kolejną częścią „Spalonych słońcem”, bo w jego opinii był to słaby, drogi i zakłamujący historię ZSRR film. Dwa lata wcześniej nie chciał wręczyć nagrody twórcom filmu „Swołocz” w reżyserii Aleksandra Atanesyana, który opowiadał o losach grupy nieletnich przestępców z czasów II wojny światowej zwerbowanych przez NKWD po to, aby wykonywać niebezpieczne misje szpiegowskie i dywersyjne za linią frontu. Obraz ten pokazywał zdumiewający cynizm oficerów NKWD, których zupełnie nie interesował los prowadzonych przez siebie agentów, wysyłanych na pewną śmierć. I to właśnie przesłanie filmu wzburzyło Mieńszowa, którego ojciec był w Astrachaniu, a potem w Archangielsku oficerem NKWD.

Sam Mieńszow, zwolennik opowieści o losach zwykłych ludzi, przedstawiciel nurtu proletariackiego w sowieckiej kinematografii, poróżniony z establishmentem politycznym, był zawsze po stronie władzy. Popierał politykę Putina w Czeczenii oraz aneksję Krymu, namawiał w 2018 r. młodzież Petersburga, aby tagłosowała na Władimira Władimirowicza. A ostatnio, będąc już po osiemdziesiątce, zgodził się wziąć udział w jesiennych wyborach do Dumy z listy niewielkiej proputinowskiej formacji Sprawiedliwa Rosja, która zdaniem specjalistów może odegrać rolę partnera koalicyjnego, jeśli by Jednej Rosji nie udało się zdobyć oczekiwanej większości. Mieńszow znajdował się w pierwszej czwórce kandydatów na krajowej liście tej formacji. W jego przypadku rzeczywiście, jak piszą krytycy, mamy do czynienia z artystą w istocie ludowym, którego twórczość odpowiadała gustom szerokiej publiczności i dlatego cieszyła się taką popularnością. Ale równie wyraźnie widać, że ludowość we współczesnej Rosji nie oznacza opozycyjności wobec władzy, wręcz przeciwnie – mamy do czynienia z amalgamatem, w którym znaleźć można i gloryfikowanie historii, w tym tradycji NKWD, i odwoły-

wanie się do tradycji imperialnej, a także proletariackiej, wzywającej do szanowania „zwykłego człowieka” i przeciwstawiającej jego lossprzedajnym elitom.

PUGACZOWA – IDEAL ROSYJSKIEGO GLAMOURU

Zupełnym przeciwieństwem Mieńszowa jest gwiazda pierwszej wielkości scen sowieckiej i rosyjskiej Alla Pugaczowa, bohaterka niezliczonej liczby skandali i plotek, artystka, która sprzedała 300 mln płyt, co w skali świata sytuuje ją na czwartym po Beatlesach, Presleyu i Abbie miejscu. Lubując się w przepychu i luksusie, biorąca za jeden koncert, jak relacjonowały rosyjskie media, 24 mln rubli, co w owym czasie (oficjalnie Pugaczowa zakończyła karierę w 2011 r.) wynosiło niemal 1 mln dol. Pugaczowa produkowała pod własnym brandem kosmetyki, biżuterię, nawet odzież. Żona pięciu mężów, z których ostatni, artysta estradowy Maksim Galkin, jest od niej 27 lat młodszy. Ma z nim zresztą dwójkę dzieci urodzonych przez surogatkę. Rosyjska publiczność glamour ma w Pugaczowej swój ideał niezależnej, zamożnej kobiety, zmieniającej mężów wedle swego uznania, wiecznie młodej, choć jak się w rosyjskich mediach plotkarskich pisze raczej w wyniku niezliczonej liczby operacji plastycznych.

Pugaczowa jest jeszcze typowa z innego względu. Otóż związki z władzą, bez których rosyjski show-biznes nie funkcjonuje, choć kreuje się na osobę krytyczną, nawet niezależną. Związana była z Michaiłem Prochorowem, kiedy ten miał kandydować w rosyjskich wyborach prezydenckich, rzucając wyzwanie Putinowi, a potem wstąpiła, na krótko zresztą, do jego formalnie opozycyjnej partii, jaką była prawicowa z nazwy formacja stworzona przez tego przedsiębiorcę. Notabene z czasem przekształciła się ona w proputinowską Partię



Lena Katina i Julia Wołkowa z zespołu Tatu

Wzrostu, a stojący na jej czele Boris Titow został rzecznikiem praw przedsiębiorców.

W 2019 r. Pugaczowa i Galkin kupili na Cyprze 470-metrowy apartament, za który zapłacili ponoć 10 mln euro. Rosyjskie media pisały wówczas, że artystka ma zamiar uzyskać obywatelstwo tego państwa będącego członkiem Unii Europejskiej, a do Rosji już raczej nie wróci. Wszystko to okazało się nieprawdą, małżeństwo ma też wielką rezydencję, nazywaną zamkiem, w jednej z podmoskiewskich miejscowości dla bogaczy, ale opinia o krytycznym stosunku Pugaczowej do polityki władz zakorzeniła w społecznej recepcji.

POLITYKA I DZIEWCZYN Z TATU

Jeśli w przypadku Pugaczowej możemy mówić o „grze na niezależność”, to Julia Wołkowa, gwiazda słynnego na początku wieku rosyjskiego duetu Tatu, na tego rodzaju luksusy nie może sobie pozwolić, próbując dziś desperacko wrócić na szczyty rosyjskiego show-biznesu. Zespół Tatu, znany z hitu „Nas nie dogoniat!”, był najbardziej udanym produktem menedżerów rosyjskiej sceny muzycznej końca ubiegłego stulecia. Dziewczyny śpiewały na rozdaniu nagród MTV, a ich anglojęzyczny album „200 km/h in the Wrong Lane” sprzedał się w nakładzie ponad 7 mln egzemplarzy. Kiedy w 1999 r. Iwan Szapowałow, producent muzyczny, i Aleksandr Wojtynski powoływali grupę, Wołkowa miała 15 lat, a jej koleżanka z duetu Lena Katina 14 lat. Jak Wołkowa ujawniła w jednym z wywiadów, już po tym jak grupa przestała istnieć, nie miały one nic do powiedzenia, o wszystkim decydowali menedżerowie. Nawet na konferencjach prasowych nie mogły się odzywać.

Grupa była wymyśloną kreacją, a wszystko, w tym sugerowanie miłości homoseksualnej Wołkowej i Katiny, było po to, aby zaszokować konserwatywną publiczność krajów wywodzących się z ZSRR i zyskać dodatkowe punktu na Zachodzie. Nawet nazwa zespołu, którą w rozwinięciu tłumaczono: „Ona kocha ją”, miała służyć uprawdopodobnieniu tej narracji. Pytana po latach przez dziennikarzy, skąd się wziął jej syn ze związku z przedsiębiorcą Pierwizem Jasinem, artystka odpowiedziała ze śmiechem, że „przecież nie od dziew-

czyny”. Zresztą wcześniej, w wieku 19 lat, urodziła córkę Wiktorię.

Wołkowa, chcąc znów się znaleźć w świetle reflektorów, bo jej indywidualna kariera estradowa kuleje po tym, jak przeszła nieudaną operację usunięcia guza tarczycy, co negatywnie wpłynęło na jej głos, zgłosiła późną wiosną tego roku swój udział w prawyborach formacji władzy Jednej Rosji, w Iwanowie. Nie udało jej się dostać na listę poselską, zdobyła ledwie 900 głosów, ostatecznie w okręgu tym kandydował będzie jeden z lokalnych oficjeli, ale przy-

W 2019 r. Pugaczowa i jej piąty mąż kupili na Cyprze 470-metrowy apartament. Rosyjskie media pisały wówczas, że artystka ma zamiar uzyskać obywatelstwo tego państwa, a do Rosji już raczej nie wróci. Okazało się to nieprawdą

okazji została bezlitośnie wykpiąta przez przedstawicieli rosyjskiego establishmentu medialnego. Jej, delikatnie mówiąc, niewielką wiedzę w sprawach publicznych obnażyła Ksienija Sobczak. Pytając Wołkową o to, co ma zamiar robić w przyszłej Dumie, sprowokowała ją do wypowiedzi, iż ta nie zgadza się z decyzją o podwyższeniu w Rosji wieku emerytalnego, za czym opowiedziała się Jedna Rosja, z której list Wołkowa chciałaby startować. „Czy masz zatem zamiar wystąpić przeciw własnej frakcji?” – z niedowierzaniem pytała Sobczak, która startowała w wyborach prezydenckich przeciw Putinowi, choć zdaniem wielu obserwatorów pseudokonkurencja z nią była lokatorowi Kremla na rękę, zmuszając Wołkową do odpowiedzi, że ta „własnym przykładem” ma zamiar przekonać władzę do zmiany polityki w tym względzie.

Przedmiotem kpin była nie tylko niewielka wiedza piosenkarki w sprawach publicznych, lecz również to, że najwyraźniej przesadziła z botoksem. Szczególnie kształt i wielkość jej ust stały się powodem

licznych żartów, a petersburski komik Ilja Soboliew nagrał nawet piosenkę, w której – udając Wołkową – śpiewał „ponad pięć placów zabaw i kilka szkół w moich ustach”. Jednak jak się wydaje, tego rodzaju rozgłos nie zraził połowy duetu Tatu, bo przecież nie chodziło o to, aby się dostać do Dumy i wykonywać trudną i nudną pracę legislacyjną, ale aby władza zauważyła artystkę i doceniła jej oddanie. Jej start w kampanii przedwyborczej Jednej Rosji miał w gruncie rzeczy uwiarygodnić narrację władz, która starała się przekonać

Rosjan, iż start z list partii władzy jest przedmiotem pożądania ludzi niezaangażowanych w politykę, takich jak Wołkowa, a ponadto że samo głosowanie jest uczciwe, bo znana moskiewska piosenkarka przegrywa z lokalnym urzędnikiem z Iwanowa. Już wcześniej Julia Wołkowa pokazała, że może się władzom przydać. Duet Tatu wznowił swą działalność w 2013 r. i rok później zaśpiewał na otwarciu zimowej olimpiady w Soczi.

ZWIĄZKI Z WŁADZĄ

Miejszow, Pugaczowa, Wołkowa. Co ich łączy? Nie tylko to, że byli i są symbolami swoich czasów, gwiazdami rozpoznawalnymi w Rosji i w krajach wywodzących się z byłego ZSRR. Symbolizują różne tradycje, różne estetyki i wrażliwości, ale wszyscy na wiele sposobów związani byli z władzą. Nieważne, czy dla pieniędzy, czy w związku z pozytywnym waloryzowaniem historii i tradycji ZSRR. Nawet tak różne biografie i drogi życiowe pozwalają zrozumieć, do jakiego stopnia rosyjski świat artystyczny uzależniony jest od władzy, z którą żyje w trudnej nieraz, ale jednak symbiozie. Bez zgody i współpracy z władzą nie można było być ani w ZSRR, ani w Rosji Putina znanym artystą. Droga artysty idącego przeciw rządzącym zawsze była w Rosji trudna i krótka, żeby wspomnieć los choćby Wiktora Coja czy Włodzimierza Wysockiego. Można było być artystą opozycyjnym, ale nieprzypadkowo Andriej Makariewicz, założyciel słynnej rosyjskiej grupy rockowej Maszyna Wriemieni, mieszka obecnie w Nowym Jorku. Nie każdy jest bohaterem, a żyć trzeba, serwity na rzecz rządzących były i są przez nich chętnie wykorzystywane, bo obiektywnie służą wzmocnieniu władzy. 

Do Japonii po złoto

Dwa złote, trzy srebrne i sześć brązowych – taki był dorobek medalowy polskiej reprezentacji olimpijskiej na igrzyskach w Rio de Janeiro pięć lat temu. Czy na rozpoczynających się już za 11 dni igrzyskach w Tokio uda się poprawić ten rezultat? Nasi sportowcy są gotowi na to wyzwanie



Polacy nie ukrywają, że jadą do stolicy Japonii po jak najwyższe laury. Brązowa medalistka z Rio w czwórce podwójnej wioślarka Maria Sajdak mówi wprost, że interesuje ją złoty medal.

– Celem jest zwycięstwo, znamy swoją wartość i możemy wygrać z każdą inną osadą, choć kandydatek do złota jest w naszej dyscyplinie bardzo wiele. Są świetne osady chińskie, niemieckie, holenderskie, mocne są Włoszki, ale my jesteśmy dobrze przygotowane, to, co robimy, cały czas sprawia nam radość i satysfakcję – podkreśla Maria Sajdak.

Oprócz niej polską osadę czwórki podwójnej tworzą: Agnieszka Kobus-Zawojcka, Marta Wieliczko oraz Katarzyna Zillmann. Panie mają za sobą bardzo trudny rok, podczas którego plany treningowe pokrzyżowała pandemia, ale na szczęście przed igrzyskami udało się wypracować znakomitą formę.

– Łatwo nie było, bo w zeszłym roku nasz najważniejszy cel – igrzyska – nagle został odwołany i nie było wiadomo, czy w ogóle się odbędzie. Oczywiście mocno pozmieniało to nasze plany, należało utrzymać odpowiedni poziom motywacji, dodatkowo każda z nas przeszła jesienią koronawirusa, a ja jeszcze odniosłam kontuzję. Ale to wszystko już poza nami i nie powinno mieć wpływu na nasz start w Tokio – dodaje Maria Sajdak.

Dotychczas reprezentanci Polski w konkurencjach wioślarskich zdobyli 18 medali olimpijskich (w tym cztery złote), 48 medali mistrzostw świata seniorów (w tym 12 złotych) oraz 78 medali mistrzostw Europy (w tym 14 złotych). W czasie zawodów na torze Sea Forest Waterway, zlokalizowanym w Zatoce Tokijskiej, oprócz czwórki podwójnej kobiet będziemy mocno liczyli także na inne nasze wioślarki i wioślarzy, którzy 4 lipca odebrali nominacje na igrzyska w ośrodku przygotowań olimpijskich w Walcu.

Od ponad czterech lat Polski Związek Towarzystw Wioślarskich jest wspierany przez koncern energetyczny Enea, który jest też sponsorem Polskiej Reprezentacji Olimpijskiej. Enea wspiera nie tylko sportowców, ale także kibiców, dla których uważne śledzenie zmagania w Tokio może być nie lada wyzwaniem z powodu różnicy czasu między Japonią a Europą. Aby poczuć klimat igrzysk, firma za-

chęca do wspólnego przeżywania i dopingowania polskich sportowców w kampanii #RazemPoEmocje. W mediach społecznościowych Grupy Enea (Facebook, Instagram) na kibiców czekają m.in. ekskluzywne wywiady z czynnymi i byłymi sportowcami, komentatorami sportowymi oraz osobami odpowiedzialnymi za przygotowanie Polskiej Reprezentacji Olimpijskiej. Ambasadorką marki Enea jest Natalia Partyka, utytułowana tenisistka stołowa, która wystąpi zarówno na igrzyskach olimpijskich, jak i paraolimpijskich.



SPONSOR
POLSKIEJ REPREZENTACJI OLIMPIJSKIEJ



Sprawdź szczegóły
enea.pl/konkurs

KONKURS:
AŻ 260 NAGRÓD!



Trwa wojna dezinformacyjna

Moim zdaniem we wrześniu liczba chorych będzie rosła, a szczyt nastąpi w październiku. Dotychczas mieliśmy pięć miesięcy przerwy między kolejnymi falami. Sądzę, że teraz będzie podobnie. Zacznie się w jakimś słabo wyszczepionym powiecie. Tam ludzie zaczną lądować w szpitalach.

Nie uderzy w całym kraju od razu

Z dr. Pawłem Grzesiowskim, pediatrą, wakcynologiem i prezesem Fundacji Instytut Profilaktyki Zakażeń, ekspertem Naczelnej Rady Lekarskiej ds. COVID-19, rozmawia Dorota Łosiewicz

W Wielkiej Brytanii, mimo zaawansowanej kampanii szczepień, rozprzestrzenia się mutacja delta koronawirusa. Z czego to wynika?

Paweł Grzesiowski: Z tego, że wirus jest bardziej zakaźny, nie wszyscy chorowali i nie wszyscy są zaszczepieni, więc nowy mutant atakuje tych, do których ma dostęp. Dodatkowo nie wszyscy zaszczepieni są w stu procentach odporni. Jeśli spojrzymy na strukturę zachorowań w Wielkiej Brytanii, to chorują głównie dzieci, młodzież i młodzi dorośli, którzy nie byli jeszcze zaszczepieni. Wirus wykorzystuje tę lukę i atakuje. Sytuacja w Wielkiej Brytanii to w istocie świat w soczewce. Widać, że jeśli ludzie podróżują do rejonów wysoko zakaźnych i wracają, to przywożą różne prezenty w postaci nowych wariantów wirusa. Delta wzięła się z Azji, wcześniej w Wielkiej Brytanii dominowała alfa. I te nowe warianty atakują tam, gdzie mogą, czyli ludzi głównie niezaszczepionych. Ta fala na Wyspach jest jednak inna niż wcześniejsza. Liczba hospitalizacji i zgonów jest niepomrotnie mniejsza.

Może wirus łagodnieje? Mutacja delta, choć bardziej zakaźna, jest mniej śmiertelna?

Absolutnie nie. Jest wręcz przeciwnie. Po prostu widać efekty szczepień. Nie umierają osoby zaszczepione. 95 proc. ludzi zaszczepionych jest chronionych przed śmiercią i hospitalizacją. A doniesienia z krajów, w których nie ma szczepień, wskazują, że ten wirus jest bardziej zjadliwy niż wcześniejsze warianty. Spróbuję wytłumaczyć to obrazowo. Wirus strzela do nas jak z karabinu maszynowego. Ci, którzy założyli kamizelki kuloodporne i hełmy, czyli się zaszczepili, żyją, ci, którzy ich nie założyli, giną. W przypadku młodych zdrowych ludzi ryzyko zgonu z powodu delty jest nieznacznie wyższe niż w przypadku alfy. Inaczej jest w przypadku osób starszych, dla których ta mutacja jest groźniejsza, ale osób starszych w Wielkiej Brytanii zaszczepiło się ponad 90 proc., więc zgonów jest zwyczajnie mniej. Sytuacja, o której mówimy, tylko potwierdza efektywność szczepień, a nie przeciwnie, jak próbują udowodniać an-

tyszczepionkowcy. Spójrzmy jeszcze na Amerykę Południową, Indonezję czy Indie. Tam jest katastrofa humanitarna, dramat. Śmiertelność w Peru to 10 proc., umiera co dziesiąty chory. W Wielkiej Brytanii umiera jedna osoba na kilka tysięcy.

Skoro jesteśmy przy liczbach, to poproszę o interpretację danych opublikowanych przez Public Health England. W Polsce medialne zamieszanie wywołała opinia, z której wynika, że śmiertelność z powodu wariantu delta COVID-19 jest sześciokrotnie wyższa wśród osób w pełni zaszczepionych niż wśród tych, które nigdy nie otrzymały szczepionki.

Ktoś, kto tak zinterpretował te dane, albo miał złą wolę, albo nie znał podstaw matematyki i statystyki. Ktoś porównał nieporównywalne zbiory. W całej populacji Wielkiej Brytanii jest po prostu więcej osób zaszczepionych niż niezaszczepionych. Trudno się więc dziwić, że wśród hospitalizowanych także częściej można spotkać zaszczepionych niż niezaszczepionych, tych pierwszych jest bowiem statystycznie więcej. Trzeba porównywać skuteczność szczepionek na takiej samej grupie, czyli zobaczyć, co dzieje się z tysiącem osób zaszczepionych i tysiącem osób niezaszczepionych. Wówczas się okazuje, że jest dokładnie odwrotnie. Ponad 10 razy częściej do szpitala trafia osoba niezaszczepiona niż zaszczepiona. Public Health England podał suche dane, ktoś w Polsce je błędnie zinterpretował, a ta interpretacja zaczęła żyć własnym życiem, robiąc dużo szkody, siejąc dezinformację.

Skoro jesteśmy przy teoriach, które podbijają sieć, to zapytam o głośny wywiad z belgijskim wirusologiem Geertem Vanden Bosschem, który twierdzi, że globalne szczepienia nie zapewnią nam ochrony przed COVID-19 i doprowadzą do pojawienia się odpornych na szczepionkę mutacji wirusa, których nie będziemy w stanie kontrolować. Na tej podstawie naukowiec domagał się wstrzymania programu szczepień. Nowe mutacje się pojawiają...

To, co się dzieje, jest dokładnym zaprzeczeniem teorii pana profesora, którego pani wspomniała. Gdyby wariant uciekał odporności poszczepionej, to jego teoria byłaby prawdziwa. Ale tak nie jest. Wariant delta o kilka procent obniża efektywność szczepień, podobnie jak wariant afrykański. Jest jednocześnie bardziej zakaźny, czyli mutuje w innym obszarze, niż działa szczepionka. Mało tego. Z badań kanadyjskich wynika, że nawet jeśli osoba zaszczepiona miała kontakt z osobą zakażoną i się zaraziła, to wirus w jej organizmie rozprzestrzenia się 40 proc. słabiej, czyli o tyle procent jest zmniejszona szansa na mutację. Czyli zaszczepiony nie tylko sam nie choruje ciężko, ale dodatkowo ogranicza wirusowi zdolność mutacji. Jest taka obawa, że gdzieś na świecie powstanie wariant, który się całkiem wymknie ludzkiej odporności. Równie dobrze stymulacją do tego może być ozdrowienie. Mówienie więc, że szczepienie zwiększa ryzyko mutacji, to absurd. Wirus mutuje w takim kierunku, by jak najszybciej zakażać. On ma tylko jedną szansę. Przyczepi się do naszych komórek i je zakazi lub nie. Jeśli ktoś ma przeciwciała, to wirus się nie przyczepi, a jeśli się nie przyczepi, to nie może się rozmnażać ani mutować. Z perspektywy mutacji najlepiej wyglądają osoby, które mają słabą odporność, niewystarczającą do jego eliminacji, bo wirus ma szansę się przyczepić i rozmnażać. To jest paliwo do mutacji. Dlatego też Brytyjczycy rozważają podawanie osobom starszym trzeciej dawki, by nie dawać wirusowi paliwa do mutacji. Trzeba powiedzieć inaczej: szczepmy na tyle skutecznie, by blokować mutacje.

Jak rozumieć słowa prof. Simona, który kilka miesięcy temu mówił, że stosowanie amantadyny może prowadzić do mutowania wirusa?

Pan profesor zabrnął w złym kierunku. Amantadyna nie działa na wirusa. Amantadyna najprawdopodobniej modyfikuje procesy zapalne w organizmie (przynajmniej na dziś jest taka hipoteza, trwają badania), a na to wirus nie może się uodpornić. Amantadyna osłabia zapalną odpowiedź organizmu

na wirusa i to może złagodzić przebieg choroby. Ktoś, kto brał amantadynę przed zachorowaniem (jak osoby chorujące na parkinsona), miał stłumiony układ odpornościowy. Gdy na takim gruncie zaatakował wirus, to wywołał mniejsze szkody niż u osoby, która leku nie przyjmowała. Ale efekt, o którym mówię, nadal nie jest potwierdzony w badaniach klinicznych.

A może raczej mają ci, którzy mówią, że wirus jest sezonowy?

Kolejna piramidalna bzdura. Ten wirus nie jest sezonowy. Nie jest wrażliwy na klimat. Czy w Wielkiej Brytanii i Hiszpanii panuje teraz zima? Czy półtora roku temu w Lombardii była zima? Na pewno transmisja wirusa na świeżym powietrzu jest mniejsza, ten wirus – jak wszystkie – jest bowiem wrażliwy na promieniowanie UV, więc promienie słoneczne go unieszkodliwiają, dlatego rzadziej zakażamy się na otwartej przestrzeni. Ale jeśli autobusem jedzie chory, to zarazi pasażerów bez względu na to, jaką mamy porę roku.

Spójrzmy na badania przeprowadzone przez naukowców z Uniwersytetu Hebrajskiego.

Wynika z nich, że zaszczepienie preparatem Pfizer/BioNTech jest mniej skuteczne w przypadku zakażenia wariantem delta koronawirusa. Dane zebrane w ciągu ostatniego miesiąca sugerują, że szczepionka jest w 64 proc. skuteczna w powstrzymaniu infekcji wśród osób, które są w pełni zaszczepione, w porównaniu z wcześniejszymi szacunkami, które mówiły o 94 proc.

Ale musimy podkreślić, że są to badania na małej grupie i dotyczą zachorowań lekkich, wobec których efektywność szczepionek jest niższa, niż wykazały wcześniejsze analizy. Natomiast szczepienia chronią przed ciężkim przebiegiem zakażenia i hospitalizacją – w tych przypadkach skuteczność preparatu Pfizer/BioNTech oscyluje wokół 93 proc. I o tym mówiliśmy wcześniej. Inna sprawa, że nikt wcześniej nie badał Pfizera pod kątem bezobjawowych

zachorowań. W Izraelu zrobiono to po raz pierwszy. Od początku Pfizer był analizowany w odniesieniu do chorych objawowych. Inaczej niż AstraZeneca, której skuteczność była niższa, ale ona uwzględniała chorych bezobjawowych. To badanie raczej nie mówi o mniejszej skuteczności Pfizera w przypadku wariantu delta, tylko weryfikowana jest skuteczność w przypadku osób bezobjawowych i skąpoobjawowych. Inna

Wirus strzela do nas jak z karabinu maszynowego. Ci, którzy założyli kamizelki kuloodporne i hełmy, czyli się zaszczepili, żyją, ci, którzy ich nie założyli, giną. W przypadku młodych zdrowych ludzi ryzyko zgonu z powodu delty jest nieznacznie wyższe niż w przypadku alfy

sprawa, że na razie mamy publikacje medialne, a nie ma jeszcze publikacji naukowej, więc nie znamy szczegółów badania, a tu szczegóły mają znaczenie. I wreszcie jeśli chodzi o hospitalizację i śmiertelność w Izraelu, to sytuacja jest zbliżona do tego, co dzieje się w Wielkiej Brytanii. Szczepionka działa, tylko prawdopodobnie słabiej niż wobec starszych wariantów, chroni przed transmisją, a to argument, by nie rezygnować z maseczek, zachowywać dystans i uważać w pomieszczeniach zamkniętych oraz by kontynuować łańcuch działań profilaktycznych. Osoba zaszczepiona jest chroniona przed śmiercią i ciężkim przebiegiem choroby, ale może zakażać.

Pytanie więc o strategię dla rządów. Polska wprowadziła kwarantannę dla osób przyjeżdżających z Wielkiej Brytanii. Dlaczego nie dotyczy ona

w pełni zaszczepionych, skoro mogą chorować i roznosić wirusa? Taki pomysł miało przez chwilę Ministerstwo Zdrowia, ale się wycofało. Osoby zaszczepione będą objęte nadzorem sanitarnym, a nie kwarantanną po kontakcie z wariantem delta.

Dlatego kraje, które ściśle chronią swoje granice i obywateli, nie patrzą na to, czy ktoś jest zaszczepiony, czy nie jest, tylko chcą mieć wynik testu.

I może to jest właściwy kierunek. Najskuteczniejsze jest testowanie. Tak jest na Tajwanie, Islandii czy w Australii. Szczepienie jest indywidualnym zabezpieczeniem danej osoby, natomiast lepszą ochronę granic dają kwarantanna i testowanie wszystkich wracających z zagranicy. Nie tylko z Wielkiej Brytanii. Czyli zaszczepiony ma swoją kamizelkę kuloodporną, ale należałoby sprawdzać, czy taki człowiek nie ma ukrytej broni.

Może w takim razie certyfikaty covidowe to tylko uśpienie czujności?

Łatwo sobie tak gdybać, stojąc z boku. Pojawiła się delta. Na naszych oczach koncepcja, że szczepienia będą chronić w stu procentach przed wszystkimi postaciami zakażeń, uległa zmianie, trzeba więc zmodyfikować postępowanie na podstawie nowych informacji o wirusie. Musimy na bieżąco, elastycznie reagować na to, co robi wirus. A ten cały czas robi nam niespodzianki. Nie możemy stać w miejscu. Trzeba sobie powiedzieć: „OK, w pełni zaszczepiony nie umiera, nie idzie do szpitala, ale może lekko zachorować i przez krótki czas roznosić wirusa”. Trzeba więc nadal testować. Dyskutowaliśmy dziś, co robić z chorym, który trafia do szpitala, a jest po dwóch dawkach: testować czy nie? Trzeba sprawdzić, czy miał kontakt z chorym. Jeśli miał kontakt, to trzeba testować, jeśli nie, to nie trzeba. Podobnie należałoby postępować na granicach. Jeśli w wywiadzie jest kontakt, testować.

Mam wrażenie, że właśnie wróciliśmy do punktu wyjścia. Na początku pandemii testowano tylko osoby po

kontakcie, a przecież wiemy, że często o kontakcie nie mamy pojęcia.

Nie mamy innego narzędzia. Nie możemy elektronicznie sprawdzić kontaktu, musimy zaufać, że ktoś o nim powie. Jeśli nie, trzeba na granicy testować wszystkich. A na pewno powinna się toczyć szeroka dyskusja o najskuteczniejszych rozwiązaniach. Testowanie wszystkich to potworny wysiłek finansowy dla ludzi, laboratoriów itd. Może więc róbmy szybkie testy antygenowe, bo mimo że nie wykrywają wszystkich zakażonych, wykluczają zakaźność. Każde rozwiązanie ma słabe punkty. Jeśli się bardzo boimy, testujemy wszystkich na granicy.

A przynajmniej tych z Wielkiej Brytanii.

Nie! Błędny kierunek. A dlaczego nie tych, którzy wracają z Portugalii czy Rosji? Sytuacja jest globalnie tak niestabilna, że należałoby testować wszystkich albo nikogo.

A ponieważ ludzie podróżują, wygląda na to, że czwarta fala, oparta na wariancie delta, jest nieunikniona. Słyszemy różne scenariusze. Może połowa sierpnia, a może wrzesień, październik lub listopad. Jaki będzie scenariusz czwartej fali pana zdaniem?

To trudne pytanie. Polska to szczepionkowy patchwork. Są regiony, w których procent zaszczepionych jest bardzo wysoki, i takie, w których jest bardzo niski. Będą więc regiony, gdzie szybko będzie więcej zachorowań, i takie, gdzie będzie ich mniej. Przez pewien czas możemy nawet nie zauważyć, że czwarta fala się zaczęła, będzie raptem bowiem kilkudziesięciu chorych. Dopiero kiedy w jednym powiecie będzie ich kilkuset, to się zorientujemy. Moim zdaniem we wrześniu liczba chorych będzie rosła, a szczyt będzie w październiku. Dotychczas mieliśmy pięć miesięcy przerwy między kolejnymi falami. Sądzę, że teraz będzie podobnie. Zacznie się w jakimś słabo wyszczepionym powiecie. Tam ludzie zaczną ładować w szpi-

talach. Nie uderzy w całym kraju od razu.

Co z osobami, które szczepiły się w grudniu lub styczniu? Powinny przyjąć przed jesienią trzecią dawkę?

Nie. Nie mamy badań, z których by wynikało, że odporność po szczepieniu spada do zera, np. po roku czy kilku miesiącach. Są za to badania, z których wynika, że nawet jeśli przeciwciała spadają, to i tak pamięć

Zalewa nas fala dezinformacji, fejków i kłamstw, nawet w poważnych mediach. Trudno stawiać temu czoła. Tym bardziej że jest to proces sterowany, wspomagany i planowy

immunologiczna nam pomoże. Na razie, moim zdaniem, kandydatami do trzeciej dawki byłyby tylko osoby 60 plus oraz przewlekle chorzy, bo oni słabiej odpowiedzieli na szczepienie. Tę grupę należałoby wzmocnić.

Mamy też badania publikowane w „Nature”, z których wynika, że odporność po przechorowaniu może być długotrwała. Dlaczego więc szczepimy ozdrowieńców?

Odporność ozdrowieńców jest słabsza i mniej trwała niż po szczepieniu. Nie możemy przewidzieć, jak ozdrowieniec zareagował na wirusa, dlatego szczepienie jest podstawową metodą zapobiegania. Natomiast trwają badania nad możliwością szczepienia jednorazowego u ozdrowieńców, bo znakomicie odpowiadają już po jednej dawce.

A co z dziećmi? Szczepić?

Tak! Dzieci mogą także ciężko chorować, mają powikłania pocovidowe,

a ponadto są skutecznym przekazywaczem wirusa. Chorują często skąpoobjawowo, ale roznoszą zakażenie. Jeśli chcemy zatrzymać transmisję i mutacje, to trzeba zaszczepić dzieci.

Dlaczego pana zdaniem tyle osób nie chce się szczepić?

Może dlatego, że mamy infodemię, którą ogłosiła nawet WHO. Zalewa nas fala dezinformacji, fejków i kłamstw, nawet w poważnych mediach. Trudno stawiać temu czoła. Tym bardziej że jest to proces sterowany, wspomagany i planowy.

Może więc należałoby szeroko dyskutować na argumenty, zamiast odsądzać ludzi od rozumu?

Dyskusja trwa. Ale jak rozmawiać z płaskoziemcami? To ich legitymizuje! Jak mam rozmawiać z ludźmi, którzy uważają, że w szczepionce są czipy?

Myszę, że błędnie w tej dyskusji stawia się znak równości między klasycznymi antyszczepionkowcami a znacznie szerszą grupą osób, która zwyczajnie zadaje pytania w obliczu tego, co się dzieje.

Jak rozmawiać z antyszczepionkowymi botami, które natychmiast atakują? Przed telewizorami jest mało ludzi, większość jest w internecie. Na moje zdanie, że wirus delta jest groźny, pojawia się natychmiast 30 trolli, którzy sieją nienawiść i dezinformację. Co zrobić, by prawdziwa informacja nie utonęła w oceanie dezinformacji? To jest wojna dezinformacyjna, która uniemożliwia dyskusję. Wie pani, ile lat zajęło obalenie kłamstwa, że szczepionki powodują autyzm? 20! Jak mam rozmawiać z kimś, kto mówi, że szczepionki powodują bezpłodność, i chce ode mnie dowodów, że jest inaczej? Tu chodzi o niszczenie autorytetów. Dlatego trzeba rozmawiać w gabinetach lekarskich, a nie w mediach, bo w bezpośrednim kontakcie powstaje zaufanie. W dyskusji o szczepieniach potrzeba nam mądrości, spokoju i rozwagi.

Wracamy na wilczy trop

Wygrywamy z pandemią koronawirusa i wracamy z największą patriotyczno-edukacyjną imprezą sportową w Polsce oraz... wszędzie! W tym roku każdy może zdecydować, gdzie odbędzie się Bieg Pamięci „Tropem Wilczym”



MARCIN WIKŁO



TROPEM WILCZYM

BIEG PAMIĘCI ŻOŁNIERZY WYKŁĘTYCH

KREW PILNIE POTRZEBNA

Od początku było jasne, że tegoroczna edycja będzie inna niż wszystkie, ale nie wyobrażaliśmy sobie, że biegu mogłoby nie być – mówi Barbara Konarska, rzecznik prasowy Tropem Wilczym.

Epidemia koronawirusa pokrzyżowała plany organizatorów i bieg nie mógł się odbyć jak zazwyczaj 1 marca, w Dniu Pamięci Żołnierzy Wyklętych. Termin imprezy – 15 sierpnia – sprawia, że wielu z jej uczestników wyjedzie na letni wypoczynek, ale czy to oznacza konieczność rezygnacji z udziału w biegu? Wręcz przeciwnie! Zachęcamy – zabierz Tropem Wilczym na wakacje. Pobiegij tam, gdzie chcesz, i nas o tym poinformuj. Dzięki temu może się okazać, że nasza aktualizowana co roku mapa aktywności zapelni się miejscami, o których nawet byśmy w normalnych warunkach nie marzyli.

Tę mapę już dzisiaj można obejrzeć na stronie www.tropemwilczym.org. Przyciąga uwagę zarówno spore zagęszczenie miejsc w Polsce, jak i międzynarodowy rozmach przedsięwzięcia, w które od lat angażują się m.in. polscy żołnierze na misjach czy przedstawiciele Polonii. Przykład? W tym roku w Australii bieg Tropem Wilczym odbędzie się w aż trzech miejscach. Jest dla nas ważne, by szczególnie teraz, gdy jesteśmy wszyscy tak zmęczeni pandemią, ta akcja była znakiem powrotu do normalności. Bądźmy znów razem!

Historia biegu Tropem Wilczym sięga 2013 r., wtedy dzięki pomysłowi Michała Dworczyka z fundacji Wolność i Demokracja odbyła się pierwsza, bardzo skromna edycja. Przez lata inicjatywa zyskiwała dziesiątki tysięcy uczestników, którzy zrozumieli, że połączenie aktywności fizycznej z pamięcią o bohaterach walczących o wolną Polskę ma sens. – Może zabrzmi to patetycznie, ale chcemy, by ten bieg był traktowany poważnie. Dlatego łączymy zabawę biegową z niezwykle ważnym apelem o oddawanie krwi. Szczególnie teraz, w okresie wakacyjnym, zawsze jej brakuje, nasi uczestnicy mogą uratować niejedno życie – apeluje Barbara Konarska.

Co roku Bieg Pamięci „Tropem Wilczym” zwraca uwagę na konkretnych bohaterów, zarówno tych historycznych, jak i współczesnych. Założeniem jest bowiem przypomnienie, że i w czasach pokoju należy się zachowywać odważnie i odpowiedzialnie, działać dla ojczyzny, dla dobra wspólnego. Obecna, IX, edycja biegu dedykowana jest pracownikom systemu ochrony zdrowia, którzy w niezwykle trudnym czasie toczyli i nadal toczą walkę z najtrudniejszym, bo niewidzialnym wrogiem – koronawirusem.

WARSZAWA RAZY DWA

Dystansem obowiązkowym dla wszystkich miejsc, gdzie odbywa się bieg, jest

trasa o długości 1963 m. To symbol, wtedy, 21 października 1963 r., zginął bowiem z bronią w ręku Józef Franczak „Laluś”, ostatni walczący Żołnierz Wyklęty. Organizatorzy, słuchając opinii biegaczy, którzy chcą pokonywać bardziej wymagające odległości, proponują także dłuższe biegi, na 5 lub 10 km. Aby dbać o zdrowie uczestników, profesjonalizuje się obsługa imprezy, ci, którzy przebiegną najdłuższe dystanse, będą się mogli potem odprężyć na stanowiskach z profesjonalnymi masażystami.

Wróćmy jednak do miejsc, gdzie będziemy biegać. To ok. 300 zorganizowanych startów, ale liczymy, że dołożą państwo coś od siebie. Wakacje z biegiem Tropem Wilczym to naprawdę atrakcyjna propozycja. Warszawska edycja organizowana jest we współpracy z Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL, które przygotowało dodatkowe (obok tych od organizatorów) pakiety startowe z atrakcyjnymi upominkami. Warto się zgłosić i wykupić możliwość startu w Warszawie i potem albo pojawić się razem z nami na wspólnej trasie, albo pobiec samodzielnie, gdzie akurat wtedy będziecie.

Szczegóły znajdziecie na Facebook/TropemWilczym lub na stronie www.tropemwilczym.pl. Partnerem medialnym imprezy jest tygodnik „Sieci”. Patronatem honorowym biegu objął prezydent RP Andrzej Duda, który nieraz stawał na starcie i pokonywał trasę wraz z innymi uczestnikami.

Giganci nauki PL^{odc. 5}

polscy wynalazcy, odkrywcy i pionierzy nauk ścisłych

Mamy w naszej historii wspaniałych odkrywców i wynalazców, zmieniających losy Polski i świata. Często wiemy o nich niewiele albo zgoła nic. Przez całe dziesięciolecia od wojny byli świadomie zapominani i niedoceniani. Nadszedł czas, byśmy mogli z dumą o nich mówić i przypominać Polsce i światu o wspaniałych rodakach



**Stanisław
Rogalski**
(1904–1976)

PARTNER DODATKU

PARTNER MERYTORYCZNY



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ



Orły

Jednym z najbardziej zaskakujących osiągnięć Drugiej Rzeczypospolitej był jej przemysł lotniczy. Stworzony głównie przez młodych entuzjastów, w większości studentów, metodami gospodarskimi. Jedyne, czym dysponowali, to zapał, pomysłowość i chęć rywalizacji

Zapatrzeni w świeży wówczas przykład braci Wrightów – niezamożnych mechaników prowadzących warsztaty rowerowe – wierzyli we własne siły, chcieli je wypróbować na tym nowym, spektakularnym polu. Większość z nich była rówieśnikami samolotu. Śledziła wiadomości o jego dojrzewaniu. O przelocie Louisa Blériota przez kanał La Manche w 1909 r. O doroszeniu samolotu podczas wielkiej wojny, która przyniosła Polsce niepodległość. Był to wciąż jeszcze heroiczny okres powstawania lotnictwa. Pozyskiwania metodą prób i błędów wiadomości niezbędnych do jego rozwoju.

Wszędzie tak było. Przez cały wiek XIX próbowali tworzyć prawdziwe lotnictwo odważni entuzjaści z wyobraźnią. Wielki kapitał ani wojsko nie były tym zainteresowane, gdyż oficjalna nauka była zdecydowanie sceptyczna wobec idei maszyny latającej cięższej od powietrza. Obok spraw konstrukcyjnych, które musiały spełniać wymogi awiacyjno-aerodynamiczne, była sprawa napędu. Silnik samolotu musiał mieć odpowiednio dużą moc, a przy tym być możliwie najlżejszy. Wszędzie na świecie lotnictwo powstawało więc z wykorzystaniem przemysłu samochodowego. Polska międzywojenna takiego zaplecza nie miała. Mimo to, wedle niezbyt nam przychylnych ocen niemieckich, polski przemysł lotniczy zaliczał się w latach 30. XX w. do drugiej czwórki w skali światowej obok amerykańskiego, holenderskiego i czechosłowackiego. Pierwszą czwórkę stanowiły wówczas w tej dziedzinie Wielka Brytania, Niemcy, Francja i Włochy.

Ważną jego częścią były samoloty sportowe. A jej dobrze do dziś pamiętaną wizytówką światowej klasy – samoloty RWD. Ich nazwa to skrót od nazwisk trójki ich twórców. A ich sukcesy były niemałe. Sylwetki zaprezentowano na podstawie biogramów ze „Słownika polskich i związanych z Polską odkrywców, wynalazców oraz pionierów nauk matematyczno-przyrodniczych i techniki”, pióra Andrzeja Glassa, najwybitniejszego znawcy historii lotnictwa polskiego.

Prof. Bolesław Orłowski



Stanisław Wojciech Józef Rogalski urodził się 25 maja 1904 r. w Ołomuńcu na Morawach. Był synem Wojciecha, lekarza wojskowego, późniejszego generała, i Marii z Dubskich. Szkołę ludową ukończył w Wadowicach, uczęszczał do wielu gimnazjów, od 1919 r. do gimnazjum im. J. Zamoyskiego w Warszawie, gdzie zaprzyjaźnił się ze Stanisławem Wigurą. Maturę zdał w Państwowym Gimnazjum im. A. Mickiewicza w Warszawie.

W 1922 r. Rogalski rozpoczął studia na wydziale mechanicznym Politechniki Warszawskiej (PW). W 1924 r. odbył służbę wojskową i przeszedł przeszkolenie lotnicze w Szkole Pilotów w Bydgoszczy. Dyplom pilota wojskowego uzyskał w 1925 r., po czym wrócił na Politechnikę. W 1927 r. wraz z Wigurą zaprojektował i zbudował w warsztatach Sekcji Lotniczej Studentów PW dwumiejscowy samolot sportowy WR-1. W tymże roku startował na nim w Krajowym Konkursie Awionetek.

W końcu 1927 r. Rogalski, Wigura i Jerzy Drzewiecki zawiązali zespół konstruktorski RWD i rozpoczęli budowę dwumiejscowego sportowego wolnonośnego górnołata RWD-1 z silnikiem ABC Scorpion 25 kW. Samolot ten na II Krajowym Konkursie Awionetek zdobył nagrodę Ministerstwa Komunikacji za śmiałość i oryginalność konstrukcji.

W 1929 r. Rogalski uzyskał dyplom inżyniera mechanika i został asystentem w Katedrze Budowy Samolotów PW u prof. Gustawa Mokrzyckiego. W latach 1931–1934 wykładał budowę samolotów na Politechnice Łwowskiej. W 1936 r. odbył kilkumiesięczną praktykę w wytwórniach lotniczych i instytutach badawczych w USA. W 1938 r. habilitował się na PW na podstawie wyników prac konstrukcyjnych i wykładu „Wady i zalety podwozia trójkołowego” i został docentem w Katedrze Aerodynamiki Stosowanej.

W 1930 r. wraz z inż. Antonim Kocjanem wzięli udział na RWD-2 w Międzynarodowym Mityngu Lotniczym Warszawa-Kraków-Brno i z powrotem (1,5 tys. km). Rogalski był członkiem Aeroklubu Akademickiego w Warszawie oraz Zarządu Aeroklubu RP i Związku Polskich Inżynierów Lotniczych.

Od 1930 r. samoloty RWD były produkowane przez Warsztaty Sekcji Lotniczej Koła Mechaników Studentów PW, w tymże roku przeniesione na Okęcie, do budynków ufundowanych przez Ligę Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej, i kierowane przez inż. J. Wędrychowskiego, w 1933 r. przekształciły się w spółkę Doświadczalne Warsztaty Lotnicze (DWL). Łącznie zbudowano w nich 21 typów samolotów RWD w liczbie 314, a ponadto 540 w innych wytwórniach w kraju i za granicą (razem ponad 850). Samoloty RWD były podstawowym sprzętem polskiego lotnictwa sportowego oraz wojskowych szkół lotniczych.

Na RWD-2 Franciszek Żwirko i A. Kocjan pobili 16 października 1929 r. międzynarodowy rekord wysokości, uzyskując 4004 m. RWD-4, zbudowany w serii 10 sztuk, uczestniczył w międzynarodowych zawodach Challenge 1930. Na RWD-5bis Stanisław Skarżyński wykonał w 1933 r. przelot przez Atlantyk. Na RWD-6 Żwirko i Wigura odnieśli zwycięstwo w Challenge 1932. Na RWD-6bis Rogalski brał udział w V Krajowym Lotniczym Konkursie Turystycznym. RWD-7 przyniósł Polsce międzynarodowe rekordy prędkości i wysokości. RWD-8 był masowo produkowanym samolotem

Stanisław Rogalski (1904–1976)

Był duchem sprawczym zawiązanego w 1927 r. zespołu konstruktorskiego RWD, który projektował samoloty będące podstawowym sprzętem polskiego lotnictwa sportowego oraz wojskowych szkół lotniczych

szkolnym (ponad 570 szt.). Na RWD-9 J. Bajan i G. Pokrzywka odnieśli zwycięstwo w Challenge 1934. Samolot akrobacyjny RWD-10 został zbudowany w serii 23 szt. RWD-11 był dwusilnikowym prototypem samolotu pasażerskiego. RWD-13 był samolotem turystycznym, powszechnie używanym w polskich aeroklubach (zbudowano 105 szt.). Samolot obserwacyjny RWD-14 Czapla został użyty podczas wojny we wrześniu 1939 r. (zbudowano 65 szt.).

Po wybuchu wojny i ewakuacji kadry technicznej RWD do Rumunii Rogalski przedostał się do Francji, gdzie był pilotem rezerwy w lotnictwie polskim. Przeniesiony do wytwórni Westland w Anglii projektował zabudowę uzbrojenia w samolotach Whirlwind i Lysander. W 1941 r. wyjechał do Turcji i w zorganizowanej przez J. Wędrychowskiego wytwórni tureckiej Türk Hava Kurumu Ucak Fabrikasi został dyrektorem technicznym. Uruchomiono tam licencyjną produkcję samolotu szkolnego Magister. Rogalski wraz z inż. J. Teisseyre i inż. L. Dulębą zaprojektowali tam szybowiec transportowy THK-1, jednomiejscowy samolot akrobacyjny THK-2, dwusilnikowy samolot pasażerski i sanitarny THK-5 oraz sportowy THK-11. Wraz z F. Janikiem Rogalski brał udział w budowie dwóch tuneli aerodynamicznych w Turcji. W latach 1942–1948 na politechnice w Stambule zorganizował wydział budowy samolotów i prowadził wykłady z aerodynamiki stosowanej.

W 1948 r. Rogalski wyemigrował do USA i zamieszkał w Erie (Pensylwania), gdzie podjął pracę w wytwórni

amortyzatorów lotniczych Lord. W maju 1949 r. rozpoczął pracę w Chase Aircraft w Trenton, gdzie brał udział w projektowaniu dwusilnikowego samolotu transportowego C-123. Gdy w 1956 r. został wykonany prototyp tego samolotu, przeniósł się do firmy Grumman Aircraft Engineering w Betphage (Nowy Jork), gdzie był starszym aerodynamikiem. W latach 1961–1964 w zakładach Grummana w Fort Worth (Teksas) pracował nad projektem myśliwsko-bombowego samolotu odrzutowego F-111 o zmiennej geometrii skrzydeł. W 1970 r. opracował podręcznik „Grumman Aerodynamical Manual”. W latach 1954–1968 był również profesorem w Princeton University (New Jersey). W 1971 r. zaprojektował pojazd międzymiastowy, poruszający się po betonowym torze na poduszce powietrznej z prędkością 480 km/h.

W grudniu 1971 r. Rogalski przeszedł na emeryturę, współpracował jednak nadal przy projektowaniu poduszki transportowego Flying Acre o ładunku 1500 ton. Współpracując z NASA, uczestniczył w projektowaniu pojazdu księżycowego; jego twórcą stał się inny Polak – Mieczysław Grzegorz Bekker (1905–1989).

Był żonaty z Halszką Antoniną Rychterówną, siostrą inż. W. Rychtera, znanego specjalisty i działacza sportu samochodowego i lotniczego. Zmarł 6 lutego 1976 r. w Huntington, w stanie Wirginia Zachodnia. Jego prochy spoczęły na cmentarzu komunalnym na Powązkach w Warszawie. Przekazał swoją bibliotekę fachową Instytutowi Lotnictwa w Warszawie.



Samolot RWD-9



Stanisław Wigura (1903–1932)

Projektował samoloty sportowe, na których wraz z pilotem Franciszkiem Żwirką w zawodach Challenge wygrywał z najlepszymi wówczas pilotami Europy

Stanisław Wigura urodził się w Warszawie 9 kwietnia 1903 r. (wiele publikacji błędnie podaje rok jego urodzenia). Był synem Kazimierza, inżyniera, i Marty z Sokołowskich.

Okres I wojny światowej spędził w Żytomierzu na Ukrainie, gdzie został ewakuowany wraz z rodziną. W końcu 1919 r. powrócił do Warszawy i podjął naukę w Gimnazjum im. J. Zamoyskiego; był zastępowym w 2 drużynie harcerskiej im. T. Reytana. Latem 1920 r. wstąpił ochotniczo do Wojska Polskiego i służył w 8 Pułku Artylerii Polowej. Po zdaniu matury rozpoczął w 1922 r. studia na wydziale mechanicznym Politechniki Warszawskiej. Ukończył je w 1929 r. z dyplomem inżyniera mechanika. Razem z nim studiowali Stanisław Rogalski i Jerzy Drzewiecki. Wigura był czynnym członkiem Sekcji Lotniczej Koła Mechaników Studentów PW.

W 1927 r. zaprojektował wspólnie z Rogalskim samolot sportowy WR-1, którego prototyp zbudowano w warsztatach Sekcji Lotniczej. Samolot ten wziął udział w październiku 1927 r. w I Krajowym Konkursie Awionetek. W tymże roku Wigura współpracował również przy konstruowaniu metalowego samolotu pasażerskiego Stemał VII. Następnie razem z Rogalskim i Drzewieckim utworzyli zespół konstruktorski, który zbudował w 1928 r. dwumiejscowy górnopłat RWD-1. W tym zespole Wigura opracowywał ogólną koncepcję samolotów i rozwiązania konstrukcyjne, wykonywał również obliczenia aerodynamiczne i wytrzymałościowe. Był też wykładowcą w Państwowej Szkole Lotniczo-Samochodowej w Warszawie oraz asystentem w Katedrze Budowy Płatowców PW. Od 1930 r. był członkiem Aeroklubu RP.

Następny samolot – RWD-2 – stanowił rozwinięcie konstrukcji RWD-1. Prototyp wykonano w 1929 r., po czym zbudowano jeszcze trzy sztuki przeznaczone do udziału w Challenge 1930. RWD-2 przyniósł polskiemu lotnictwu pierwsze rekordy międzynarodowe. W 1929 r. Wigura przeszedł kurs pilotażu w Warszawskim Aeroklubie Akademickim, lecz z przyczyn zdrowotnych nie otrzymał dyplomu pilota sportowego. W latach 1929–1932 brał udział w zawodach krajowych i rajdach zagranicznych razem z S. Rogalskim, M. Pronaszką i F. Żwirką. Zajmowali na ogół czołowe miejsca, m.in. wraz ze Żwirką zwyciężyli na RWD-2 w I i II Locie Południowo-Zachodniej Polski (1929 i 1930), od 9 sierpnia do 6 września 1929 r. wykonali rajd dookoła Europy, przelatując 5 tys. km w ciągu 42 godzin lotu. Wraz ze Żwirką stworzyli zgraną załogę. Żwirko pilotował samolot, Wigura zaś w czasie lotu przeprowadzał obliczenia nawigacyjne oraz badania związane z optymalną eksploatacją silnika. Podczas postojów Wigura pełnił funkcję me-



Wigura wraz ze Żwirką stworzyli zgraną załogę. Żwirko pilotował samolot, Wigura był zaś nawigatorem, a na ziemi pełnił funkcję mechanika

Fot. NAC

chanika. RWD-4 był kolejnym ulepszeniem. Został zbudowany w 1930 r. w serii 10 szt. Samoloty te wzięły udział w zawodach Challenge 1930 oraz uczestniczyły w III Krajowym Konkursie Awionetek, w którym Wigura i Żwirko zajęli pierwsze miejsce. Na RWD-7 (1931), wzorowanym na RWD-2 i RWD-4, ustanowiono w 1931 r. rekord prędkości (178 km/h), a w 1932 r. rekord wysokości (6023 m). RWD-5 był jednym z najlepszych polskich samolotów sportowych. Zbudowano ich ponad 20 szt. Na RWD-5 Żwirko i Wigura zdobyli pierwsze miejsce w IV Krajowym Konkursie Samolotów Turystycznych w 1931 r., a kpt. Stanisław Skarżyński na długodystansowej wersji RWD-5 bis dokonał w maju 1933 r. przelotu nad Atlantykiem (3582 km) i pobił międzynarodowy rekord odległości bez lądowania.

RWD-6 (1932) – pierwszy polski samolot krótkiego startu – był przeznaczony do udziału w Challenge 1932. Żwirko i Wigura odnieśli na nim zwycięstwo, pokonując najlepszych pilotów Europy. Był to pierwszy wielki sukces polskiego lotnictwa, za który Wigura otrzymał Złoty Krzyż Zasługi.

11 września 1932 r., lecąc na mityng lotniczy do Pragi, Wigura i Żwirko rozbili się podczas burzy pod Cierlickiem Górnym w Czechosłowacji. Obaj ponieśli śmierć. Przyczyną techniczną katastrofy było nieznanie wówczas zjawisko rozbieżności skrętnej skrzydła przy dużej prędkości lotu. Cały kraj okrył się żałobą. Zostali pochowani w alei Zasłużonych (grób 7) na cmentarzu Powązkowskim w Warszawie.



Należał do głównych konstruktorów Doświadczalnych Warsztatów Lotniczych, w których realizowano konstrukcje zespołu RWD. Był też w DWL pilotem doświadczalnym i ustanawiał samolotowe rekordy

Jerzy Drzewiecki (1902–1990)

Trzeci z „muszkietierów” w zespole RWD, Jerzy Jan Drzewiecki, urodził się w Warszawie 7 sierpnia 1902 r. Był synem Józefa i Jadwigi z Jankowskich.

Od 1912 r. uczęszczał do szkoły H. Rygiera w Grodzisku Mazowieckim, od 1914 r. do szkoły W. Górskiego w Warszawie, a od 1915 r. do Gimnazjum im. E. Konopczyńskiego, przemianowanego w 1918 r. na Państwowe Gimnazjum im. A. Mickiewicza w Warszawie, gdzie zdał maturę w 1921 r. Jako ochotnik wziął udział w wojnie polsko-bolszewickiej, służąc od 12 lipca do 4 grudnia 1920 r. w 8 Pułku Artylerii Polowej.

1 października 1921 r. rozpoczął studia na wydziale mechanicznym Politechniki Warszawskiej (PW). W 1923 r. został wiceprezesem Sekcji Lotniczej Koła Mechaników Studentów PW i od jesieni tego roku koordynował jej prace warsztatowe. W 1924 r. zaprojektował i wraz z członkami sekcji zbudował szybowiec SL-2 (JD-1) Czarny Kot, który w czerwcu 1925 r. zajął piąte miejsce w II Konkursie Szybowców na Oksywiu k. Gdyni. W 1925 r. – w drodze wyjątku, jako cywil oraz bez badań lotniczo-lekarskich – Drzewiecki został przeszkolony w pilotażu w Centralnej Eskadrze Treningowej przy 1 Pułku Lotniczym w Warszawie i uzyskał dyplom pilota wojskowego. Od 16 maja 1925 r. do lipca 1926 r. pracował w Wojskowej Centrali Badań Lotniczych w Warszawie jako zastępca kierownika biura konstrukcyjnego inż. W. Zalewskiego. Zaprojektował tam skrzydła do samolotu CWL Zalewski WZ-X, oblatanego w sierpniu 1926 r.

Wcześniej, w latach 1924–1925, zaprojektował dwumiejscowy samolot sportowy JD-2 (SL-4) zbudowany pod kierunkiem A. Kocjana w utworzonych na PW w podziemiach Nowej Kreślarni warsztatach Sekcji Lotniczej i oblatany 5 października 1926 r. Zbudowany w 1927 następny JD-2 zajął w październiku tego roku pierwsze miejsce w I Krajowym Konkursie Awionetek. W latach 1929–1930 Drzewiecki zbudował kolejne cztery samoloty tego typu w ulepszonej wersji JD-2bis. W latach 1927–1928 zaprojektował wspólnie ze S. Rogalskim i S. Wigurą samolot sportowy RWD-1, zbudowany w warsztatach Sekcji Lotniczej i oblatany przez Drzewieckiego w październiku 1928 r. Samolot ten w II Krajowym Konkursie Awionetek w 1928 r. został wyróżniony za oryginalną konstrukcję. RWD-1 zapoczątkował wieloletnią współpracę zespołu RWD. Podczas praktyki studenckiej w holenderskiej wytwórni Fokker Drzewiecki zapoznał się ze spawaniem acetylenowym konstrukcji lotniczych i przeniósł tę umiejętność do warsztatów sekcji. W latach 1928–1929 zespół RWD zaprojektował swój następny samolot sportowy RWD-2, oblatany przez Drzewieckiego w lipcu 1929 r. Samolot ten był pierwszym dużym sukcesem RWD. W lipcu 1929 r. Żwirko i Wigura wykonali na RWD-2 rajd wokół Europy długości 5 tys. km, w październiku 1929 r. Żwirko zwyciężył na tym samolocie w I Locie Południowo-Zachodniej Polski, a 16 października 1929 r. Żwirko i A. Kocjan uzyskali na RWD-2 dla Polski pierwszy międzynarodowy rekord lotniczy, w klasie samolotów o masie własnej do 280 kg, uzyskując wysokość 4004 m.

9 grudnia 1929 r. Drzewiecki otrzymał dyplom inżyniera na oddziale lotniczym wydziału mechanicznego PW. Od 1929 r. był członkiem Aeroklubu Akademickiego Warszawskiego, przekształconego następnie w Aeroklub Warszawski, oraz Związku Polskich Inżynierów Lotniczych. Warsztaty Sekcji Lotniczej Koła Mechanicznego Studentów PW, produkujące samoloty RWD, w 1930 r. przeniosły się na Okęcie do budynków ufundowanych przez LOPP, a w 1933 r. przekształciły się w spółkę Doświadczalne Warsztaty Lotnicze. Drzewiecki należał w nich do głównych konstruktorów. Do 1933 r. był też ich pilotem doświadczalnym – oblatywał prototypy samolotów RWD-3, RWD-4, RWD-5, RWD-6, RWD-7, RWD-8 i RWD-10. Na RWD-6 miał wypadek (podczas lotu urwały się skrzydła), lecz wyszedł z niego tylko lekko ranny. Na RWD-7 wspólnie z J. Wędrychowskim ustanowił międzynarodowy rekord prędkości w II klasie samolotów turystycznych, uzyskując 12 sierpnia 1931 r. prędkość 178 km/h, z Kocjanem zaś rekord wysokości, 30 listopada 1931 r. uzyskując 6023 m. Łącznie w warsztatach Sekcji Lotniczej Koła Mechanicznego Studentów PW i Doświadczalnych Warsztatach Lotniczych w latach 1926–1939 zbudowano 21 typów samolotów RWD w liczbie 314 egz., a ponadto 540 w innych wytwórniach w kraju (Podlaskiej Wytwórni Samolotów i Lubelskiej Wytwórni Samolotów), a także w Estonii i Jugosławii – razem 850 samolotów, z czego 200 było użytkowanych w 18 krajach. Samoloty RWD-8 (ponad 570 szt.) były podstawowym sprzętem polskiego lotnictwa sportowego i wojskowych szkół lotniczych w latach 30. XX w. Na nich wyszkoliła się większość naszych pilotów biorących udział w II wojnie światowej. Na RWD-6 F. Żwirko i S. Wigura odnieśli zwycięstwo w zawodach Challenge 1932, a na RWD-9 J. Bajan i G. Pokrzywka w Challenge 1934.

We wrześniu 1939 r. wraz z kadrą techniczną i samolotami DWL Drzewiecki ewakuował się do Rumunii, a w październiku przedostał się do Anglii. W 1940 r. pracował jako kreślarz w biurze prototypowym wytwórni samolotów Westland w Yeovil, gdyż Anglicy początkowo nie chcieli zatrudniać u siebie obcokrajowców jako inżynierów konstruktorów. W latach 1941–1945 był pilotem w Air Transport Auxiliary, jednostce zajmującej się rozprawdaniem samolotów z wytwórni i warsztatów remontowych do jednostek bojowych, a także odprowadzaniem samolotów do remontu. Wylatał w ten sposób 2 tys. godzin, przeprowadzając ponad 1,2 tys. samolotów 64 typów. Miał dwa poważne wypadki lotnicze (ciężkie poparzenie na samolocie Beaufort i rozbite samolotu Whitley) oraz kilka lekkich.

W latach 1945–1947 Drzewiecki pracował w Anglii w wytwórni samolotów Bristol Aeroplane Co. w Filton jako kreślarz, a następnie konstruktor. W 1947 r. wyjechał do Kanady. Mimo kontraktu z wytwórnią De Havilland of Canada z powodu kryzysu pracy w niej nie otrzymał. Zatrudnił się w National Research Council w Ottawie, konstruując i instalując anteny radarowe. Następnie instalował radioteleskopy i projektował interferometry do 1972 r.

Jego pasją były narty i kwiaty. Zmarł 15 maja 1990 r. w Ottawie.

Stanisław Jakub Skarżyński urodził się 1 maja 1899 r. w Warcie. Był synem Władysława, aptekarza, i Wacławy z Kozłowskich.

Jako uczeń szkoły handlowej we Włocławku od kwietnia 1916 r. należał do Polskiej Organizacji Wojskowej w Warcie, pomagając legionistom w ucieczkach z obozu internowania w Szczypiornie. W 1918 r. zdał maturę we włocławskim gimnazjum realnym, w listopadzie tego roku przeprowadził wyzwolenie Warty od niemieckiego okupanta, a w grudniu tego roku wstąpił do Wojska Polskiego. Walczył z Ukraińcami i bolszewikami (1919–1920), był dwukrotnie ranny, dopiero w styczniu 1923 r. po ośmiu operacjach odzyskał władzę w sztywną dotąd nogę. Pracując jako urzędnik w Ministerstwie Spraw Wojskowych, ukończył Szkołę Pilotów w Bydgoszczy i od 1926 r. służył w 1 Pułku Lotniczym, od 1927 r. w randze kapitana. Od lutego 1930 r. zatrudniony w Departamencie Aeronautyki Ministerstwa Spraw Wojskowych powziął zamiar dokonania przelotu okrężnego nad Afryką, zrealizowany dzięki poparciu ministra spraw zagranicznych Augusta Zaleskiego i płk. L. Rayskiego. Skarżyński dokonał go wraz z obserwatorem por. Andrzejem Markiewiczem na samolocie PZL L.2 (SP-AFA) etapami w dniach 1 lutego–5 maja 1931 r., trasą z Warszawy przez Ateny, Kair, Chartum, Elisabethville, Lago, Dakar, Casablanca, Paryż i z powrotem do Warszawy. Przelot ten opisał w książce „25 770 km ponad Afryką” (1931). Jeszcze większym wyczynem Skarżyńskiego, przygotowanym z poparciem Aeroklubu RP i konstruktorów RWD, ale w tajemnicy przed obawiającymi się niepowodzenia po śmierci F. Żwirki i S. Wigury (1932) władzami lotnictwa wojskowego (oficjalnie Skarżyński miał ustanowić rekord odległości na trasie St. Louis–Lyon), był samotny przelot nad Atlantykiem z Afryki do Brazylii na samolocie RWD-5bis (SP-AJU). Był to górnopłat o spawanym kadłubie stalowym i rozpiętości skrzydeł 10,2 m, z silnikiem o mocy 120 KM. Skarżyński wystartował wieczorem 7 maja 1933 r. z St. Louis we Francuskiej Afryce Zachodniej i po 20,5 godz. wylądował 8 maja w Maceio w Brazylii po przebyciu 3582 km. Ustanowił międzynarodowy rekord odległości przelotu w kategorii samolotów sportowych (do 450 kg), a zarazem pokonał Atlantyk na najlżejszym do tego czasu samolocie. Został za to – jako jedyny dotychczas Polak – nagrodzony medalem Blériota przez FAI (1936). Wyczynu tego dokonał, nie mając spadochronu, łódki ratowniczej, radia ani sekstansu.

Skarżyński przyleciał do Rio de Janeiro 11 maja 1933 r., następnie przez dwa miesiące odwiedzał skupiska polonijne w Kurytybie, Ponta Grossa, Porto Alegre i Buenos Aires, przelatując ponad 4 tys. km. Wrócił wraz z samolotem na statku „Avila Star” do Boulogne, skąd 30 lipca 1933 r. przeleciał do Łodzi, gdzie spotkał się z żoną, a stamtąd 2 sierpnia do Warszawy, gdzie został owacyjnie powitany na lotnisku mokotowskim. Łączna długość całego lotu wyniosła 18,3 tys. km. Opisał go w książce „Na RWD-5 przez Atlantyk” (1933, 1936).

Skarżyński piastował eksponowane stanowiska w organizacjach lotniczych, m.in. od 28 kwietnia 1939 r. był prezesem Aeroklubu RP. Od 1938 r. w randze podpułkownika był zastępcą dowódcy 4 Pułku Lotniczego w Toruniu. W kam-

Stanisław Skarżyński (1899–1942)

Najbardziej rozślawił wspólne dzieło twórców RWD, a przy okazji lotnictwo Drugiej Rzeczypospolitej

panii wrześniowej był szefem sztabu w dowództwie lotnictwa i obrony przeciwlotniczej Armii Pomorze. Następnie jako attaché lotniczy w Bukareszcie organizował przerzuty polskich lotników do Francji. Na początku 1940 r. przybył do Paryża, gdzie został zastępcą szefa sztabu Polskich Sił Powietrznych we Francji. Po upadku Francji został ewakuowany do Wielkiej Brytanii, gdzie szkolił pilotów w Newton, był komendantem lotniska w Syerton, a następnie stacji lotniczej w Lindhome, skąd uczestniczył w lotach bojowych 305 Dywizjonu Bombowego nad Niemcy. Podczas nalotu tysiąca bombowców na Bremę 26 czerwca 1942 r. jego wellington został trafiony, a Skarżyński po wodowaniu na kanale La Manche został zmyty przez falę ze skrzydła i utonął. Jego ciało, po wyrzuceniu przez morze, pochowano na wyspie Terschelling w Holandii.

Skarżyński malował na szkle, pasjonował się samochodami, lubił operę, muzykę, teatr i książki historyczne. 8 maja 2013 r. Instytut Lotnictwa w Warszawie zorganizował uroczyste seminarium poświęcone 80. rocznicy jego przelotu nad Atlantykiem, połączone z pokazem latającej repliki samolotu RWD-5bis (SP-AJU).

**Największym wyczynem Skarżyńskiego
był samotny przelot nad Atlantykiem
z Afryki do Brazylii na samolocie
RWD-5bis (SP-AJU)**



Giganci nauki PL

polscy wynalazcy, odkrywcy i pionierzy nauk ścisłych

Kolejny odcinek ukaze się 9 sierpnia

w tygodniku **SIECI**

JERZY DĄBROWSKI

– polski konstruktor lotniczy,
twórca bombowca PZL.37 Łoś

Więcej o bohaterach tego i następnych
dodatków z serii „Giganci nauki PL”
w serwisie YouTube na kanale: **IPN tv**



PARTNERZY
MERYTORYCZNI



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ



rys. Krzysztof Wójcikowski



**Wielcy polscy wynalazcy
w II Rzeczypospolitej**



Instytut Historii Nauki PAN
im. Ludwika i Aleksandra
Birkenmajerów



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

PROJEKT INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ

www.gigancinauki.pl



K

ULTURY

*W żuźłowej
gwarze
„wystrzelić
spod taśmy”
to znakomicie
wystartować.
Tomasz Ziętek
wystrzelił
właśnie w swojej
pierwszej
głównej roli*

Wystrzelony spod taśmy

Fot. Xxx



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Jaki ma potencjał, pokazał już w filmie „Kamienie na szaniec” (2014) Roberta Glińskiego, gdzie zagrał Jana Bytnara, „Rudego”. Kiedy wychodził przed premierową publiczność, miał 25 lat, ukończone rok wcześniej Państwowe Policealne Studium Wokalno-Aktorskie im. Danuty Baduszkowej w Gdyni i – równie wielką jak aktorstwo, drugą pasję – muzykę.

CHŁOPAK Z GITARĄ

Od szkoły nie rozstawał się z gitarą, ale też próbował sił na scenie (w teatrze zadebiutował w 2005 r., w sztuce „Betlejem polskie” na deskach Nowego Teatru w Słupsku. Pierwszy raz na dużym ekranie pojawił się w 2011 r. w produkcji „Czarny czwartek. Janek Wiśniewski padł”). Miał 18 lat, gdy wraz z zespołem zdobył Grand Prix na II Ogólnopolskim Festiwalu Młodych Talentów Niemen Non Stop w Słupsku w 2007 r., a indywidualnie otrzymał nagrodę publiczności. Sześć lat później dołączył do trójmiejskiej grupy The Fruitcakes, szukającej inspiracji w brzmieniach lat 60. ubiegłego wieku. Do dziś jest w niej gitarzystą i wokalistą. Na internetowych forach przeczytać można wpisy słuchaczy zauroczonych zarówno jego głosem, jak i uśmiechem (zachwyty dotyczą też jego solowego akustycznego projektu „The Ape Man Tales”). Czas pandemii grupa wykorzystała na wydanie albumu „Into The Sun” (2020).

ŚWIAT JEST MAŁY

Łącząc dwie tak różne formy grania, od początku filmowej drogi zapisywał się w pamięci widzów kolejnymi, coraz wyraziściej budowanymi rolami. Miał szczęście trafiać na plany ważnych produkcji. W obsypanej nagrodami „Cichej nocy” (2017) – kinowym debiucie Piotra Domalewskiego – jako młodszy brat głównego bohatera nie ustępował pola Dawidowi Ogrodnikowi. W „Bożym Ciele” – skupionym fabularnie na postaci granej przez Bartosza Bielenię



– jego „Pinczer” elektryzował ekran tłumioną agresją. Nie dał się też przysłonić bardziej znanym i doświadczonym aktorom ani w „Demonie”, ani w „Carte Blanche”, ani w „Body/Ciało”.

Za sprawą filmu Jana Komasy trafił z ekipą na oscarową galę. Pytany przez dziennikarkę, czy ta sytuacja go nie przytłoczyła, odpowiedział, że tydzień różnego rodzaju spotkań był przede wszystkim przyjemny: „...wiedzieć, że rzecz, którą się współtworzyło, znajduje uznanie w oczach osób, które się podziwia. No i nagle się okazuje, że ten świat jest mały! Towarzyszyła mi refleksja, że wszystko jest możliwe. Ja w to zresztą nigdy nie wątpiłem”.

OSTRE ZAKRĘTY

Nie miał kompleksów w USA. Kino Małgorzaty Szumowskiej pozwoliło mu poczuć klimat europejskich produkcji, jednak najwyższy poziom adrenaliny – dosłownie i w przenośni „palenie gumy” – zaoferowała mu reżyserka, po której trudno byłoby oczekiwać tak dynamicznej realizacji. Dorota Kędzierzawska, bo o niej mowa, uprawiała wcześniej wyciszone, skupione na głównych postaciach kino autorskie. Opowiadała w nim o sprawach trudnych, rozgrywających się na marginesie życia, na który zepchnięci zostali bohaterowie – ludzie samotni, potrzebujący zrozumienia, często pomocy (wystarczy przypomnieć filmy „Pora umierać”, „Jutro będzie lepiej”, „Wrony”). Tymczasem najnowsza premiera (w kinach od 16 lipca) wprowadziła stonowane kino Kędzierzawskiej w ostre zakręty motocyklowego toru.

– „Żużel” to pierwszy od 70 lat film fabularny traktujący o tym niezwykłym, pełnym adrenaliny i niebezpieczeństw sporcie, który w naszym kraju ma miliony oddanych sympatyków. Zafascynowała mnie postawa młodych ludzi, którzy wiążą się z żużlem. Żyją w innym świecie, tempie i rzeczywistości. Pasji i determinacji, z którymi wchodzi w to niebezpieczne życie, można im tylko pozazdrościć – mówi reżyserka.

PALENIE GUMY

Główną rolę – pierwszą w jego karierze – Kędzierzawska powierzyła Tomaszowi Ziętkowi, „chłopakowi z sąsiedztwa”, urodzonemu w Inowrocławiu i wychowanemu w Słupsku. Komuś, za kim pójdą widzowie.

Na ekranie widzimy mistrza żużlowego Lowę, „obiekt westchnień kobiet i źródło zazdrości rywali z toru (Mateusz Kościukiewicz). Pogodny, miły dla ludzi, zwyczajny, ma frajdę z życia i tego, co robi. Jednak szelmowski uśmiech chłopaka skrywa codzienne zmagania ze strachem, widmem kontuzji i wypadków na żużlowych stadionach. Wszystko komplikuje się jeszcze bardziej, kiedy na drodze Lowy staje śliczna Roma (Jagoda Połębska)”. Tak filmowego bohatera przedstawia producent.

Aktor, dla którego nowością był nie tylko pierwszy plan, ale i rola wyczynowego sportowca, nie kryje wdzięczności, że konsultacji udzielali mu autentyczni żużlowcy. – Miałem okazję spotkać się na planie z prawdziwymi sportowcami, ale największy wpływ na kształt „Żużla” mieli Tadek Kostro i Łukasz Kacznarek. Samo przebywanie z nimi oraz innymi zawodnikami żużlowymi było dla mnie kompasem w budowaniu postaci Lowy. Byłem w stanie zweryfikować, na ile potrafiłbym poradzić sobie w takiej rzeczywistości – podkreśla.

Z POŚLIZGIEM

„Żużel” wchodzi do kin z pandemicznym poślizgiem. Kolejny, ważny dla aktora film „Żeby nie było śladów” Jana P. Matuszyńskiego (gdzie gra kolegę Grzegorza Przemyka), trafi do widzów w październiku. Na premierę czekają również wojenna produkcja „Orzeł. Ostatni patrol” Jacka Bławuta, gdzie Ziętek zagrał główną rolę – kpt. Jana Grudzińskiego, a także film o Kalinie Jędrusik „Bo we mnie jest seks”, w którym wcielił się w Kazimierza Kutza.

Bezstresowy seks w hiszpańskim liceum

Serial sieje zgorszenie, co oznacza, że ludzie młodzi są po jego obejrzeniu jeszcze gorsi. Mamy więc kolejny doskonale zrobiony produkt piorący mózgi i kaleczący serca – tak w poprzednim numerze tygodnika „Sieci” skwitował Robert Tekieli serial Netflix’a „Szkoła dla elity”. Ponieważ lubię filmy „szkolne”, trafiłem na niego wcześniej. Nie mogę się jednak równać z Tekielim. On komentuje sezon czwarty. Ja widziałem tylko dwa pierwsze.

Zgadzam się z jednym. Niespecjalnie chciałbym, aby oglądały go moje nastoletnie dzieci. Dla mnie serial Dario Madrony był ciekawostką, swoistym fenomenem kulturowym. Jest hiszpański i o hiszpańskiej młodzieży opowiada. Akcja rozgrywa się w luksusowej szkole prywatnej.

Nam mundurki i krawaty uczniów kojarzą się z tradycjonalizmem, tymczasem oglądamy szkołę jak najbardziej „otwartą i tolerancyjną”. Niewątpliwie zaszokują nas takie sytuacje jak ta, kiedy sympatyczny Ander, licealista, sprowadza do domu – a jest synem dyrektorki szkoły – swojego kochanka, dilerka narkotyków z arabskiej rodziny. Zastanawiam się, patrząc na takie scenki, ile w tym jest realnej rzeczywistości kraju, w którym akcja się rozgrywa. Tak więc wygląda arcyprogresywna Hiszpania?

Ale warto kilka rzeczy uzupełnić. Świat portretowany w serialu nie jest jednoznacznie afirmowany. Snobizm niektórych z uczniów jawi się jako odpychający. Rzecz zaczyna się od przyjęcia do liceum, w następstwie przyznania stypendium, trójki dzieci z biednych rodzin. Sposób ich potraktowania to problem. Klasowy konflikt, tak skądinąd dziś modny w kinie światowym, jest też zaczynem pomysłowej i trzymającej w napięciu akcji kryminalnej. W serii pierwszej ginie jedna z uczennic. Podejrzany staje się chłopak z gorszej dzielnicy, brat Samuela, jednego ze stypendystów. Zabójcą jest kto inny.

Co do dekadentckiego seksualizmu, trudno uznać, że film go wprost propaguje – przynajmniej w tych seriach, które widziałem. Nie mamy tu pro-

gresywnych moralów (jak w opisywanym przeze mnie polskim „Sexify”), o które oskarżają Netflix konserwatyści. To po prostu kawałek rzeczywistości, zgadzam się, potraktowanej z relatywistycznym spokojem, ale przynajmniej bez agitacji.

Można nawet szukać momentów, w których swoboda seksualna staje się tu powodem kłopotów, nie zapewnia potrzebnej młodym ludziom stabilizacji uczuć, skazuje ich na niestalość i zapaści duchowe. Nie będę jednak twierdził, że film moralizuje. Nie, w innych scenach mamy szampańską zabawę pokazaną chłodno, a nawet z pewnym rozbawieniem. Stąd moja uwaga o nastolatkach, które mogą odebrać serial jako afirmację szybkiego i bezstresowego seksu.

Dla mnie może najbardziej przejmujące jest to, że jedyną postacią mającą z tym szybkim i bezstresowym seksem wciąż kłopoty, jest, przynajmniej do czasu, mużulmanka Nadia, jedna ze stypendystek. Kiedy podrywa ją bogaty panicz Gusman, pokazuje jej, że nosi na szyi krzyżyk, co ma oznaczać, że też poważnie traktuje tradycję. Tak jednak nie jest. Jeśli Gusman jest „konserwatystą”, to tylko takim, który pilnuje



własnego portfela, jak cała jego rodzina. Przyczynek do portretu Europy.

Jak przy każdym filmie o młodzieży można mieć wątpliwości, czy grane przez nieco starszych aktorów nastolatki są postaciami realnymi, czy literackimi kreacjami. Mnie uderzyła uwaga jednego z bohaterów, Pola, skierowana do jego byłej dziewczyny. „Ty jesteś córką fałszywej hrabiny handlującej winem, ja dzieckiem dwóch lesbijek. Jak miały z nas nie wyrosnąć dziwadła?” Cóż, ciekawa obserwacja, choć trzeba się do niej dokopać. Czy warto, niech każdy sam oceni.

Piotr Zaremba

Kim wy w ogóle jesteście?

Co wy sobie wyobrażacie? Kim wy jesteście, żeby decydować się urodzić to dziecko – krzyczy doktor Osóbka-Morawski na Katarzynę i Mikołaja tłumaczących mu, że jego wysnute na podstawie badania USG przypuszczenia, co do choroby ich 11-tygodniowego dziecka nie są powodem, by je zabić. – Co wy sobie myślicie, katolicy! Nawet kardynał XYZ napisał, że to nie-ludzkie kazać żyć tak choremu człowiekowi – kłamię lekarz, patrząc matce dziecka prosto w oczy. Kolejny, piąty potomek Jasińskich urodził się w innym szpitalu.

Wczoraj przyjaciel dzielił się emocjami z porodu swej córeczki. Parę dni temu na oddziale ginekologicznym jednego z warszawskich szpitali jego żona, rodząca szóste dziecko, była traktowana jak trędowata. Co muszą mieć na sumieniu ci lekarze, te położne i te pielęgniarki, skoro potrafią syczeć, wypominając kobiecie, że szóste dziecko to już jakaś aberracja?

– Tu jest wyraźne wskazanie do aborcji – mówił nam 21 lat temu dr Osóbka-Morawski, patrząc na USG z bardzo niewyraźnym zarysem ciała naszej córki. – Stosunek długości uda do obwodu czaszki jest niepokojący! – O jakim odstępstwie od normy mówimy? – zapytałem. – Jakież 5 proc. – odpowiada lekarz, patrząc mi prosto w oczy. Nie-wiele brakowało, by na zawsze stracił ten uśmiech. Córka jest dziś długonogą modelką, preinteligentną studentką architektury krajobrazu.

– Kim ty jesteś, człowieku? – pytam cię, „najlepszy specjalisto od USG w Warszawie”. – Ile dzieci zabiłeś, wywierając presję na bezbronne, pozbawione sił psychicznych kobiety przez te dziesiątki lat, od kiedy możesz pokrzykiwać na rodziców z pozycji Pana Boga? – Kim wy jesteście, marksistowskie prorocy antynatalizmu w białych fartuchach? W Polsce nie ma przysięgi Hipokratesa, posługujecie

się jakimś spreparowanym przez ateistów tekstem. Lekarze już 24 stulecia temu przysięgali, że będą pomagać, a nie szkodzić, że nigdy nie zabiją nienarodzonego dziecka. Robili tak kolejne pokolenia medyków przez 23 stulecia. Powtarzali: „Przysięgam na Apollina i Asklepiosa...”. Na jakiego Boga wy dziś przysięgacie? Kim jest wasz Bóg, ateści? Skoro trzy wieki przed Chrystusem twórca medycyny przysięgał na bogów o twarzach litościwszych od waszego?

Najważniejszym tematem dzisiejszej sztuki jest wielkie TAK lub wielkie NIE. Akceptacja świata lub bunt. O potrzebie buntu najsilniej decyduje obraz ojca, który wynosimy z rodzinnego domu. Obraz ojca determinuje obraz Boga. Zniekształcony obraz Boga zamyka: człowiek nie jest w stanie zaufać. A miłość można przyjąć, ufając, będąc otwartym na tego, który kocha. Mówiąc np.: „Jezu, ufam Tobie”.

Czy Kochanowski był poetą religijnym? Nie. Był poetą. Człowiekiem religijnym. Stoczył walkę ze sobą, by ufać, mimo dopuszczanej przez Boga niewinnej śmierci. Stąd „Treny”.

Adam Ważyk, nieważne kim był, nazwał Annę Kamińską największą poetką religijną XX w. Skażony marksistowskim dwójmyśleniem aparatczyk próbował umniejszyć człowieka wiary, bo poezja, prawda jest zapowiedzią końca świata stworzonego przez osobistych wrogów Pana Boga. Kamińska nie była „poetką religijną”. Była poetką. Człowiekiem religijnym. Stoczyła walkę ze sobą, by ufać mimo śmierci ukochanego męża. Stąd „Powrót Hioba”.

Wojciech Wencel, najwybitniejszy żyjący polski poeta, w „Odzie do śliwownicy”, poemacie o kochającym ojcu, o najpiękniejszej miłości mężczyzny do mężczyzny, zbliża się do istoty rzeczy. Największa sztuka dotyczy największych tematów w sposób doskonały.



ROBERT TEKIELI

Ojciec / Bóg obdarza syna bezwarunkową miłością; opieką i troską. Człowiek przyjmuje miłość na miarę ufności pokładanej w Ojcu. I ten Bóg Ojciec mówi, choćby wczoraj przypomniał przez Kościół historię Józefa egipskiego, że zawsze każdemu mam dawać kolejną szansę. Rozumiem: muszę mieć zawsze wolę i siłę, by wybaczyć. Wiem: taka postawa niszczy zło. W ten sposób naśladuję Jezusa. Miłosierna postawa zaprasza do mojego wnętrza Zbawcę, by mnie uzdrawiał. Ale czy można wybaczać w imieniu innego, krzywdzonego potwornie człowieka? Dziecka?

Zawsze kolejną szansę dawał Karol Wojtyła. Co na to dzieci zgwałcone przez pedofilów, którym jako Jan Paweł II mógł zamknąć możliwość kontaktu z bezbronnymi? Nie oskarżam naszego papieża. Znam jego serce, wiem, że gdyby wiedział, katolicki legionista pedofil nie zbliżyłby się już nigdy do żadnego dziecka. Ale nie wiedział, a zawsze dawał kolejną szansę.

Człowiek po pięciu wiekach starań stał się dziś bogiem. Ten bóg ateistów ma wykrzywioną twarz aborcjonisty i krew eutanazji na rękach. Nienawiść to pokusa. Rozumiem. Ale nie wiem, czy akceptuję.

Medycyna ma dziś twarz „Doktora Śmierć” Jacka Kevorkiana. Twarz belgijskiego profesora medycyny paliatywnej usypiającego chorego dziewięciolatka. Twarz polskiego doktora „Popatrzcie Na Ostatnie USG Waszego Dziecka”. Kim wy w ogóle jesteście? Przecież to was należałoby usypiać.

Warte

Życie popkulturowego podpowiadacza, co warte, a co niewarte, bardzo się polepszyło z nastaniem ery Amazona, ery absolutnej dostępności wszystkiego dla wszystkich. Wszystkich, czyli konsumentów sieci. Jeśli coś się sprzedaje, można to kupić. Marksistowskie ministerstwo prawdy nie zdążyło jeszcze ocenzurować wszystkich bibliotek i magazynów. Na to przyjdzie czas, o ile nie powstrzymamy cywilizacyjnej absurdeski tworzonej przez gramscian i spinellistów.

Więc podpowiadam: warto przeczytać „Cieplarnię” Briana W. Aldissa. Dostępna jest w cenie od 27,47 do 42,46 pln (oczywiście + cargo + tara + 16 podatków na rzecz plutokracji i światowej rewolucji).

Zmarły cztery lata temu Aldiss wszedł do literatury popularnej przebojem. Jego debiutancka powieść science fiction zatytułowana „Non-stop” z 1958 r. wbiła w ziemię środowisko s.f. Takiego suspensu, jaki został w niej ukryty, nie powstydziłby się Alfred Hitchcock. Wracam do tej noweli co kilkanaście lat. „Cieplarnia” nie jest przedmiotem tej gęstości, ale pierwszorzędnych powieści drugorzędnych w ogóle jest tylko kilkanaście. Tzw. gatunki popularne pisane są bowiem tylko z jednego powodu i nie jest nim potrzeba uniesienia duszy czytelnika w rejony, w których nabiera ona mocy, a porządkowanie hierarchii wartości daje człowiekowi wewnętrzny pokój.

Atrakcyjność uniwersum „Cieplarni” oparta jest na prostym zabiegu: rośliny wypełniły ewolucyjną lukę po zwierzętach, które zwyczajnie wymarły, a gatunek ludzki zgłupiał. „Tutaj nie było miejsca dla rozumu. Tu było miejsce dla wzrastania, dla roślin. Jak w cieplarni”. Zachwyt nad żywiołem, który sprawia, że żywe wzrasta, nad pędem życia – motorem rozwoju świata istot żywych – wraca w ostatnich dwóch stuleciach zachodniej kultury co kilkadziesiąt lat. Aldiss zachwyca się i przeraża tą wszechogarniającą mocą na swój sposób. Wolę jego podejście od bergsonowskiej hipostazy élan vital, alchemicznej vis vitalis – siły vitalnej, hinduistycznej prany, chińskiej qi czy polinezyjskiej many. Konsekwencje, jakie autor „Cieplarni” wyciąga z podmiany zwierzęcego królestwa organizmów na królestwo roślin, decydują o nieoczywistości, a tym samym atrakcyjności świata, w którym toczy się akcja powieści.

I tu dochodzimy do małej skazy, której pozbawiony był wewnętrzny wszechświat statku-arki przedstawiony w powieści „Non-stop”. Opowiadana historia, niezależnie od „fantastyczności” uniwersum stworzonego przez autora, musi być bowiem jednak jakoś wewnętrznie „prawdopodobna”. To znaczy uniwersum musi być wewnętrznie spójne – jak spójny jest realny świat zarządzany prawami grawitacji i miłości – choć oczywiście

nie na zasadach realności. Skaza jest, jak piszę, mała. Aldiss w pierwszych czterech krótkich akapitach zawiązuje konflikt i wykłada główny zamysł struktury nieoczywistości swej powieści. Klarowność i zwięzłość zaś to cechy wielkiej literatury. Obie powieści oczywiście polecam.



Megaskandal

Na jedynce Onetu materiał z onetowej propagandowej platformy dla młodzieży. Traktuje o patoraperze plagiatorze „tworzącym” patoteksty o ćpaniu i o swojej nienawiści do Jarosława Kaczyńskiego. Jego „utwór” o kokainie ma ponad 30 mln odtworzeń, utwór „JBC PO” – 10 mln (będę zamieniał od tej chwili „Kaczyńskiego” na „Tuska”, „PiS” na „PO”). Onet z upodobaniem wielokrotnie powtarza nazwisko autora tekstów, które dotąd czytać można było jedynie w szaletach („Ćpanie, chłanie, ruch...nie”, „rozliczeń przyjdzie pora, Tusk pójdzie do wora”, „będzie pasterka i będę rzygał do wiaderka”, „Hej pipunio”, „Seba je8@ka”, „Jestem ciasna”).

Ringier Axel Springer promuje człowieka żyjącego z nienawiści, który doskonale znalazłby się wśród sikających na znicze palikotowych barbarzyńców z Krakowskiego Przedmieścia.

Polskojęzyczny portal wydawany przez szwajcarsko-niemiecki koncern podaje informację, w której konkretnie sieci handlowej można kupić azjatycką zabawkę śpiewającą pochwałę zabójczego środka chemicznego. Patostreaming płynnie sobie od lat wąską strużką w zakamarkach sieci. Mainstreamowy portal z miliardami odsłon promuje patologię na jedynce swej głównej strony.

Link do artykułu o tym autorze jednego z „hymnów” puszczanych na strajkach kobiet przysłał mi znajomy z takim komentarzem: „Ten materiał wprowił mnie w osłupienie. Że można, aż tak profilować czytelnika, tak promować gołe negatywne emocje... szok”. Jeśli Ringier Axel Springer za szerzenie wydestylowanej nienawiści nie zostanie zmuszony przez polskie państwo do zapłacenia 30 czy 50 mln euro kary, tacy ludzie jak Bartosz Węglarczyk będą wkrótce winni doprowadzenia do tragedii, przy której zamordowanie polityka PiS i podcięcie gardła jego asystentowi będzie incydentem (przepraszam za to sformułowanie).

Robert Tekieli
Polskie Radio





Wojciech Stanisławski

„Ksiądz Ch., po latach”

*Ten słownik oddaje sprawiedliwość wszystkim niemal
stanom dawnej Rzeczypospolitej*

Kto trochę czyta – a jeszcze o dawnej Litwie! – zna wileńskiego księdza Leopolda Chomskiego od zawsze. Dał mu przecież nieśmiertelność Miłosz w zamykającym przedwojenny tom „Trzy zimy” poemacie „Do księdza Ch.”, w niezapomnianych cierpkich wersach: „Do ciebie, słyszącego głosy niemych chórów, / zgiętego nad smutnymi ołtarzami Pana / w wiejskim, dusznym kościele, do ciebie, o mściwy, / piszę ten list, prefekcie, burzo zapomniana”. I nie była to tylko niechęć, która zdarza się między silnymi osobowościami, echo szkolnych tarć: poeta oskarżał księdza Ch. o manicheizm, okrucieństwo, zimny żar Naphty. Wróć te oskarżenia na stronach „Rodzinnej Europy” Miłosza („Niepozorne ciało poruszała zacieklą i zapiekłą duszą. Dawały o niej znać bolesne bruzdy koło ust, twarde niebieskie spojrzenie jeżeli podnosiły się powieki, ciemny rumieniec hamowanej furii. Z zamilowania był linkwizytorem”), a relacje wielu wilanian potwierdzały ten obraz. „X. Chomski był z usposobienia człowiekiem oschłym, wymagającym i bezwzględny. Uczniowie nie lubili go i bali się. Zdarzały się między ks. prefektem a uczniami konflikty, niekiedy o przebiegu nawet dramatycznym” – wspominał Zygmunt Fedorowicz, dyrektor Gimnazjum im. Zygmunta Augusta.

Tyle że młyny miały powoli. Minęło pół wieku od „Trzech zim” i w wierszu „Ksiądz Ch. po latach” Miłosz, nasłuchując głosów z sowieckiej Litwy, napisał:

*Ksiądz Chomski, proboszcz parafii
Vaidotai,
Umarł mając lat dziewięćdziesiąt
siedem, do końca z troską*

*O nich, odtąd już samych, bo nie będzie
po nim nikogo.*

[...]

*Z obu stron podtrzymywali jego ręce
Kiedy nad ołtarz podnosił hostię i wino.
Był pobity przez nasłanych zbirów*

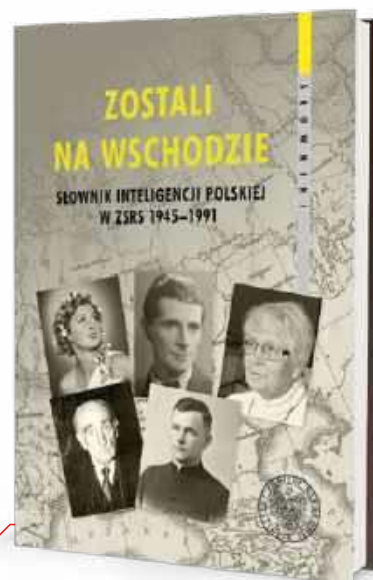
Imperium

Ponieważ światu nie chciał się pokłonić.

Również te wersy znalazły potwierdzenie we wspomnieniach innych. „Widziałem się z nim jeden raz po wojnie... Patrząc na jego sylwetkę i rozmawiając, myślałem: gdzie się podział ten dumny jego szyk i elegancja? Nie nosił już melonika, rękawiczek, futra, wytwornych butów i szeleszczącej sutanny. Obecnie była ona stara, wyświechtana i poszarzała od starości. Miał na sobie kusy »kurzawiec«, na głowie wymiętoszoną cyklistówkę, a na nogach polatane obuwie” – napisał Stanisław Rolicz.

Ksiądz Chomski został po wojnie i po Jalcie na Litwie: wyrzucony przez Sowietów z Wilna tułał się przez kilka lat po wsiach, przeganiany z miejsca na miejsce, aż osiadł w parafii w Białej Wace (Vaidotai): tam pobili go na śmierć w Wigilię 1982 „nieznani sprawcy”. Takie jest zamknięcie ziemskiej historii oschłego prefekta, dumnego panicza, dwóch wierszy i straszego półwiecza między nimi.

Myślałem o tych wierszach – bo jakże nie myśleć – czytając pierwszy tom „Słownika inteligencji polskiej w ZSRS 1945–1991”. Ksiądz Chomski się w nim nie pojawia (pewnie stanie się to w jednym z kolejnych tomów), podobnie jak znacznie szerzej znany ks. Władysław Bukowiński, „apostoł Kazachstanu”;



„Zostali na Wschodzie. Słownik inteligencji polskiej w ZSRS 1945–1991”,
T. I. Red. Adam Hlebowicz, IPN, 2021

a i tak duchowni wypełniają blisko jedną trzecią tej książki, choć zarazem oddaje ona sprawiedliwość wszystkim niemal stanom dawnej Rzeczypospolitej: znalazło się w niej miejsce dla dr. Dawida Fajnhauza, historyka z sowieckiej Litwy wyrzuconego przez KGB, a z PRL – przez Gomulkę; dla hachana trockich Karaimów Serai Szapszała, i dla Jerzego Ordy z ziemiańskiej rodziny na Polesiu, przedwojennego pracownika akademickiego, po wojnie zatrudnionego jako portier...

To środowisko, czy może raczej ten zbiór losów (o stworzeniu „środowiska” nie mogło być pod sowieckimi rządami mowy) nie został jak dotąd systemowo opisany. Istnieją tysiące relacji o 17 wrześ-

nia, „pierwszej okupacji sowieckiej” i wywózkach, setki o „repatriacji”, czyli podróżach z Ziemi Zabranionych do Polski. Nad tymi, którzy – najczęściej dobrowolnie! – zdecydowali się pozostać w trosce o parafian, o archiwum czy cmentarz, na długie lata zamknęły się wody. O parafiach na Wschodzie, które cudem przetrwały, pisywał niezmordowany Adam Hlebowicz, o zaściankach szlacheckich przemienionych w kolchozy – Anna En-

gelking w nagrodzonej w 2012 r. monografii. O „stanie” Polaków, od Łotwy po Kazachstan, i ich życiu od roku 1945 po rozpad ZSRS – właściwie nikt.

To zaś sprawia, że nie rażą w tym tomie uchybienia, za które w innej publikacji przyszłoby może uznać niewystarczającą selekcję faktów, nieumiejętność oczyszczenia części biogramów z hagiograficznego tonu. Owszem, nie wszystkie zasługi bohaterów słownika są z dzisiejszej per-

spektywy równej wagi: „wyhaftowanie obrusa ludowego”, wymienione wśród dokonań jednej z łotewskich Polek, to nie to samo, co siedem lat łagru, półgodzinny odczyt o Mickiewiczu w Domu Kolarza to nie szmuglowanie Biblii. Ani jednak skromność tych inicjatyw, ani ich pewien schematyzm nie mogą być poczytane za ujmę ostatnim polskim inteligentom na Wschodzie: zbyt mało wiemy o ciśnieniach, pod którymi przyszło im żyć. 

Nie pisze, nie dzwoni

Tyle już wydano zbiorów korespondencji Herberta, że ich wierni czytelnicy zdążyli dostrzec powtarzającą się dynamikę: czy adresatem był Tadeusz Chrzanowski, czy brytyjscy przyjaciele – Czajkowsky czy Jerzy Zawieyski, listy zebrane brzmią z grubsza tak samo. Jeden z ich autorów jest z początku nieśmiały, urzekającym, skromnym i szczodrym w swoich figlach Patrykiem czasów stalinizmu; potem Księciem, coraz bardziej zdawkowym, pochłoniętym swoim dziełem czy rozpaczą, raz na rok – dwa wybuchającym dawną werwą; wreszcie Starym Poetą, cierpiącym i cierpkim, rzadko trącającym strunę serdeczności, która zaraz ścichnie. Że to uniwersalny niemal wzór relacji artysty ze światem? Nawet jeśli, u Herberta tak uwypuklony, że niemal z góry wiadomo: kto szuka podszytej straceńczą odwagą fantazji Ariela – niech skupi się na początku tomu, kto ploteczek o Czesławie M. i Arturze M. – niech rozkłada książkę na dwoje. Kto chce współnika w lamencie na głupi i głuchy świat, niech kartkuje dalej.

Tym razem jednak stało się inaczej. Korespondent Herberta krążył po lokalnych orbitach: próbował swoich sił w poezji, prozie, malarstwie, jednocześnie żyjąc z dziennikarstwa. Nawet w PRL nie musiało to być wyrokiem, ale Henryka Świecickiego grawitacja ściągała coraz bliżej władzy: twórca ciekawego odwilżowego czasopisma „Warmia i Mazury” został w połowie lat 60. pracownikiem „centrali”, naczelnym organu TPPR, wreszcie dyplomatą – w Leningradzie.

Nie, nie ma żadnego zjadliwego komentarza Herberta do tej ewolucji: jest zbiór listów, przez pół wieku skrzętnie przechowywanych w olsztyńskim domu adresata, który urywa się na zdawkowej kartce noworocznej z roku 1967. Można to uznać za zbieg okoliczności czy dowód zmęczenia poety – albo za pozostawiony przez Księcia szczególnie epistolograficzny dowód na to, że najgłośniejszy sły- 



Zbigniew Herbert, Henryk Świecicki, „Listy 1951–1967”, opr. Henryk Citko, Znak, 2021

Ćwiczenia z obrzydzania wizerunku

„Pańska, szlachecka...” zamyka serię, której pierwszy tom traktował o czasach przedrozbiorowych, odtwarzając różne wizerunki II RP kreowane przez sowieckich artystów i naukowców. Niektóre z nich są szeroko znane, choćby za sprawą chętnie reprodukowanych plakatów czasu wojny 1920 r.: motyw nalanego, świńskookiego szlachetki, obowiązkowo bez przednich zębów, z szablą i w konfederatce powtarzał się na nich (podobnie jak w sowieckiej karykaturze dwudziestolecia i na plakatach z kampanii roku 1939) tak wytrwale, że nie wiadomo, czy bardziej podziwiać talent sowieckich rysowników do jego modyfikowania (czasem szlachetka ma nos zadarty, czasem kartoflany, czasem pijacki; z zębów czasem zostały mu ostre kły, czasem zupełnie nic), czy raczej z zastanawiać się nad fenomenem „długiego trwania” w nietypowych okolicznościach. Ile w tym wizerunku inwencji Majakowskiego, ile historycznej pamięci polskich panów przy szablę – na Kremlu lub na katordze? 

Praca Tadeusza Rutkowskiego nie ogranicza się do jednego typu wizerunków czy przekazu: usiłuje ogarnąć całość sowieckich inicjatyw, których celem było stworzenie wizerunku Polski i Polaków. Taki zamiar, jak nieraz syntezę zakrojone zbyt szeroko na jeden tom, rodzi ryzyko przeoczenia pewnych obszarów, zbyt uwytykowania innych (zastanawia np. bardzo szczegółowe omówienie sowieckiej ofensywy propagandowej w prasie brytyjskiej lat 1944–1945). Wielką zaletą jest jednak pokazanie, w trybie antologii, wielości odcieni i interpretacji, w jakich przez blisko 40 lat ukazywano Polskę: wydumaną, służalczą, gnębiącą mniejszości narodowe, sojuszniczą wobec Hitlera, skrytobójczą – w oczach Sowietów zawsze złą. 



Tadeusz Paweł Rutkowski, „Pańska, szlachecka, faszystowska». Polska w sowieckiej propagandzie, kulturze i historiografii 1917–1945”, NCK, 2020



Zdjęcie: Andrzej Wiktor

Teoretycznie neutralność klimatyczna to łatwy temat

Co musimy zmienić, by przeprowadzić gospodarkę przez zieloną transformację? Odpowiedź na to pytanie nie jest tak prosta, jak się wydaje. Najpierw trzeba odejść od górnictwa, znaleźć paliwo przejściowe, wdrożyć nowe technologie, „ucyfryzować” wiele procesów. A to wszystko przy sprawiedliwym podziale kosztów tego ogromnego przedsięwzięcia. Eksperci podczas debaty o transformacji energetycznej zorganizowanej w ramach tegorocznego III Forum wGospodarce.pl podjęli wyzwanie znalezienia możliwie najlepszej drogi do pożądaných zmian. I wstępnie zadeklarowali możliwość utworzenia zespołu roboczego przy Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, kontynuującego rozmowy

Wchodząc w szczegóły tego, co rozumiemy pod hasłem zielona gospodarka, widzimy wiele interpretacji tego pojęcia. Może się tu kryć idealistyczne podejście wprowadzenia jak największej liczby odnawialnych źródeł energii, ale można to też rozumieć jako próbę maksymalnej zmiany technologii na nowe. Dla polityki energetycznej Polski najważ-

niejsza jest innowacyjność – powiedział Paweł Pikuś, dyrektor departamentu elektroenergetyki i gazu w Ministerstwie Klimatu.

Transformacja energetyczna, którą widzimy, ma być kołem zamachowym innowacyjnej gospodarki. – Tak o tym mówi nasza polityka energetyczna do 2040 r. – wskazał Paweł Pikuś. – Bezpieczeństwo energetyczne, konku-

rencyjność i zrównoważona ochrona środowiska – nasza polityka znajduje komplementarność wszystkich tych trzech wartości, starając się znaleźć wypadkową bezpiecznych dostaw energii w rozsądnych cenach, by były odpowiednie pod kątem klimatycznym. Ważne jest ograniczenie gazów cieplarnianych i wykorzystanie jako szansy czekającej nas transformacji energetycznej – zaznaczył.



Ewa Drozd

Wojciech Hann

Frédéric Farache

Artur Soboń

Kiedy mówimy o bezpiecznej energii, ważne jest zdwersyfikowanie dostaw źródeł energii. Tak, by zmniejszyć uzależnienie od paliw, które musimy importować, i dostarczać energię na bazie rodzimych źródeł. Ważne jest także, kto znajdzie się w centrum polityki energetycznej. Zdaniem Pawła Pikusa jest to konsument, który będzie z tej polityki korzystał. Temu mają służyć ustawy, które ministerstwo przedstawiło do konsultacji społecznych i przyjętych przez parlament, jak tzw. ustawa licznikowa. Ten kierunek, jak zapewnia dyrektor, będzie kontynuowany.

Na pytanie, czy polityka klimatyczna identyfikuje wszystkie ryzyka, Artur Soboń, wiceminister aktywów państwowych, pełnomocnik rządu ds. transformacji energetycznej, odpowiedział, że jak pokazuje czas, to się wciąż zmienia. – Musimy jednak mieć jakąś strategię, odpowiednio rozłożoną w czasie. Dokument przedstawiający tę drogę w perspektywie wieloletniej. W tym sensie polityka klimatyczna państwa w postaci PEP2040 jest dokumentem obowiązującym. Dobrze się stało, że został on przez rząd przyjęty. To stanowi podstawę do wszelkich działań związanych z transformacją i strategią spółek skarbu państwa – tłumaczył.

W gruncie rzeczy to właśnie na nie w dużym stopniu położony jest wysiłek, by tę politykę energetyczną realizować. Na stole Komisji Europejskiej leżą dwa rozwiązania systemowe. To rozłożona w czasie likwidacja górnictwa węgla kamiennego. I to jest proces planowany do roku 2049.

– Uzgodniliśmy ten proces społecznie. Pomoc publiczna w postaci kosztów nadzwyczajnych i subwencji do redukcji produkcji będzie wspierała górników i całość procesu wychodzenia z węgla. Przygotowujemy się także do transformacji trenerów pogórnicznych, zwłaszcza Śląska. Sukcesem jest to, że związki zawodowe górników zgodziły się przyjąć taką strategię na wygaszenie kopalni – zaznaczył Artur Soboń. I dodał, że jeśli spółki energetyczne chcą inwestować w OZE, rząd musi je odciążyć z wytwarzania energii opartego na węglu. Stąd pomysł, aby stworzyć podmiot, do którego włączone będą bloki energetyczne oparte na węglu, czyli Narodowa Agencja Bezpieczeństwa Energetycznego.

– O tym teraz rozmawiamy ze stroną społeczną energetyki i górnictwa węgla brunatnego, bo i ten proces uzgodnień chcemy zamknąć umową społeczną – dodał wiceminister.

Jak zaznaczył Frédéric Farache, prezes zarządu, dyrektor generalny Veolii, transformacja energetyczna w teorii jest dość łatwa: powinniśmy osiągnąć neutralność pod względem emisji dwutlenku węgla. – I chociaż mówimy o – wydawałoby się – odległym 2050 r., to dla energetyki nie jest to długa perspektywa. By umożliwić osiągnięcie tego celu, w pierwszym etapie musimy odejść od węgla. W Polsce Veolia planuje osiągnięcie tego celu do 2030 r., to pierwszy milowy krok, nasze zobowiązanie i jest to jasna sprawa, natomiast dalsza przyszłość to raczej kwestia konceptu, w którego tworzeniu musimy się opierać na Polityce Energetycznej Polski 2040 i dokumentach unijnych – wyjaśniał.

Jak zaznaczył, chociaż nadal jest to przedmiotem debaty na poziomie europejskim, to w jego ocenie to gaz jest dla Polski odpowiednim paliwem przejściowym. – Myślę, że można po niego sięgnąć przed wdrożeniem przyszłych, zdekarbonizowanych źródeł energii. Takich jak wodór, do którego już przystosowujemy nasze instalacje, lub biogaz, który również powinien być uwzględniony w polskich strategiach. My działamy zgodnie z nimi, więc rozważamy także energetykę jądrową i oczywiście udział prosumentów – zaznaczył.

Planowany miks paliwowy Veolii obejmuje RDF oraz biomasę, ponieważ można je pozyskiwać w Polsce w sposób zrównoważony. – Wdrażamy równolegle rozwiązania z obszaru gospodarki o obiegu zamkniętym, co na przykład oznacza wykorzystanie większej ilości ciepła odpadowego z przemysłu, który jest w Polsce dość rozwinięty. To ciepło, zamiast trafiać do atmosfery, może ogrzewać mieszkania Polaków. I w końcu w miejscach, gdzie nie ma możliwości stałego podłączenia do sieci, rozwiązaniem przyszłości może być biogaz, bio-CNG i bio-LNG. W dużym parku przemysłowym w Toruniu wdrażamy właśnie rozwiązane wykorzystujące regazyfikację LNG i jesteśmy przekonani, że będzie można je z powodzeniem stosować w innych tego typu obiektach w Polsce – opowiadał.

Transformacja oznacza dla Polski duże koszty, więc rozsądek podpowiada, by nie obciążać nimi tylko jednej strony. Musi zatem być sprawiedliwa i nie powodować wykluczenia, to zresztą zostało zapisane

w PEP2040. – Temat trzeba traktować w sposób kompleksowy, w kontekście całej gospodarki. Weźmy na przykład zarządzanie odpadami. Polska w ciągu ostatnich 10 lat dużo zainwestowała w segregację odpadów. W kraju jest dzisiaj 130 instalacji do segregacji, odzyskuje się to, co można: szkło, papier, drewno. Pozostaje nam jednak cenny zasób, czyli paliwo pochodzące z odpadów, które nie nadają się do segregacji i recyklingu, ale mają wysoką kaloryczność. Dla nas przekształcanie ich w ciepło jest naturalnym rozwiązaniem, które dodatkowo pomaga radzić sobie z dwoma problemami: emisją CO₂ i składowaniem odpadów – dodał prezes Veolii.

Potężną rolę cyfrowej transformacji energetycznej podkreślała Ewa Drozd, dyrektor segmentu Enterprise, członek zarządu Microsoft. Firmy energetyczne działające w Polsce już dziś analizują korzyści płynące z cyfrowej transformacji. – Jako przykład można wskazać tutaj Grupę Tauron, która uruchamia pilotażowe innowacyjne projekty bazujące na środowisku chmurowym, przygotowując się do prowadzenia biznesu z wykorzystaniem posiadanej infrastruktury, w takich obszarach jak inteligentne miasto (zarządzanie odpadami, oświetleniem, infrastrukturą miejską). Bez wątpienia spółka należy do czołówki w tym obszarze na polskim rynku – wyliczała Ewa Drozd.

Jednak nie wszyscy gracze tego segmentu rynku mogą się pochwalić takim stopniem zaawansowania. To wciąż nowy temat dla sektora infrastruktury krytycznej. – Jestem przekonana, że przed firmami energetycznymi jest nadal wiele projektów informatycznych, na przykład w obszarze bilansowania energii, z uwzględnieniem OZE. Jako jedno z wyzwań spowalniających transformację cyfrową w obszarze energetyki postrzegam brak dialogu podobnego do tego, jaki od lat trwa w sektorze bankowym, który otworzył rynek finansowy na korzyści płynące z innowacji i chmury. Elementy blokujące cyfrowy rozwój energetyki to regulacje w zakresie cyberbezpieczeństwa, które w przeciwnieństwie do segmentu finansowego, gdzie KNF wskazuje jednoznacznie interpretacje w tym zakresie, w energetyce nadal pozostają w sferze indywidualnej

interpretacji poszczególnych firm – wskazała Ewa Drozd. – Mam nadzieję, że w tym obszarze rozpocznie się dialog, który otworzy i przyspieszy bezpieczne możliwości podejmowania transformacji również w energetyce. Optymistyczne jest to, że firmy energetyczne stawiają w centrum klienta, który powinien być beneficjentem cyfrowej zmiany. Obsługa klienta, która dzięki digitalizacji zyskuje precyzję i jakość oraz umożliwia przedstawienie spersonalizowanej oferty, to fundament i ważny krok na drodze konkurowania o klienta – dodała.

Jak zauważył Wojciech Hann, prezes zarządu Banku Ochrony Środowiska, to pandemia wymusiła gigantyczne przemiany w światowej gospodarce. Polska ma dużo do zrobienia, ale to dla nas ogromna szansa. – By z niej skorzystać, musimy postawić na zieloną i cyfrową gospodarkę. I zrozumieć kierunek zmian. A Bank Ochrony Środowiska go rozumie – już dziś ok. 40 proc. udzielonych kredytów to kredyty proekologiczne. Właśnie przyjęliśmy nową strategię biznesową naszego banku. Będziemy kłaść jeszcze większy nacisk na kompetencje doradcze i specjalizację w proekologicznych produktach finansowych – powiedział Wojciech Hann.

Zapewniał, że od początku istnienia misją BOŚ jest wspieranie inwestycji przyjaznych środowisku. – Dziś, gdy zielona transformacja stanowi jeden z priorytetów gospodarczych, doświadczenie i kompetencje BOŚ są cenne, jak nigdy. Chcemy i możemy towarzyszyć naszym klientom na każdym etapie projektu – zapewniał.

Zielona transformacja to największe wyzwanie, jakie przed nami stoi i wpłynie na wszystkie segmenty gospodarki. I jest to wyzwanie nie tylko dla graczy sektora energetycznego. – To również bezprecedensowe wyzwanie dla banków, dla wszystkich instytucji finanso-

wych i regulatorów. Aby sprostać temu zadaniu, konieczna jest współpraca i wzajemne zrozumienie zainteresowanych stron. W Banku Ochrony Środowiska jesteśmy otwarci na współpracę i widzimy naszą ważną rolę w finansowaniu inwestycji związanych z zieloną transformacją polskich firm i samorządów, co wpisuje się w założenia Europejskiego Zielonego Ładu i Krajowego Planu Odbudowy – dodał.

Jak podkreślał Hann, zgodnie z szacunkami ekonomistów niezbędne inwestycje związane z zieloną transformacją realizowane w Polsce do 2030 r. będą miały wartość od 300 do 350 mld euro. To gigantyczna kwota. I choć znaczna część będzie pochodzić ze środków publicznych, to i tak ponad 75 proc. finansowania będą musiały zapewnić instytucje finansowe. – Dlatego w BOŚ skupiamy się na tym, by zapewnić atrakcyjne produkty bankowe i profesjonalne doradztwo dla podmiotów, które realizują zielone inwestycje, głównie w sektorze energetycznym, transporcie i przemyśle, gdzie potrzeby będą największe – zapewniał.

Wszyscy uczestnicy spotkania zgodzili się, że do sprawiedliwej, uczciwej i najmniej obciążającej kosztami społecznymi transformacji energetycznej potrzebne są dalsze rozmowy. Powstał pomysł, by rozmowy przenieść na poziom roboczy przy Kancelarii Prezesa Rady Ministrów.

– Bardzo chętnie włączę się w pomysł, by stworzyć grupę roboczą i koordynować na poziomie całości działań spółek zajmujących się transformacją energetyczną kwestie związane z wykorzystaniem narzędzi cyfrowych wspierających procesy transformacji – zapewnił wiceminister Artur Soboń, pełnomocnik rządu ds. transformacji energetycznej.

Moderowała i relacjonowała Edyta Holdyńska

III FORUM wGOSPODARCE.PL

Redakcja ekonomiczna Grupy Medialnej Fratria, wydawcy portalu wGospodarce.pl i „Gazety Bankowej”, prowadzi trzecią edycję ogólnopolskiego programu „Forum wGospodarce.pl”, będącego platformą wymiany doświadczeń na temat wpływu międzynarodowych inwestycji na rozwój polskiej gospodarki. Debaty dotyczące cyfryzacji, transformacji energetycznej, roli małych i średnich firm oraz przedsiębiorstw z kapitałem zagranicznym w Polskim Ładzie to tylko niektóre tematy z cyklu spotkań w ramach Forum. Więcej informacji w specjalnej zakładce portalu wGospodarce.pl.

PRZYSZŁOŚĆ JEST Z MIEDZI



60 LAT
KGHM
— POLSKA MIEDŹ —

www.kghm.com



Wierzymy, że przyszłość jest z miedzi! Miedź jest trwała, odporna na rdzę, doskonale przewodzi ciepło i elektryczność. To surowiec niezbędny w fotowoltaice, energetyce wiatrowej, przemyśle motoryzacyjnym, medycynie oraz innych gałęziach nowoczesnego przemysłu. KGHM to Odkrywca – Gigant – Wizjoner. Działalność wydobywczą i przetwórczą prowadzimy od 60 lat, będąc w niej globalnym liderem. Z pasją i wizją budujemy potęgę KGHM na całym świecie.



Opieka medyczna, szkolenia i dopłaty do samochodu. Tak działa Uber Pro dla kierowców

Wraz z postępującym procesem szczepień oraz znoszeniem ograniczeń związanych z pandemią Polacy wracają na ulice miast, do ogródków restauracyjnych... oraz do taksówek. To także szansa dla kierowców, którzy chcą dobrze zarabiać. Z kim optata się jeździć? Najbardziej znaną aplikacją wśród Polaków jest Uber. Firma nie tylko wspierała partnerów w trudnym czasie pandemii, ale przygotowała dla nich specjalny pakiet w ramach programu Uber Pro

Od czasu debiutu w Polsce w 2014 r. firma Uber przeszła prawdziwą rewolucję. Uber stał się nie tylko synonimem zamawiania przejazdu, ale także multimodalną platformą oferującą coraz szerszy wachlarz usług. Już teraz Uber to nie tylko codzienne bezpieczne przejazdy. To

również dostęp do podróży pojazdami elektrycznymi, usługa wypożyczania hulajnog Lime oraz nadawanie przesyłek. Popularność platformy potwierdzają wyniki badań. Według najnowszego raportu firmy IPSOS przeprowadzonego na zlecenie Ubera ponad 60 proc. mieszkańców miast, w których działa Uber,

przynajmniej raz skorzystało z aplikacji do zamawiania przejazdu. Obecnie platforma działa w ponad 70 państwach na całym świecie, a w Polsce możliwość zamawiania transportu poprzez aplikację jest dostępna w Warszawie, Krakowie, Trójmieście, we Wrocławiu, Poznaniu, Łodzi, Lublinie, Szczecinie i na Śląsku.

WAŻNE DLA KIEROWCÓW

Kierowcy decydujący się na współpracę z platformą Uber zwracają uwagę przede wszystkim na zarobki. Konkurencyjne ceny za przejazd przyciągają pasażerów, co przekłada się na korzystne mnożniki i atrakcyjne stawki dla kierowców. Współpraca z wiarygodnym partnerem, jakim jest Uber, który prowadzi swoją działalność zgodnie z obowiązującymi przepisami i odprowadza należne podatki w Polsce, to kolejny aspekt, który jest szczególnie istotny dla kierowców. Dodatkowo kierowcy mogą liczyć na wiele benefitów w ramach programu Uber Pro.

JAK DZIAŁA UBER PRO?

Uber Pro to nie tylko dodatkowe korzyści dla kierowców. Jest to także znak jakości dla pasażerów mówiący o tym, że ich przejazd jest obsługiwany przez doświadczonych partnerów. Aby móc przystąpić do programu Uber Pro, muszą oni posiadać oceny minimalnie na poziomie 4,85. Ważny jest niski wskaźnik anulowania przejazdów. Konieczne jest również spełnienie wszystkich wymogów wynikających ze znowelizowanych przepisów o transporcie drogowym.

Program Uber Pro składa się z czterech poziomów: Blue, Gold, Platinum i Diamond. Dołączając do Uber Pro, kierowcy otrzymują status Blue. Następnie, zdobywając punkty za każdy przejazd (jeden za zwykły przejazd, pięć za kurs w godzinach szczytu), kierowca może odblokować kolejne poziomy, zyskując dostęp do dodatkowych benefitów. Punkty naliczane są w trzymiesięcznych okresach. Liczą się jednak nie tylko przejazdy, lecz również dobre oceny od pasażerów.

Szczegółowe informacje dotyczące Uber Pro są dostępne w sekcji „Kierowca” w aplikacji oraz na stronie Uber. Tam partnerzy mogą zobaczyć dostępne nagrody oraz śledzić swoje postępy w realizacji celów. Kierowcy, którzy nie realizują przejazdów w związku z wakacjami lub sytuacją losową, nie tracą uzyskanego statusu.

Korzyści w programie Uber Pro

Priorytetowa pomoc	Zgłoszenie skierowane przez kierowcę do działu wsparcia będzie obsługiwane w pierwszej kolejności
Kursy z lotniska	Gdy kierowca kończy kurs na lotnisku, będzie miał większą szansę na odbiór kolejnego pasażera z portu lotniczego
Kierunek i czas trwania przejazdu	Kierowca może sprawdzić przewidywany kierunek oraz przybliżony czas trwania następnego kursu jeszcze przed jego rozpoczęciem
Wyróżnienie w aplikacji dla pasażerów	Pasażerowie widzą, że ich przejazd jest obsługiwany przez kierowcę z programu Uber Pro
Powrót na obszar o dużej liczbie zamówień	Jeśli za sprawą długiego przejazdu kierowca znajdzie się w obszarze z małą liczbą zamówień, będzie mógł skorzystać z funkcji wyboru preferowanego miejsca docelowego z większą liczbą zleceń
Przejazd powrotny z lotniska	Kierowca zyskuje pierwszeństwo odbioru pasażerów z wybranych lotnisk
Opieka medyczna Lux Med	Pakiet medyczny Lux Med w obniżonej cenie
Zniżki na siłownię oraz kursy edukacyjne	Kierowca może skorzystać z promocyjnej oferty w siłowniach Gymsteer oraz na platformie Lingua Nova

NA CO MOGĄ LICZYĆ KIEROWCY?

Kierowcy w ramach programu zyskują dostęp do oferty benefitów pomagających im w wykonywaniu codziennych zleceń oraz utrzymywaniu najwyższej jakości usług. Szczególnie interesującym benefitem może się okazać rabat na paliwo na stacjach BP.

Status Uber Pro to jednak nie tylko niższe koszty utrzymania pojazdów. Dołączając do programu, kierowcy zyskują ponadto szybszą pomoc ze strony działu wsparcia oraz priorytetowy dostęp do kursów z lotnisk. Mogą również odblokować dodatkową funkcję, dzięki której sprawdzą długość i kierunek przejazdu, zanim go zaakceptują.

W SAMOCHODZIE I POZA NIM

Szczególnie ważną część programu stanowi opieka medyczna. Dzięki

współpracy z grupą Lux Med kierowcy posiadający określony status Uber Pro mogą skorzystać z pakietu pomocy medycznej oraz porad w placówkach w całej Polsce.

Gdy spędzamy dużo czasu za kierownicą w pozycji siedzącej, podstawą jest dbanie o kręgosłup. Dlatego, mając na uwadze zdrowie fizyczne kierowców, Uber Pro pozwala na częściowy zwrot kosztów za korzystanie z siłowni za pośrednictwem aplikacji Gymsteer.

Dla wielu partnerów współpraca z platformą Uber to często zajęcie dodatkowe, przystanek na ich drodze do realizacji własnych planów zawodowych oraz atrakcyjne źródło dochodu. W ramach Uber Pro partnerzy mogą skorzystać z oferty edukacyjnej dostępnej na platformie Lingua Nova. Rejestrując się za pośrednictwem Uber Pro, partnerzy mogą liczyć na promocyjną cenę 55 zł rocznie.

ANDREAS VIESTAD*

Historia zapisana w... kotlecie



historię Wiecznego Miasta, czytelnik dowie się m.in., jak to możliwe, że spór o sposób pieczenia chleba przyczynił się do wielkiej schizmy w Kościele, miłość do masła stała się impulsem do powstania reformacji, a niedobór soli doprowadził do przegranej wojny secesyjnej, wybuchu Wielkiej Rewolucji Francuskiej i upadku

brytyjskiego imperium kolonialnego.

Swoją opowieść autor podzielił na rozdziały zatytułowane zdawkowo, lecz znacząco: Chleb, Antipasto, Oliwa, Sól, Makaron, Pieprz, Wino, Mięso, Ogień, Cytryna. Przytoczę niewielkie fragmenty, by pokazać, jak budowana jest w nich narracja.

„We Włoszech obowiązuje ważna zasada, jeśli chodzi o jedzenie: masz jeść to, co widzisz”. Stwierdzenie to jest może lekko przesadzone, ale w tej romantycznej interpretacji bez wątpienia tkwi ziarno prawdy. Dotyczy to także wielkiego miasta, jakim jest Rzym. Można tu znaleźć wszystko, co do zawału serca niezbędne, jeśli chodzi o międzynarodowy fast food, miejscowe jedzenie śmieciowe i nie- nasycone kwasy tłuszczowe. Mimo to właśnie aromat oliwy jest najsilniej wyczuwalny, kiedy spaceruje się małymi uliczkami, a zapach smażenia wydobija

się z kuchni domowych oraz wielkich kuchni restauracyjnych.

Przez wieki oliwa żywiła biednych i bogatych mieszkańców Rzymu, tak samo dwa tysiące lat temu, jak i dzisiaj. Stanowi ona część tego, co Maguelonne Toussaint-Samat nazywa „podstawową trójką”, która składa się ze zboża, oliwy i wina. Na niej została zbudowana kuchnia śródziemnomorska – a także w pewnym sensie cała kultura śródziemnomorska. „W starożytności oliwa – wraz ze zbożem – miała mniej więcej tak wielkie znaczenie jak ropa naftowa współcześnie”.

Chleb powszedni pojawił się na stole i w książce Viestada jako pierwszy. Ostatnią bohaterką jest cytryna. Jak pisze autor: „Początkowo zakładano, że przybyła do Europy dopiero za sprawą arabskich handlarzy między IX a X w. Kiedy jednak w Pompejach odkryto malowidła naścienne przedstawiające drzewa cytrusowe, stało się jasne, że owoc dotarł na kontynent znacznie wcześniej, prawdopodobnie wraz z importowanymi przyprawami i innymi egzotycznymi towarami – być może nawet na kilka wieków przed naszą erą. Bogaci Rzymianie lubili ustawiać donice z drzewkami cytrusowymi przed wejściem do swoich domów. Te wiecznie zielone drzewka służyły jako ozdoba przez cały rok, a ich drobne, białe rozrzucające piękną woń kwiaty zapewniały zapachową ochronę przed odorem ulicy. Owoce pełniły funkcję dekoracyjną, całkiem jak drzewka cytrynowe, którymi wiele osób przystraja dziś swoje mieszkania. Taka cytryna, jaką znamy obecnie i jaka służy przede wszystkim do jedzenia oraz wyciskania soku, przybyła do Europy z arabskimi handlarzami niemal tysiąc lat później...”

A z tej części opowieści można się dowiedzieć m.in., w jaki sposób cytryna przysłużyła się... sycylijskiej mafii. 

Jolanta Gajda-Zadzworna
*Autor książki
„Obiad w Rzymie. Historia świata w jednym posiłku”

W północnej części Campo de' Fiori, ruchliwego placu w sercu historycznego centrum Rzymu, znajduje się restauracja La Carbonara – najlepsza w Wiecznym Mieście, jak uważa Andreas Viestad.

To właśnie tu w czerwcu 2018 r. autor „Obiadu w Rzymie. Historii świata w jednym posiłku” (wyd. Znak Koncept) zasiadł do stołu. Kolejne zamawiane dania stały się pretekstem do – zapisanej potem na ponad 200 stronach – opowieści „o smakach, które zmieniły nasze życie, składnikach, które nas kształtowały, jedzeniu, które żywiło całe imperium oraz poszukiwaniu źródeł najlepszej potrawy świata”.

Viestad przyjrzał się przeszłości przez pryzmat potraw, dochodząc m.in. do odważnej konkluzji, że „w kotlecie albo misce makaronu możemy dopatrzeć się więcej historii niż w Koloseum lub jakimkolwiek innym zabytku”.

Danie po daniu, wyruszając w kulinarną podróż przez historię świata i hi-





SŁODKO-SŁONY

Miso – moja miłość

ANNA MONICKA

Zacząłem się niewinnie. Od wyprawy na cmentarz. Po spacerze poczułam głód, a że jakoś nie miałam ochoty na pyzy czy gorące flaki, wybrałam coś egzotycznego, japońską zupę. Wyglądała i pachniała tak pięknie, że nie wytrzymałam i zjadłam ją wbrew wszelkim zasadom – w samochodzie. Do domu dowiozłam tylko rosół, który wypiliśmy na kolację. I tak zaczęło się moje najprzyjemniejsze chyba uzależnienie. Zostałam fanką zupy miso.

Miso to pasta z fermentowanej soi, samej lub z ryżem, albo jęczmieniem. Gęsta, o miodowym kolorze, słodko-słona. Jeden z najpopularniejszych dodatków do jedzenia w Japonii. Im ciemniejsza, tym dłużej fermentuje i ma bardziej wyrazisty smak. Latem lepsza jest jasna, delikatniejsza i mniej słona, zimą – ciemniejsza. Jak to kiszka, jest bogactwem zdrowych bakterii, które odpowiadają za proces fermentacji, a także wapnia, błonnika, białka, przeciwutleniaczy. Zrobiona z niej zupa uchodzi za jedno z najzdrowszych dań na świecie.

Rajd po sklepach z azjatyckimi smakolukami zakończył się sukcesem. Znalazłam miso bez glutaminianu i chemicznych dodatków, suszone grzyby shiitake (zastępują mięso, smakują lekko orzechowo, a lista ich zalet jest imponująca: od działania uspokajającego i obniżającego ciśnienie po przeciwnowotworowe), wodorosty kombu (kolejne jedzenie, które można potraktować jak lek: usuwają toksyny, działają przeciwmiażdżycowo, mają mnóstwo witamin, a zrobiony z nich bulion jest bazą do zupy miso). Kupiłam też na wszelki wypadek dashi, czyli bulion w postaci granulek, które rozpuszcza się w wodzie – dzięki niemu przygotowanie zupy idzie błyskiem, ale zdrowiej jest wywar zrobić samodzielnie, żeby uniknąć konserwantów. No i oczywiście makaron. Wybrałam gryczany, chociaż to podobno błąd w sztuce. Taki jednak lubię najbardziej i moim zdaniem świetnie pasuje.

Bulion na wodorostach i grzybach shiitake robi się w kilkanaście minut. W tym czasie można ugotować makaron – uwaga, bez soli, bo tej, która jest w paście sojowej, wystarczy w zupełności. Na litr biorę arkusz listownicy japońskiej wielkości mniej więcej pocztówki, zalewam ją dwiema szklankami wody i wolniutko gotuję. Grzyby płuczę i nastawiam na noc, więc mam już pod ręką ładne, soczyste kapelusiki w aromatycznej zalewie. Doprawiam nią bulion z glonów. Gdy przestygnie, dodaję łyżkę miso. W salaterce układam makaron, zblanszowaną kapustę pak-choi, można dorzucić kilka ziarenek młodego gotowanego bobu, kostki tofu, szczyptę z kwiatkiem (pyszny!), pokrojone paseczki kombu i shiitake. Zalewam i gotowe. Smakuje tak dobrze, jak wygląda.

Fot. Archiwum Autorki, Shutterstock



WILCZY OKIEM

Kolczurka i inne zmory

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Doliny rzeczne są fascynujące. Obfitość wody daje obfitość życia, potęgowaną przez żyzność gleby nawożonej przez wylewające wody. Od razu nasuwa się spostrzeżenie: aby woda mogła odgrywać życiodajną rolę, musi być czysta. A do polskich rzek ciągle trafiają wielkie ilości śmieci i odpadów. I wciąż do wód spuszczone są ścieki.

I drugie: naturalne wylewy rzek hamowane bywają przez zbyt wąskie obwałowania. Tymczasem rzeka co ileś lat i tak przeleże się ponad wały, a w międzyczasie, nie mogąc rozlewać się odpowiednio szeroko, po prostu nie będzie pełnić swojej naturalnej funkcji. Drugim priorytetem powinno być więc pozwolenie rzekom, wszędzie tam, gdzie to możliwe, na szerokie wylewy. Jak może to funkcjonować, widać nad Biebrzą. Rzeka ta nie ma wałów, a jednak nie zalewa domów. Stoją one poza zasięgiem najwyższej wody, która podczas wiosennych przyborów zalewa nadbrzeżne łąki (z korzyścią dla nich), a później cofa się, nie wyrządzając szkody gospodarstwu.

Cudowną właściwością rzek jest także rola korytarzy ekologicznych. Płynącą wodą wędrują ryby, minogi, mięczaki, ale też ssaki i nasiona roślin. Brzegami przekradają się stworzenia lądowe, a ponad nimi migrują ptaki.

Łatwość przemieszczania się dolinami rzek niesie z sobą również zagrożenia. Z rzecznych korytarzy korzystają organizmy inwazyjne obcego pochodzenia. Jedną z zasad ekologicznych mówi, że na 100 zawleczonych obcych gatunków 10 zaaklimatyzuje się do nowego środowiska, a jeden stanie się inwazyjny: zacznie wypierać rodzime gatunki, zubażać lokalne ekosystemy i powodować szkody. Przy obecnym rozwoju transportu pomiędzy różnymi regionami świata ten 1 proc. to dużo.

Inwazje widać wyraźnie właśnie wzdłuż rzek, których brzegi coraz bardziej opanowywane są przez agresywne obce gatunki: rdestowiec ostrokończysty, kolczurkę kłapowaną, winobluszcz zarosłowy, niecierpka himalajskiego (niech nikogo nie zmylą jego różowe kwiaty), nawłócie późną i kanadyjską.

Musimy się więc nauczyć cenić i chronić rodzime nadrzeczne ziołorośla, łąki trzęślicowe, łożowiska, wikliny i łęgi. To w nich kryje się bioróżnorodność niezbędna do utrzymania i wyżywienia niezliczonych stworzeń – w tym nas.



W ŚWIECIE LUSTER



HANNA KARP

Donald Tusk i rewolucja głębokiego ateizmu

Odcinek nr 2345 opery mydlanej pod tytułem „Wielki Donald powraca” zakończony. Już wiemy, że powraca, nawet na sto procent. Wielu publicystów zastanawia się dlaczego teraz? To chyba proste. Żeby robić to, co robił. Jest tym, kim był, tylko że jeszcze bardziej. Sam to zresztą zdradził. Z jego mowy na otwarcie wynikało, że nie wrócił, by zwalczać Prawo i Sprawiedliwość, ale żeby odrestaurować swoją partię. No to już wiemy. W październiku 2007 r. w rządowym exposé wymienił kilkadziesiąt razy słowo „miłość”. I nastała taka miłość i pokój, że nie został kamień na kamieniu. W komunikatach Donalda Tuska najważniejsze są bowiem te, które powtarza najczęściej. Ale ich treść należy czytać wspak. A więc po co wrócił Donald Tusk? Żeby jak Prometeusz wykraść ogień z Olimpu, bo za chwilę może być już za późno. Czyli przerwać pisowski faszyzm, a więc odsunąć Prawo i Sprawiedliwość od władzy, i to jak najszybciej. Znajdą się na to sposoby. Najprościej przez rozbięcie Zjednoczonej Prawicy, utratę większości potrzebnej do głosowań i rządzenia. Rozmontowanie albo rozwale-

nie, wszystko jedno jak to nazwiemy, obecnej ekipy rządowej i jak najszybsze ogłoszenie wyborów. Wybory wygra, bo wygrać ma, bo tylko taki będzie praworządny (przypomnijmy sobie, jak to zrobiono w USA), obóz montowany przez Donalda Tuska. A potem realizować główne zadania, i to krokiem tancernym. Czyli wszystko to, co obecnie postulują złotouści unijni urzędnicy: dekarbonizacja, sprawy energetyki, gazociągu niemiecko-rosyjskiego, powrót do dawnego wieku emerytalnego, do tzw. praworządności, prawo do tzw. aborcji, związków małżeńskich LGBT i wiele, wiele innych postulatów ważnych z punktu widzenia tzw. wartości unijnych, czyli rewolucji głębokiego ateizmu.

ŚWIAT UNIJNYCH WARTOŚCI

Zanim to się zdarzy, a planowane jest tempo najszybsze z możliwych, warto się zatrzymać przy tzw. wartościach unijnych, czyli głębokiej ekologii, głębokim feminizmie, nowej ekonomice i głębokiej demokracji. Bo jeśli swoje zadania Donald Tusk zrealizuje, to wszystko to przed nami. Współczesna

rewolucja globalnego ateizmu obejmuje obszary nie tylko społeczne czy polityczne, lecz także ludzkiej płciowości. Międzynarodówka komunistyczna od początku wciągała w swoje działania seksuologów i psychiatrów. Angażujących się otwarcie tzw. ruch seks-pol, czyli politykę seksualną. Twierdzących, że ograniczenia polityczne i seksualne mają wiele wspólnego z faszyzmem i torują drogę faszyzmowi. Po latach ich teorie zostały podchwycone przez ruchy New Age i skrajnie lewicowych aktywistów.

Podobnie fanatyczne idee ochrony środowiska naturalnego mają stare korzenie. Teorie o Matce Ziemi zaczerpnięte z różnorodnych doktryn Dalekiego Wschodu można znaleźć w XIX-wiecznych elukubracjach okultystyczno-ezoterycznych, choćby Heleny Bławatskiej czy Rudolfa Steinera. Dziś klasyczny paradygmat ekologii zastąpiono ekologią „głęboką”. Wyrzucano wszystko, co pobrzmiewa arystotelesowską logiką i filozofią. Co łączy przyczynę ze skutkiem. Autorzy teorii związanych z głęboką ekologią proponują stawianie pytań o system wychowania, społeczeństwo i religie, ale

takie, które są najbardziej korzystne dla życia na Ziemi Matce. Postulowane przełamanie antropocentryzmu nawiązuje wprost do biblijnego nakazu Boga Stwórcy: „Czyńcie sobie ziemię poddaną” (Rdz 1, 28). W efekcie ma to prowadzić do jego całkowitego odrzucenia. Antropocentryzm chrześcijański, zrównany z męskim szowinizmem, jest tak rugowany i tak drażni, bo po Bogu uczynił człowieka najwyższą wartością. Ustawił go na szczycie piramidy wszelkiego stworzenia, usankcjonował dominację nad innymi żywymi istotami.

GŁĘBOKI FEMINIZM

I tu w sukurs przychodzi tzw. głęboki feminizm, służąc za rodzaj ideowej nadbudowy. Współkształtuje nową duchowość i głęboką ekologię. Przejście od ekologii tradycyjnej „płytkiej” do ekologii „głębokiej” przykładowo wyobraża zmiana starego hasła: „Chronię las”, na zawołanie: „Jestem częścią chroniącego siebie lasu”. Fritjof Capra, ideolog głębokiej ekologii i założyciel Centrum Edukacji Ekologicznej w Berkeley w Kalifornii, pisze o duchowości feministycznej, która wypływa z doświadczenia jedności ze wszystkimi formami życia, rytmu narodzin i śmierci. Inna idea – ogłoszona pod koniec lat 70. przez Jamesa Lovelocka hipoteza Gai – obecnie przeżywa szczyt swojej popularności. Głosi ona, iż powierzchnie lądów, oceanów i cała atmosfera stanowią złożoną całość porównywalną z jednym wielkim żywym organizmem. A człowiek jest tylko drobną, wcale nie najważniejszą, składową.

Tak więc zabiegi ochronne czy odtworzenie zniszczonych dóbr przyrody to wciąż ekologia antropocentryczna, szowinistyczna. Głęboka ekologia to kształtowanie człowieka ekologicznego, identyfikującego się głęboko z Matką Naturą i świadomego swoich związków z nią. To budowanie „jaźni ekologicznej” i ekologicznej duchowości. Istnieje także ekologiczny dekalog sformułowany w 1982 roku

podczas jednego ze spotkań miłośników Gai. Pierwsze przykazanie brzmi: „Jam jest Pan, Bóg twój, który stworzył niebo i ziemię. Pamiętaj, że w tym stworzeniu jesteś moim partnerem”. Ostatnie przykazanie jest ostrzeżeniem: „Pomyśl o tym: nie posiadasz Ziemi – jesteś tylko jej opiekunem”.

NOWA EKONOMIKA

Oprócz nowej ekologii równolegle propaguje się także nową ekonomikę. Jej pionierem był m.in. członek brytyjskiego zarządu kopalń, ekonomiczny doradca rządu Birmy Ernst Schumacher. W 1973 r. wydał książkę „Małe jest piękne” z podtytułem: „Spojrzenie na gospodarkę świata z założeniem, że

Chrześcijański antropocentryzm tak drażni i jest rugowany, bo po Bogu czynił człowieka najwyższą wartością, ustawiając go na szczycie piramidy wszelkiego stworzenia

człowiek coś znaczy”. Publikacja podkreślała niepokoje związane z pogłębianiem się gospodarczej przepaści między uprzemysłowionym Zachodem a krajami Trzeciego Świata, ale też katastrofalnym stanem naturalnego środowiska w skali globalnej. Książka jest ostrym podważeniem dotychczasowego, tradycyjnego systemu wartości, związanej z nim ekonomii i gospodarki, logiki produkcji, bogacenia się i rozwoju produkcji. Autor „Małe jest piękne” odrzuca chrześcijańską aksjologię, odwołuje się do argumentów tradycji buddyjskiej, z którą spotkał się w czasie pobytu w Azji i która go zachwyciła jako stwarzająca przesłanki do budowania pięknego nowego świata. Nowa ekonomika krytykuje także sztuczne kreowanie

potrzeb konsumpcyjnych, alienację procesów ekonomicznych, prowadzenie biznesu dla biznesu, współzawodnictwo, pogoń za zyskiem. Nowy paradygmat ekonomiczny ma prowadzić do umiarkowanej konsumpcji, ekologicznej wrażliwości, decentralizacji przedsięwzięć ekonomicznych. W efekcie zapobieżeniu unicestwienia Matki Gai.

GŁĘBOKA DEMOKRACJA

Zwieńczeniem głębokiej ekologii i nowej ekonomii ma być wprowadzenie tzw. głębokiej demokracji. Jeden z jej nauczycieli, Arnold Mindell, filozof i psychoterapeuta, twierdzi, iż konflikty i wojny nadają taki a nie inny kształt historii m.in. dlatego, że tak uparcie obstajemy przy swojej indywidualnej i zbiorowej tożsamości. A przecież można dotychczasową tożsamość zneutralizować. Wykroczyć poza czas i przestrzeń, podążyć razem z Naturą. Alternatywą dla ciepłej śmierci i efektu cieplarnianego jest „majestatyczna wizja globalnej przemiany, w której świat, podobnie jak uzdrawiający siebie szaman, wykracza poza linearny przebieg czasu i przekształca swoje rozmaite role”. Głęboka demokracja, jeśli zatriumfuje, będzie zbawienna. Gdyż samoświadomość, świadomość grupowa przetworzy konflikty w pokój – tłumaczą budowniczy nowego świata. W tym świecie decydującą rolę odegrają echa religii Dalekiego Wschodu, w tym taoizm, sztuki walki, zen, joga itp.

Głęboka demokracja będzie wdrażana od każdego poziomu życia. Osobistego, wewnętrznego i poziomu „służby wobec Ziemi”. Jedno jest pewne, będzie to prawdziwa rewolucja. Przewodniczyć światu ma „starszyzna” obrządku duchowego, praktykująca głęboką demokrację. Będą to przywódcy nowego typu, ułatwiający innym zrozumienie nie ducha, ale „duchów czasu”.

No, to wszystko chyba już jasne. Czy ktoś jeszcze czegoś nie rozumie? 

Autorka jest medioznawcą, religiologiem, prof. WSKSiM w Toruniu

Zło

„Człowiek opanowany przez zło łatwo przechodzi od mniejszych występów do ciężkich przestępstw. Łatwo też poddaje się przyzwyczajeniu do zła. Popelnia je z coraz większą łatwością, bez refleksji, zaciągając coraz większą winę moralną. Coraz poważniej narusza porządek naturalny ustanowiony przez Boga. Wywołuje tym samym coraz silniejszy gniew Boga” (Jan Paweł II „Fides et ratio”). „Zło jest brakiem dobra – pisał ongiś święty Augustyn. Ostatecznie jest ono brakiem Boga w człowieku. Zło jest jakby zahipnotyzowane sobą samym, dlatego wszędzie widzi zło i próbuje je złem zdusić. Człowiek opanowany przez zło wpada w spiralę samozniszczenia, niszcząc i innych”. Takie myśli przychodzą, gdy patrzy się na wystąpienia publiczne Donalda Tuska i to nie jest odczucie tylko pojedynczych osób. Wystarczyło zobaczyć jego pierwszą konferencję po powrocie, zionął przerażającym złem w mimice, słowach, nerwowych gestach, widać, że targa nim strach, boi się, że kłamstwa wyjdą na jaw i zło zostanie osądzone. Miota się, ale nie zmienia swojej retoryki, zaprzecza sam sobie, liczy na ogłupienie ludzi niemających wiedzy, których w Polsce nie brakuje, pokazują to ankiety przeprowadzane wśród młodych. Wiemy z niedawnej naszej historii, co robili ludzie opanowani przez zło. Niemcy – Oświęcim, Rosjanie – Katyń – to zaledwie symbole potwornego zła w wykonaniu człowieka. Wydawałoby się, że letnie miesiące powinny być wypełnione tylko urlopowymi lekkimi tematami, zachwytem nad przyrodą i odpoczynkiem, ale w Polsce tak się nie da. Mamy w pamięci rocznice wydarzeń XX w., które tkwią w nas głęboko, określają nasze myślenie, postępowanie i zachowanie w konkretnych sytuacjach. Gdy podróżujemy wakacyjnie po naszym kraju, wśród lipcowych pól, dojrzających zbóż, pachnących sadów, kolorowych ogródków przydomowych, trudno zapomnieć o rocznicy zbrodni wołyńskiej. Nie tylko o Wołyn tu chodzi, ale o ludobójstwo na polskiej ziemi kresowej w latach 1943–1945. 11 lipca 1943 r. „krwawa niedziela”. Ukraińska Powstańcza Armia dokonała ataku na około sto wsi i miejscowości zamieszkałych głównie przez Polaków w Galicji wschodniej i na Wołyniu. Tych zbrodni nie da się wymazać, zapomnieć, bo są tak potworne, nieludzkie, że trudno pojąć, wytłumaczyć, a tym bardziej zrozumieć. Polacy żyli tu od wieków, na swojej ziemi, wierni zawołaniu: „Bóg, Honor, Ojczyzna”. Skromnie i pracowicie dbali o swoje gospodarstwa, ale też dzielili się z potrzebującymi. Przyzwyczajeni do sąsiedztwa różnych nacji i wyznań, wspierali się, gdy Polska znalazła się pod okupacją wrogów z zachodu i wschodu. Wystarczy poczytać „Dzieci Kresów” Lucyny Kulińskiej, kolejne tomy relacji tych, którzy przeżyli bestialstwo Ukraińców.



**Alina
Czerniakowska**

Świadkowie byli wówczas dziećmi, tylko nielicznym udało się uciec, schronić w jakiejś norze, zbożu czy w lesie, widzieli, jak byli mordowani ich rodzice, dziadkowie, rodzeństwo, nie mogli nawet zapłakać, zawołać o ratunek. Historycy mówią o ponad stu metodach mordowania przez Ukraińców: palenie, straszliwe znęcanie się aż do całkowitego zamordowania. Nawet najbardziej odporni nie są w stanie przeczytać całości relacji i oglądać zachowań zdjęć. A wszystko to działo się wśród pól pachnących chlebem, sadów pełnych dojrzających owoców i warzyw mieniących się różnymi kolorami w lipcowym słońcu. Dziewczynki ze złotymi warkoczami i chłopcy zapędzający zwierzęta do wodopojów, radosne nawoływania i piosenki wracających z pól przed zmierzchem. Czas zbiorów po ciężkiej pracy, domy, stodoły i spichlerze schludnie wysprzątane, gotowe do żniw, serca otwarte, znane z kresowej gościnności. Wszystko zalane krwią, usłane ciałami niewinnych, bezbronnych dzieci, matek, babć i dziadków, bo młodzi i silni mężczyźni poszli do lasu, do partyzantki, walczyć z wrogiem Ojczyzny...

Czy można zapomnieć o tych niewinnych ofiarach? Cały czas, przez wszystkie lata od tamtych tragicznych dni bardzo nam ich brakuje. Ale też kolejnych pokoleń, które by wychowali. Zygmunt Jan Rumel, poeta i żołnierz, absolwent Liceum Krzemienieckiego, wybitnie uzdolniony, został brutalnie zamordowany dzień przed apogeum tragedii. 10 lipca 1943 r. rozerwany końmi razem z towarzyszącymi mu osobami – przedstawicielem okręgu Wołyńskiego AK Krzysztofem Markiewiczem i woźnicą Witoldem Dobrowolskim. Zygmunt Rumel, zrezygnowawszy ze zbrojnej obstawy w geście dobrej woli, udał się z ramienia polskiego Rządu Emigracyjnego do dowództwa banderowców z SB OUN, by pertraktować o zaprzestaniu mordowania. Okazało się, że dla barbarzyńców nie ma granic, których nie wolno przekroczyć. Zamordowali poetę na miarę Mickiewicza, Słowackiego, Norwida – jak pisał o nim Jarosław Iwaszkiewicz. Miał 28 lat. Zamordowali tak tysiące Polaków, dzieci wychowanych w polskich patriotycznych domach kresowych, przyszłych wynalazców, pisarzy, artystów, mężów stanu... W tym bolesnym zamyśleniu snują się pytania: gdzie są granice zła, którego może dopuścić się człowiek. Tylko w oparciu o prawdę można budować przyszłość jednostek, społeczeństw, krajów – mówi o tym Ewangelia i historia dziejów, przypominał to wielokrotnie Jan Paweł II, największy nasz rodak, prawdziwie kochający Polskę, swoją Ojczyznę.

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

KONKURS ENERGI!

Co miesiąc
do zdobycia:

10 x rok
energii
za darmo!

20 x karta
ORLEN
o wartości 500 zł!

Łączna
pula nagród
150 000 zł!

Jak wziąć udział w konkursie Energi Obrót?

①



Skorzystaj z wybranej
oferty na prąd

②



Wyślij zgłoszenie
i odpowiedz na jedno
proste pytanie

③



Wygrywaj!



Szczegóły i regulamin
dostępne w naszym salonie
lub na energia.pl/wygraj



Energa
Obrót

GRUPA ORLEN

Warunki konkursu „Rok energii i tankowanie za darmo” określa regulamin dostępny na stronie energia.pl oraz w naszych salonach sprzedaży. Poprzez „rok energii za darmo” rozumiemy nagrodę o równoważności 1500 złotych brutto, przyznawaną w formie zwiększenia salda rozliczeniowego zwycięzcy konkursu. Wysokość nagrody stanowi równoważność średniego rocznego rachunku naszego odbiorcy energii elektrycznej w gospodarstwie domowym w 2020 roku. Materiał nie stanowi oferty w rozumieniu art. 66 Kodeksu cywilnego.

Hekatomby

Katyń, Wołyń, Auschwitz... Te trzy słowa kojarzą nam się bardzo traumatycznie. Z perspektywy historycznej to zdarzenia nieodległe, żyją wciąż ostatni świadkowie tych ludobójstw. Sprawcy tamtych okrutnych zbrodni pozostali (w większości) nieukarani. Pamięć o ofiarach – zwłaszcza w najmłodszym pokoleniu – jest dziś szczątkowa.

Przedstawiona w kasowym filmie pojedyncza śmierć zadana podczas wojny kobiecie czy dziecku potrafi nami potrząsnąć, poruszyć, skłonić nas do refleksji. Niektórych o lzy przyprawia nawet cikliwa historia misia Wojtka, czasem wzrusza bardziej niż los 1072 poległych pod Monte Cassino polskich żołnierzy! Cóż, wymordowanie tysięcy czy milionów ludzi – bez twarzy, imienia, biografii – jest tylko zwykłą statystyką. Wypieramy ją z pamięci, by nie zakłócała naszego błogostanu, nie zaburzała dzisiejszych relacji ze światem. Było, minęło – liczy się tylko przyszłość.

Żyjemy przecież w zupełnie innej rzeczywistości, jesteśmy (ponoć) mądrzejsi, bezpieczniejsi, bardziej prze-



**Lech
Makowiecki**

widywalni. Czyżby? Tak naprawdę ludzie się nie zmieniają, doskonałą się tylko (mówiąc wojskowym żargonem) „środki rażenia siły żywej przeciwnika”. W I wojnie światowej zginęło ok. 14 mln ludzi. W drugiej – ponad cztery razy więcej! Stanowiło to raptem 3 proc. ówczesnej populacji, szacowanej na 2,3 mld. Ale gdyby Adolf Hitler zdobył swoją wunderwaffe – straty byłyby niewyobrażalne.

Dziś żyje nas tu ok. 8 mld. Niezbędna przestrzeń życiowa (niem. Lebensraum) wymaga znacznie większej skuteczności w depopulacji Ziemi. Niesłychany rozwój klasycznej techniki wojennej, groźne cyberataki oraz pozostająca (niesłusznie) w cieniu broń ABC (atomowa, biologiczna, chemiczna) mogą sprawić, że liczba ofiar kolejnego światowego konfliktu będzie liczona w miliardach! Bez spektakularnych wypowiedzi wojny, bez przestrzegania międzynarodowych konwencji, bez litości... Parafrazując: Katyń, Wołyń czy Auschwitz jawią się przy tym igraszką.

Heil mir selbst!

No i wybuchło, rozlało się, rozpełzło po całym kraju! I za granicą też! Kanał 1 niemieckiej telewizji publicznej ARD zaczął entuzjastycznie główne wydanie dziennika „Tagesschau” od tejsze wiadomości: „Tusk wraca do Polski”, by „poprowadzić opozycję do walki”... Aż chciałoby się krzyknąć: „Ave, Tusk, morituri te salutant!”, witaj, Tusku, idący na śmierć cię pozdrawiają...! – nie zabrzmiałoby to najlepiej, bo kto dziś zna łacinę, a i nie wiadomo, kogo niby czeka ta śmierć. W każdym razie: Tusk, Tusk, Tusk, Tusk...! – słyhać zewsząd, że strach dziś podnieść klapę od sedesu, żeby się nie rozległo...

À propos, po niemiecku, którego się dziś używa zamiast łaciny i sam wracający zna, toby zrozumiał, byłoby: „Heil Tusk!”. Że wrednie kojarzę? Absolutnie nie, „heil” ma wiele znaczeń, od „niech żyje” i „cześć” komuś, po „leczenie”, „gojenie” i „zbawienie” – czyli pasuje, jak ula! A jeśli już ktoś skojarzył „Tusk Gruß” z „Hitler Gruß”, byłoby to nadanie wręcz nowej wartości temu pozdrowieniu, wszak on, Tusk akurat walczy z tym neofaszystowskim reżimem „o demokrację”, jak doniósł „Tagesschau” i nie tylko.

Tuż po kongresie PiS napisała do mnie czytelniczka (nie podaję nazwiska, bom nieupoważniony) w tejsze sprawie:



**Piotr
Cywiński**

„Ostatnio, często słyszymy, że musimy dorównać do poziomu życia na Zachodzie. Ciekawi mnie, w czym mamy im dorównać? Np. u nas funkcjonują e-recepty, a w Niemczech nie! Poziom życia u nas cały czas rośnie, u nich nie bardzo ze względu na emigrację” itp. dygresje. Nie napisała imiennie, że to prezes PiS mówi o tym dorównywaniu do Zachodu, ale fakt, wszyscyśmy słyszeli. I jak to się ma do „heil Tuska”, który też po to się stawiał, żeby gonić, żeby było u nas jak na Zachodzie? I, nie da się ukryć, nie słyhać zewsząd: Kaczyński, Kaczyński...!, tylko: Tusk, Tusk Tusk...!, że strach tę klapę... – a jeśli już słyhać Kaczyński, Kaczyński..., to tylko z jego ust,

nowego p.o. w PO.

Więc nie rozumiem, skąd ta rozterka czytelniczki, jedynie Tusk, niczym ten widoczny od pleców w komedii wojennej „Być albo nie być” Johnsa, o spektaklu w warszawskim teatrze, ma prawo krzyknąć: „Heil mir selbst!”, „Chwała mnie samemu!”, a echo ma obowiązek odpowiedzieć, bo mu za to płacą, temu echu: „Sieg heil, Sieg heil, Sieg heil!”, „wivat zwycięstwo...!”. Smutas Norwid ujął to kiedyś w „Marionetkach” innymi słowy: „Jak się nie nudzić na scenie tak małej, tak niemistrzowsko zrobionej, gdzie wszystkie wszystkich ideały grały, a teatr życiem płacony”.

Czytaj etykiety – podejmuj dobre decyzje

Marnowanie żywności zaczyna się długo przed jej wyrzuceniem do śmieci. Nieprzemyślane zakupy, podczas których kierujemy się bardziej zachciankami niż potrzebą, brak dbałości o kontrolę dat przydatności do spożycia czy nieprzestrzeganie zasad odpowiedniego rozmieszczania produktów w lodówce sprawiają, że przykładamy rękę do marnotrawstwa jedzenia

Z badań Programu Racjonalizacji i Ograniczenia Marnotrawstwa Żywności PROM wynika, że aż 64 proc. Polaków nie wie, że informacje na opakowaniach: „Należy spożyć do...” i „Najlepiej spożyć przed...”, nie oznaczają tego samego.

JAK CZYTAĆ ETYKIETĘ

Zgodnie z polskimi normami (Ustawa z dnia 25 sierpnia 2006 r. o bezpieczeństwie żywności i żywienia) na opakowaniach produktów stosuje się dwa rodzaje oznakowania daty. Może być to termin przydatności do spożycia lub data minimalnej trwałości. Termin przydatności do spożycia kryje się pod zapisem: „Należy spożyć do: [dzień, miesiąc, rok]”. Natomiast datę minimalnej trwałości określa termin: „Najlepiej spożyć przed...” albo „Najlepiej spożyć przed końcem...”.

O ile produkty ze wskazanym terminem przydatności mogą być spożywane tylko do wyznaczonego dnia, zjedzenie żywności oznakowanej datą minimalnej trwałości po tym dniu nie powinno stanowić zagrożenia dla zdrowia. Jej termin przydatności do spożycia jest dłuższy, producent wskazuje jedynie datę, do której zakupiony produkt charakteryzuje się najwyższą jakością. Konsument sam ocenia smak, kolor, zapach, biorąc pod uwagę warunki, w których żywność była przechowywana (np. ciąg chłodniczy kluczowy w przypadku niektórych produktów). Odpowiedzialność za decyzję spożywa w całości na konsumentcie.

WYRZUCA GASTRONOMIA, WYRZUCAJĄ SKLEPY

42 proc. Polaków przeocza datę ważności, a 70 proc. z nas nie zadba o to, by produkty z najkrótszą datą ważności umieścić w lodówce pod ręką. Co trzeci Polak każdego dnia usuwa z lodówki napoczęte opakowania z oznakami zepsucia zawartości, produkty przeterminowane, zwiędnięte warzywa i owoce.

Ale błędy w przechowywaniu popełniają nie tylko konsumenci. Aż 40 proc. lokali gastronomicznych nie zamieszcza na produktach i daniach informacji o terminie przydatności do spożycia. Nie sprzyja to dobremu gospodarowaniu półproduktami i gotowymi posiłkami. Z kolei straty żywności w sektorze handlu według danych Komisji Europejskiej to około 5 proc. ogółu marnowanej żywności. Choć liczba ta w porównaniu z ponad 50-proc. udziałem w marnotrawstwie gospodarstw domowych wydaje się niewielka, trzeba pamiętać o wielkim wpływie, jaki sieci handlowe wywierają na postawy konsumenckie.



PEŁNE ŚMIETNIKI SUPERMARKETÓW

Aż 60 proc. placówek handlowych codziennie wyrzuca pieczywo. Każdego dnia na śmietnikach połowy polskich sklepów lądują warzywa i owoce nienadające się już do spożycia. Kilka razy w miesiącu sklepy pozbywają się także produktów suchych, które mimo przekroczenia daty minimalnej trwałości mogłyby trafić na stół.

– Aby zapobiec stratom na etapie handlu, w 2019 r. wprowadzono Ustawę o przeciwdziałaniu marnowaniu żywności (Dz. U. 2019 poz. 1680). Zgodnie z jej zapisami sklepy są zobowiązane nieodpłatnie przekazywać niesprzedane produkty organizacjom charytatywnym. Handel to kluczowy etap, który ma wpływ nie tylko na zachowania konsumenckie, lecz i na produkcję poprzez stosowanie wymogów dotyczących m.in. odpowiedniego wyglądu warzyw i owoców dostarczanych do sklepów. Konsument, sklepy i produkcja to system naczyń połączonych. Instytut Ochrony Środowiska – Państwowy Instytut Badawczy dostrzega wiele sposobów, aby przeciwdziałać marnowaniu żywności. Należy edukować konsumentów w kontekście rozróżniania oznaczeń dat ważności, ale również podnosić świadomość, że wiele produktów oznakowanych datą minimalnej trwałości (DMT): „Najlepiej spożyć przed...”, po wskazanej dacie może się nadawać do jedzenia i nie powinniśmy ich wyrzucać – wyjaśnia dr Krystian Szczepański, dyrektor Instytutu Ochrony Środowiska – Państwowego Instytutu Badawczego.



JAN POSPIESZAŃSKI

W historii ludzkości pojawiały się jednostki o bardzo wysokim poziomie moralnym i te właśnie jednostki przyczyniały się do utwierdzenia i upowszechnienia wartości moralnych w swych wspólnotach” – pisała Anna Pawełczyńska, wybitna socjolog, była więźniarka Auschwitz. Autorka podkreśla: „Doświadczenie wewnętrzne jednostek stanowi dowód na istnienie dobra rozumianego bezwzględnie. Wartością uniwersalną byłoby wtedy dążenie do rozumienia i realizacji tego dobra przez zakorzenienie we wspólnocie moralno-kulturowej”.

Sięgam do wydanego przed 17 laty tomiku „Głowy hydry”, kontynuacji pracy „Wartości a przemoc”, z poczuciem, że wiem, o kim Pawełczyńska pisze. Bliźniaczą wrażliwość, ton i pewność dotyczącą kondycji człowieka i wspólnoty w systemie totalitarnym, a także podobieństwo biografii z doświadczeniem Auschwitz znajduję u ks. Franciszka Blachnickiego. Setna rocznica urodzin duszpasterza to okazja, by przypomnieć, stawianego obok kard. Wyszyńskiego i papieża Jana Pawła II, wielkiego duchowego przywódcę.

Od tajemniczej śmierci sługi Bożego Franciszka Blachnickiego upływają 34 lata i choć wspólnota Ruchu Światło-Życie pielęgnuje pamięć

Powróćmy do Blachnickiego

Odpowiednio popularyzowane dzieło Blachnickiego może być impulsem do ożywienia ruchów katolickich

o swoim twórcy, odnoszę wrażenie, że w duszpasterstwie Kościoła rzadko sięgamy do dorobku założyciela Oazy. Po wymuszonej sanitarnymi restrykcjami przerwie w aktywności wspólnot odpowiednio popularyzowane dzieło Blachnickiego może być impulsem do ożywienia ruchów katolickich. Można to robić na wielu poziomach. Od przybliżenia niesamowitej biografii bohatera, zawierającej sensacyjne wątki (choćby w oparciu o świetną książkę Tomka Terlikowskiego lub krótki film TVP nadany 24 marca 2021 r.), poprzez gotowe formaty rekolekcji dla młodzieży i rodzin, aż do wymagających nieco przygotowania, pogłębionych konferencji na podstawie zapisków zawartych w publikacji „Prawda – Krzyż – Wyzwolenie”.

Blachnicki ciągle fascynuje. W jego życiorysie jak w lustrze odbijają się najważniejsze momenty współczesnej historii XX w.: powstania śląskie, II wojna, Auschwitz, wyrok śmierci, cudowne nawrócenie w celi katowickiego aresztu i równie cudowne ocalenie. Śledząc jego życie, widzimy prześladowania Kościoła w PRL, Jasnogórskie Śluby Narodu (1956 r.), organizację wielkiego ruchu trzeźwościowego – Krucjatę Wstrzemięźliwości – i kolejny wyrok więzienia. Jest też działalność naukowa na KUL, misja ewangelizacyjna wśród młodzieży, przyjaźń z kard. Wojtyłą, współpraca z Solidarnością, odbiór z Danutą Wałęsową Nagrody Nobla, patriotyczna i antykomunistyczna działalność na emigracji w latach 1981–1987. Jest też wątek kryminalny – osaczenie ks. Blachnickiego przez komunistyczną agenturę i tajemnicza śmierć.

Ks. Blachnicki, skromny kapłan, w miejscach i środowiskach, w których się pojawia, uruchamia duchową przemianę, przybierającą z czasem ogromny wymiar społeczny. W jego życiu nie sposób nie dostrzec przedziwnego Bożego planu. Bezgraniczne zawierzenie Bogu przez wstawiennictwo Niepokalanej sprawia, że klęski stają się zwrotem otwierającym nowe, jeszcze większe i bardziej owocne dzieła. Ks. Blachnicki, wizjoner, zapowiedział wybór Karola Wojtyły na papieża, ale też czas i okoliczności upadku komunizmu. W działaniach duszpasterskich wyprzedził epokę, co u niektórych hierarchów narażało go na niezrozumienie. Tomek Terlikowski w tytule biografii pisze: „Ksiądz, który zmienił Polskę”. Patrząc na losy Kościoła i polską historię, dopiero teraz możemy zobaczyć, ile mu zawdzięczamy. Niech będzie to wezwaniem, by wrócić do jego dzieła i metody duszpasterskiej. Ale nie tylko.

W planie państwowym rodzi zobowiązanie, by śledztwo w sprawie męczeńskiej śmierci ks. Blachnickiego, które znów utknęło w martwym punkcie, doprowadzić do końca. Pawełczyńska przestrzegała przed formami przemocy, której ofiarami padają całe narody. „Jej inspiratorzy i wykonawcy pozostają bezkarni, gdyż są zbiorowi, nie mają twarzy. Są też chronieni przez potężne grupy interesu, które dysponują odpowiednimi środkami, aby ustalać zarówno normy moralne, jak i prawne”. Patrząc na bezradność śledczych IPN, ale też obserwując bieżącą sytuację w Polsce i na świecie, widzimy, że stare i nowe hydry wciąż sięją grozę.

Michał Korsun prezentuje:
Donald Tusk rzucony na front wschodni



Wycinki z przeszłości

O to „Express Wieczorny” z lipca 1966 r. Lato, wakacje i opis problemów typowych dla obozu socjalistycznego. Ciasno, brak bazy turystycznej. Ale mimo wszystko „pod względem masowości turystyki zajmujemy jedno z czołowych miejsc w Europie”, „w wycieczkach szkolnych bierze udział 15 razy więcej dzieci i młodzieży niż przed wojną”. Redakcja wymienia cztery główne problemy: „Pierwszy: pękają w szwach modne kurorty jak Zakopane, Sopot, Krynica. Trzeba ludziom wskazywać nowe kierunki i możliwości. Drugi: ludzie chcą się przemieszczać, po drodze zwiedzając, mieszając na campingach. Pilna potrzeba budowania takich miejsc. Trzeci: nie wszyscy naraz! Trzeba rozłożyć urlopy na wszystkie dni roku. Czwarty: lekarze mówią, że jeden dzień w tygodniu spędzony na świeżym powietrzu znaczy więcej niż cały miesiąc sanatorium. Trzeba więc budować ośrodki podmiejskie”.

Czy coś z tych rozważań wynikało? Do końca PRL niewiele. Ale Polak podróżował. Mimo wszystko, mimo problemów. I to się nie zmieniło.

(mk)



Uroda świata – rozkosze lata

(Z dawnej serwancki
poetyckiej parę bibelotów...)



Leszek Długosz

Julian Tuwim (1894–1953)

„***”

Rwałem dziś rano czereśnie,
Ciemno-czerwone czereśnie,
W ogrodzie było ćwierkliwie,
Słonecznie, rośnie i wczesnie.

Galęzie, jak opryskane
Dojrzałą wiśni jagodą,
Zwieszały się omdlewając,
Nad stawu odniebną wodą.

Zwieszały się, omdlewając
I myślą tonęły w stawie,
A plamki słońca migają
Na lśniącej, soczystej trawie.

Kazimierz Wierzyński (1894–1969)

„Na łące”

Leżę na łące,
Nikogo nie ma: ja i słońce.

Ciszą nabrzmiałą i wezbraną
Napływa myśl:
– To pachnie sianem.

Wiatr ciągnie po trawach z szelestem,
A u góry
Siostry moje, białe chmury,
Wędrują na wschód.

Czy nie za wiele mi, że jestem?

Maria Pawlikowska-Jasnorzewska (1891–1945)

„Jeszcze jedno lato”

Znowuż znany astrolog błędnie nam obiecał
Radość życia w tym roku – i zamilkł, stropiony.
Tam u nas kasztan w kwiatach, które mają roznieca,
Przekwitł; czyli zagasła jeszcze jedna świeca...

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	75 zł	139 zł	245 zł
wSIECI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przedruku w stopce redakcyjnej

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Liczyć na uczonych z USA?

Stany Zjednoczone to nie jest kraj jak każdy inny. To państwo, od którego zależy bezpieczeństwo i przyszłość całej cywilizacji Zachodu. Gdy percepcja świata, jaką posługują się USA, jest zaburzona, wtedy popełniane są błędy, których skutki mogą się okazać opłakane dla wszystkich.

Pisaliśmy już („Sieci” nr 20/2021) o poważnym błędzie poznawczym popełnionym przez elity USA po zamachach z 11 września 2001 r. Skupiwszy uwagę na walce z międzynarodowym terroryzmem, Waszyngton niemal kompletnie przeoczył szybko rosnącą potęgę Chin. Kraju, który najwyraźniej rządzony jest na bazie inteligentnych założeń co do natury świata.

Chiny jako wyzwanie dla Zachodu będą z nami na dłużej, ale nie wolno lekceważyć jeszcze innych problemów. Od tego, jak amerykańscy uczeni (także obcokrajowcy pracujący na uczelniach USA) będą rozumieć szybko zmieniający się świat, będzie zależało bardzo wiele. Nauka amerykańska wywiera bowiem wielki wpływ na myślenie uczonych na całym świecie.

Najpierw Amerykanie dali się zakoczyć przez międzynarodowy terroryzm, a potem przegapili wzrost potęgi Chin. Co przesłapiają obecnie? I dlaczego?

CO MÓWIĄ LICZBY?

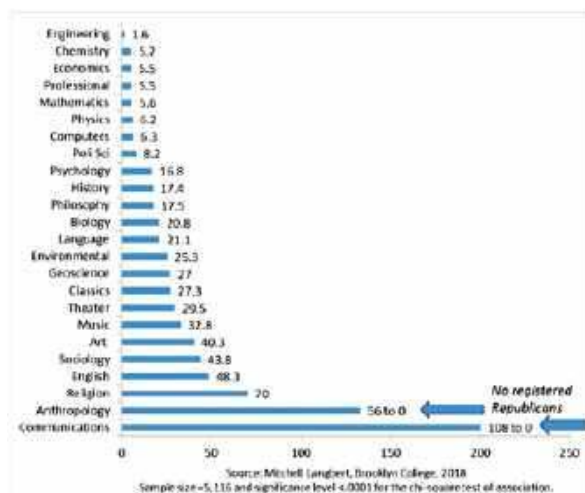
Nieraz wyrażano niepokój o intelektualną kondycję amerykańskiego świata akademickiego. Napisano głośne książki i eseje, odbyto publiczne debaty. Sytuacja jednak cały czas zdaje się pogarszać. To nie jest tylko subiektywna ocena. W lipcu 2021 r. amerykański wydawca i autor Matthew Yglesias przypomniał na Twitterze wyniki badań przeprowadzonych w 2017 r., które prezentuje za-



Bożek różnorodności nie wszędzie może hasać.

Pluralizm polityczny kadr amerykańskich uczelni został praktycznie zabity

łączona tabelka. Podaje ona proporcje między zwolennikami demokratów i republikanów w środowisku akademickim z podziałem na dyscypliny badawcze.



KOŚLAWY PLURALIZM

Świat akademicki USA jest zdominowany przez sympatyków Partii Demokratycznej. W dyscyplinach humanistyczno-społecznych dominacja ta jest szczególnie rażąca – to nie tylko hegemonia, to faktyczny monopol. Monopol na co? Na określanie tego, jakie kierunki badań są ważne, dopuszczalne, finansowane, lansowane, premiowane; to wpływ na awanse młodych kadr...

Bożek różnorodności nie wszędzie może hasać. Pluralizm polityczny kadr amerykańskich uczelni został praktycznie zabity. Choć przywołane badania mają pewne uchybienia, to jednak to, na co one jasno wskazują, nie powinno pozostawiać najmniejszej wątpliwości.

Jak jednostronne polityczne sympatie wpływają na wolność słowa? Ależ oczywiście, że negatywnie. Rozpowszechniła się mentalność poprawnościowo-nagonkowa w stylu naszej „Gazety Wyborczej”. Normą stał się brak odwagi cywilnej nawet wybitnych uczonych, gdy trzeba było przeciwstawić się „cancelowaniu” ich koleżanek i kolegów.

Konkurencja z Chinami, świadomość rzeczywistej polityki Władimira Putina, przeciwdziałanie zagrożeniom ekologicznym oraz – także! – technologicznym to wszystko rozgrywa się w kontekście kulturowym wyznaczanym również przez polityczne sympatie i urazy badaczy, nie tylko społecznych. Bardzo wiele ginie w obliczu takich atrakcji intelektualnych jak krytyczna teoria rasowa, przepisywanie historii USA i całego świata na nowo, wszechświatowa promocja ideologii gender...

Polityczno-ideologicznie skalibrowany radar tysięcy badaczy USA, poddanych quasi-etosowej opresji może przynieść wiele zła całemu światu.

**Katarzyna i Andrzej
Zybertowiczowie**

E-PRENUMERATA

SIECI

WYPRÓBUJ ZA **1** zł

Cena za pierwszy miesiąc, a potem 19,99 zł **9,99** zł. Możesz zrezygnować, kiedy chcesz.

Wybierz e-prenumeratę tygodnika **SIECI** za **1** zł,

a otrzymasz dostęp do:

- ▶ e-wydań tygodnika „Sieci”
- ▶ e-wydań magazynu „wSieci Historii”
- ▶ zamkniętej strefy **PREMIUM+** na wPolityce.pl
- ▶ specjalnych e-wydań „Sieci Extra”
- ▶ archiwum e-wydań „Sieci” i „wSieci Historii” od 2017 r.

Wejdź na:

www.SiecPrzyjaciol.pl



LETNIE IGRZYSKA NAGRÓD

OTO JAKĄ

LOTTERIADA

8x 65 000 ZŁ

**48x BON WAKACYJNY
5 000 ZŁ**



**8x KULTOWY
WŁOSKI
SKUTER**



**104x ROMET
MUSTANG
MI**



**32x ACER
SWIFT 3**

**600x KARTA
PODARUNKOWA
4F 400 ZŁ**



**200x GARMIN
VENU**



3 MILIONY

**zakładów Lotto
do wygrania**

Kup dowolne produkty LOTTO za min. 8 zł w ramach jednej transakcji.

Wybierz grę Lotto lub Lotto Plus i dodatkowo zyskaj szansę na jeden z 3 milionów zakładów Lotto.

Graj w punktach LOTTO i na lotto.pl



Pamiętaj, zachowaj kupon loterii promocyjnej!

Szczegóły i regulamin na lotteriada.pl. Okres sprzedaży promocyjnej trwa **od 1 lipca do 31 sierpnia 2021 r.**

Liczba talonów jest ograniczona i wynosi 3 000 000 sztuk. Organizator loterii: Totalizator Sportowy, ul. Targowa 25, 03-728 Warszawa.

eprasa.pl dd11dd63fa